

*Opowieść o kobiecie
(nie zawsze) sukcesu*



Izabela
Sowa
Tymczasem

Izabela Sowa

Tymczasem

znak *litera
nova*

Kraków 2016

„A niebo znów na głowę spada mi.
I nadziei coraz mniej na słońce”.

Hey, *List*

Czwartek

– Nie patrz, jeszcze chwila. Już!

Monique uniosła powieki i najchętniej przymknęłaby je znowu. Alexis, wersja dożynekowa, westchnęła, siląc się na blady uśmiech.

– Przecież miało być odważnie – naburmuszyła się Renata.

No i czyja to wina? W końcu nikt inny, tylko Monique powtarza klientkom, że w poszukiwaniach własnego stylu najbardziej liczy się odwaga, dopiero potem pieniądze. O tym, że mniej znaczy więcej, nawet nie wspomina. Równie dobrze mogłaby mówić wygłodniałemu dzieciakowi, żeby nie napychał się drożdżówkami.

– No i jest – odparła, patrząc Renacie prosto w oczy. – Jazda bez trzymanki.

Co jeszcze wypadałoby dodać? Że tylko rododendrony pozwalają sobie na taki oranż?

– Pora na gwóźdź programu – rozochociła się Renata. – Ostrzegam, będzie gorąco.

– W takim razie skoczę do wucetu schłodzić silniki.

– Pięć minut, nie więcej.

Z ulgą opuściła garderobę i zaczęła krążyć po ciemnym hallu w poszukiwaniu toalety dla gości. Monique była tam tylko raz, po Nowym Roku, hall wyglądał wtedy przytulniej, rozświetlony lampionikami. W blasku choinkowych gwiazdek wszystko wydawało się znośniejsze, nawet humory Renaty, przypomniała sobie, otwierając kolejne drzwi. Zajrzała do łazienki, ozdobionej z taką fantazją jak toalety pani domu. Zerknęła na kryształowe lustro i natychmiast odwróciła wzrok. Przyglądać się własnej sfrustrowanej twarzy... to jeszcze gorsze niż projekcja domowego porno

nakręconego z Konradem podczas weekendu w Nałęczowie. Już lepiej zapuścić żurawia do cudzego kibla. Przynajmniej wydaje się czysty.

– Nienawidzę tej roboty – wyszeptała nachylona nad muszlą. Chętnie wykrzyczałaby to na całe gardło, ale wolała nie ryzykować. W całym domu zamontowano monitoring na wypadek bliżej niesprecyzowanej inwazji.

Nienawidzę, powtórzyła w myślach, ściskając z całych sił ametystową deskę. Rzucę wszystko i wyjadę za Oslo sprzątać zwykłe domy zwykłych ludzi. Czasami poukładam komuś w szufladach, podpowiem odcień podkoszulka i podzielę się uwagami na temat zorzy polarnej. Moje życie stanie się równie proste jak montaż półek z Ikei.

– Jesteś tam? – dobiegł ją zirytowany głos.

– Już lecę! – odkrzyknęła Monique.

Spryskała twarz zimną wodą i pośpieszyła z powrotem, sunąc po parkiecie niczym panczenistka.

Na widok nowej stylówki stanęła jak wryta w progu garderoby.

– Za odważnie?

Monique pokręciła głową. Odwaga nie ma tu nic do rzeczy, pomyślała. To raczej amatorska prezentacja zastosowania tworzyw sztucznych w branży sadomaso.

– Mój stary zakręcił z asystentką – wyjawiała nagle Renata, skubiąc brzeg szkarłatnego gorsetu.

Ileż razy Monique słyszała to z ust swoich klientek. „Mąż mnie zdradza”, „Nakryłam go w oranżerii, jak zaliczał kucharkę między storczykami. Kucharke, wyobrażasz sobie?”, „Ten palant nie ma wstydu, żeby się umawiać z koleżankami córek”, „Złożyłabym pozew, ale chuj zrobił to pierwszy”.

– Współczuję – skłamała. Jedyne, co czuła w tej chwili, to znużenie powtarzającą się melodią.

– Już wychodzę na prostą. – Renata machnęła dłonią. – Terapeuta mówi, że robię megapostępy. Teraz chcę pokazać draniowi, jak dobrze mi bez niego.

– Bez kogo? – wymusnęło się Monique.

– Wreszcie czuję, że jestem wolna – ciągnęła tamta, nie zważając na pytanie. –

Że mogę rozwinąć skrzydła i wznieść się wysoko. Potencjał, czuję, że go mam. Wcześniej byłam taka stłamszona, tak niepewna swoich możliwości.

– Może powinnaś rozgłosić to w „Gali”, dopieczesz mężowi bardziej niż... – ...paradując po jadalni w sięgających pachwin kozakach z winylu, dokończyła Monique w myślach. Najwyraźniej Renata umiała w nich czytać.

– Czyją ty trzymasz stronę? – burknęła zirytowana.

– Twoją! I uważam – musiała, po prostu musiała to powiedzieć – że nie warto niczego pokazywać facetowi, który odwraca się plecami. Pomyśl wreszcie o sobie – rzuciła niczym zaklęcie. Na ogół działało, ale nie dzisiaj.

– Ja już mam terapeutę.

No proszę! Po miesiącu wysłuchiwania skarg Renaty na jej złą matkę, okropną teściową, leniwych pracowników, krnąbrne dzieci i męża palanta Monique dowiaduje się, że pełni wyłącznie funkcję stylistki. Słusznie, za nic innego jej nie płacą.

– Wróćmy do stylizacji.

– No właśnie. – Renata odchrząknęła znacząco i z wypiętą piersią czekała na ocenę. Zupełnie jak uczestnicy *Tańca z gwiazdami*, przyszło do głowy Monique. Że też nie przygotowała tabliczek z cyframi. Wystarczyłyby same dziesiątki.

– Jeśli naprawdę chcesz pokazać pazur... – zaczęła, miętosząc palcami dolną wargę.

Idź na całość, daruj sobie obciachowy gorsecik. Zostań w kapeluszu i łańcuchach na szyi, a łyse miejsce po dawno wytępionym bobrze zasłoń woalką. Nie będzie ładnie, ale przynajmniej będzie odważnie.

– Załóż czerwone szpilki – poradziła wreszcie. – Żal ukrywać takie nogi pod kozakami.

*

– Cholerne korki! Oszaleć można!

Że też brała samochód Konrada. Jakby nie mogła podjechać do Konstancina zwykłym busem. Renata nie szanowałaby jej mniej. Poza tym osoba skupiona na

rozwijaniu skrzydeł nie zwraca uwagi na środek transportu swojej... służby, nie bójmy się tego słowa. Tak właśnie określa się drugoligowe stylistki w willach kawiorowej lewicy i innych beneficjentów systemu.

– I jeszcze ten się wpycha na chama! – rozsierdziła się Monique, raz po raz wciskając klakson.

Kierowca przeprosił mignięciem świateł, ale wcale jej nie ulżyło. Zirytowana zjechała w boczną uliczkę i zaczęła się przebijać na Górny Mokotów. Krążyła między zamkniętymi osiedlami rozindyczona niczym jej dziadek po zbyt sutym niedzielnym obiedzie. Wreszcie dopchała się do Madalińskiego, gdzie mieszkał Konrad. Rano wyjechał na warsztaty z menedżerami banku. Wróci dopiero w niedzielę, przypomniała sobie, parkując auto tuż przed jego oknem, jak lubił. Gdyby był w mieszkaniu, pewnie nie wytrzymałaby i zaczęła narzekać na robotę. Konrad wysłuchałby cierpliwie, potem znowu by jej przypomniał, że utyskiwaniem niczego nie zmieni, i zaraz wyliczył wszystkie jej atuty, dzięki którym może wejść na sam szczyt, a Monique znowu poczułaby się winna, że tkwi na samym dole drabiny. Wreszcie, widząc jej minę, zaprosiłby ją na swoje ulubione futomaki, których zirytowana nie umiałaby docenić. Połknęłaby tuzin w dwie minuty, zapijając zbyt słodkim winem choya, zaraz dopadłaby ją niestrawność, Konrad rzuciłby półzartem, ile go kosztowała, więc w rewanżu (czytaj: z poczucia winy) zafundowałaby mu na deser loda i nie spałaby do rana, walcząc z bólem żołądka i złością na siebie, że znowu uległa, i to nieproszona. A tak zje coś niezobowiązującego, strzeli sobie zimne piwko i gorący prysznic z hydromasażem, doprawi się ziołem ukrytym w puszcze po cygarach, może zagra w madżonga albo dla zabawy poprzestawia Konradowi kosmetyki na półkach. Kolejność dowolna, ważne, by choć na chwilę zapomnieć, że już jutro powtórka z rozrywki.

Dopiero jutro, poprawiła się, szarpiąc za mosiężną klamkę, i zaraz przekląła. Konrad znowu zamknął drzwi na oba zamki, a ona ma klucz tylko do dolnego. Z hydromasażu nici, o maryśce i porterze też może zapomnieć. Pora wracać na swoje śmieci: do zagraconej kawalerki, której nie potrafi nazywać domem. Wściekła zbiegła po schodach, tupiąc niczym oficerowie ABW w czasie pokazowej akcji. Zatrzymała się przed skrzynkami pocztowymi i ze złością wrzuciła do jego

przegródki kluczyki do mazdy, choć Konrad prosił, by zostawić je tam gdzie zwykle: na stole z sekwoi kalifornijskiej. Ale żeby to zrobić, Monique musiałaby się włamać do jego rustykalnej kuchni. Chyba nie jest aż tak zdesperowana. Choć myśl o zawartości barku była kusząca.

– Jeden – jeden – ogłosiła bez satysfakcji, wpatrzona w świeżo pomalowaną ścianę.

Nagle przypomniała sobie, że jutro też ma wyjazd za miasto. Pruszków, kawałek drogi. Ostrożnie wcisnęła dłoń przez niewielki otwór, próbując dosięgnąć kluczyków. Środkowym palcem już niemal dotykała breloczka, kiedy dobiegły ją odgłosy kroków. Sąsiedzi Konrada nie powinni widzieć, jak majstruje przy skrzynce. Wystarczy, że słyszeli jej tupanie na całą klatkę. Zaraz doniosą Konradowi, niby półżartem, ale i tak robi się chryja. Trzeba spadać, zdecydowała. Natychmiast wyszarpnęła dłoń, boleśnie zadrapując sobie kciuk, i pomknęła do najbliższego przystanku. Sprawdziła, o której ma autobus, a potem, schowana pod wiatą, zaczęła robić klar w esemesach. Nagle wśród starych wezwań do zapłaty za fakturę i nachalnych zaproszeń od banku Santander dostrzegła wiadomość od Nadwornej z Pruszkowa: „Wylatujemy jutro, Londyn. Hajs next time. Smacznego jaja”. Zatem cały piątek wolny, sobota również, pierwsza od Zaduszek, uświadomiła sobie Monique, starając się nie myśleć, czym opłaci rachunki. Ale z niemyśleniem jest jak z dietą – im bardziej się człowiek stara, tym gorzej mu wychodzi.

Świąt w tym roku nie będzie, podsumowała, nerwowo machając stopą. Nawet nie może się wprosić do Konrada, bo ten już w środę wybywa do rodziców. Ona też mogłaby odwiedzić swoich; ciągle marudzą, że o nich zapomniała. A to nie tak. Monique pamięta, nawet tęskni, tylko chwilowo nie stać jej na wizyty w dawnym stylu, do jakich przyzwyczała ich przez lata. Bo i jak miałyby wkroczyć z pustymi rękami, skoro wszyscy zaakceptowali fakt, że robi za szczodrego mikołaja nawet w Zaduszki? Zawsze przywozi ze sobą pierwszorzędnny koniak i belgijskie pralinki, na które bliscy mogą pokręcić nosem. Dzieciakom wręcza modne planszówki oraz gadzety z telewizji od Konrada (te ostatnie najbardziej cieszą jej ojca). W drugi dzień świąt wyciąga wszystkich na Krupówki i oczywiście stawia, nawet opornym. Jeśli doliczyć bilety za Pendolino i taryfę z Zakopca, zbierze się okrągła sumka.

Dokładnie tyle, ile wisi jej Nadworna. Może jednak się upomnieć o zaległe honorarium? Ale wtedy nie ma co marzyć o następnych zleceniach. Straci jedną z kluczowych klientek. Zresztą specem od ściągania długów jest mąż Nadwornej, nie Monique. Nawet jeśli przez ostatnie lata miała mnóstwo okazji, by się przyzwycząić do obniżenia standardów w pracy, nadal nie nabrała wprawy w dopraszaniu się o swoje pieniądze. Trzeba czekać, na tym polega dojrzałość, powtórzyła za wujem Augustem, odpisując bolącym kciukiem na esemesa Nadwornej z życzeniami wielkanocnymi.

– Nie poratowałyby szefowa jaką dyszką? Nadciąga piąteczek, wypadaloby sobie chlapnąć – usłyszała nagle.

Podniosła głowę. Naprzeciwko kiwał się drobny zarośnięty żulik w kraciastej czapce Sherlocka Holmesa. Kiedyś Monique napiłaby się razem z nim, może nawet zjedliby na spółkę kebab, ale dziś naprawdę miała dość kontaktów. „Dycha? Pojechało cię, chłopie?” – tak by odparły jej koleżanki z branży, te odnoszące największe sukcesy w telewizji śniadaniowej.

– Jak będzie z tą kaską? – nie odpuszczał żulik.

– Spłacam kredyt – wymknęło się Monique.

Jeszcze zdradz mu, w jakiej walucie, będzie ci współczuł podwójnie, prychnęła, nerwowo gmerając po kieszeniach w poszukiwaniu e-papierosa. Zaraz sobie przypomniała, że został w maździe Konrada, więc by odwrócić uwagę od fajek, zaczęła liczyć auta, same czerwone. Jeśli doliczy do setki, wyszeptła zakłęcie, wyjdzie na prostą jeszcze przed końcem roku. Czyli (jeden, trzy, siedem) spłaci debet, a to oznacza, że (dziewięć, dziesięć, jedenaście) znajdzie nowe, lepiej płatne zlecenia, (dwanaście) odświeży mieszkanie, a potem... rozpoznała znajomy numer. Mogłaby poczekać na następny autobus i liczyć dalej. Tylko co to zmieni, westchnęła, zrywając się z ławki. Zanim wsiadła, wcisnęła żulikowi pomięty banknot.

Dycha w tę, dycha we w tę.

Nie podziękował. Pewnie ma ją za totalną frajerkę. Nie on jeden. Ona sama to powtarza, kiedy tylko sobie przypomni, że po ośmiu latach spłacania jej kredyt urósł

o połowę. Strach pomyśleć, co będzie za następną dekadę. Raty nie maleją, ubywa za to klientek. Odchodzą nawet te, które obiecywały Monique dozgonną wdzięczność za uratowanie wizerunku, pozycji towarzyskiej albo małżeństwa. W zeszłym tygodniu odwołała spotkania Hanna, szwagierka Renaty, wymawiając się wiosennymi porządkami. Monique słuchała jej tłumaczeń, powtarzając z uśmiechem, że nie ma sprawy. Ona może poczekać, Paschy odłożyć się nie da. Pod koniec rozmowy nasza ją przemożna ochota, by zaproponować czyszczenie garderoby za połowę dziennej stawki. Z prasowaniem gratis. Ale przecież nie po to kończyła Paris American Academy, specjalność „moda”, by składać szmaty dawnym klientkom. Może za kołem podbiegunowym, gdzie nikt człowieka nie zna, ale tu, w Warszawie, Monique musi trzymać fason. Jeśli się ugnie, już po niej. Konkurencja nie śpi, krąży z kubkiem kawy na wynos, w każdej chwili gotowa przejąć jej zlecenia.

Jakby było co przejmować, prychnęła.

Na sąsiednim siedzeniu klapnęła dorodna blondyna, dosuwając się ciężkim udem. Zapachniało pudrowymi perfumami i mocno wylakierowanym włosom. Monique poczuła, że brak jej tchu. Kaszlnęła więc i posłała dziewczynie karcące spojrzenie. Odbiło się niczym gumowa piłeczka od gładkiej powierzchni. Co teraz? Wyszarpać połę płaszcza spod zadu tamtej? A jeśli rozedrze delikatny materiał? Gdyby miała sztywną aktówkę, wcisnęłaby ją między siebie a blondynę, odgradzając się niczym ścianą. Ale wzięła do pracy miękki worek, w który może się co najwyżej wysmarkać, z braku chusteczek. Wkurzona przyłgnęła ciałem do szyby, co tamta natychmiast wykorzystała, rozsiadając się wygodniej. Nie wytrzymam, syknęła do siebie Monique. Zaraz jej coś powiem! Tylko jak zacząć? Zaproponować, żeby usiadła mi na kolanach? Wuj August umiałby wbić szpileczkę. W punkt!

Powinna do niego zadzwonić, nie rozmawiali od Trzech Króli, uświadomiła sobie z przykrością. Czas zapierdziela jak szalony. Jeszcze chwila i minie pierwszy kwartał, potem następne, a ona tkwi niczym przywalona ciężką kłodą i daje się wieźć aż do stacji końcowej.

– Przepraszam, będę zaraz wysiadać – oznajmiła nieco zbyt podniesionym tonem. – Może by pani...

Tamta nie odezwała się słowem. Powoli uniosła dyniaste pośladki na tyle, by Monique uwolniła płaszczyk, grzmotnęła ciężko i znowu zatopiła wzrok w ekranie smartfona.

Ruszaj się tak dalej, a za dziesięć lat będziesz górą budynku wyposażoną w dwie wypustki do klikania, postraszyła w myślach Monique, przeciskając się do wyjścia.

Nagle dostrzegła na ziemi bilet kwartalny dziewczyny. Pewnie wypadł jej, kiedy się wierciła, szukając telefonu. Wyrobinie nowego trochę potrwa; trzeba podjechać do punktu obsługi, odstać swoje w kolejce, zgłosić zgubę... no i te nerwy w czasie kontroli. Karma wraca, szepnęła do siebie Monique. Lekko przydeptała butem dokument, zastanawiając się, czy nie kopnąć go głębiej pod ławkę. Nikt nie zauważy.

Autobus zwolnił, dojeżdżając do przystanku. Ona zaraz wysiądzie i zapomni o całej sytuacji, a tamta... Co się z tobą, do kurwy nędzy, dzieje?

– To chyba pani bilet. – Znacząco zerknęła na podłogę.

A potem wysiadła.

Piątek

Obudziła się z niedzielnym humorem i ciężką głową, jak zwykle po zbyt dużej ilości snu. Najchętniej tkwiłaby dalej pod kołdrą, ale wiedziała, że jej nastrój się od tego nie poprawi. Po rozstaniu z Alekssem przeleżała cały weekend, wgapiona w imponujące pajęczyny przy karniszach. W poniedziałek rano czuła się zmięta niczym dycha w kieszeni badyłarza. Gdyby nie zlecenie na cito, kto wie, jak głęboko by się zapadła. Ale dziś Monique nie ma żadnych zleceń, dlatego musi ruszyć dupę z tapczanu, póki jeszcze daje radę. Usiadła, ziewnęła i wyznaczyła sobie azymut: łazienka. Bo i jaki ma wybór? Sikanie do zlewu w kuchni? Już woli łać do wanny. Niczym gwiazdy Hollywood, przynajmniej tyle ma z nimi wspólnego.

Wygramoliła się spod obszytych złocistym adamaszkiem poduch i ziewając szeroko, poczłapała na korytarz. Pstryknęła włącznik światła, by zaraz sobie przypomnieć, że przed tygodniem spaliła się żarówka. Wymieniać na nową? Po co, skoro najpóźniej za miesiąc czeka ją powtórka z rozrywki? Otworzyła na oścież drzwi, by cokolwiek widzieć. Trzymając się chłodnawej ściany, wgramoliła się do środka i westchnęła na widok kranów obrośniętych kamieniem. Powinna była je wymienić, razem z poźółkłą wanną, upstrzonym lustrem i całą resztą, ale za bardzo się skupiła na urządzaniu kuchni oraz jedyne go pokoju. Potem skończyły się pieniądze z kredytu, a teraz ma, co ma. W pokoju namiastkę Versace, w łazience zaś kanciasty zlewozmywak, białawe kafle jak ze szkolnego kibla, zaś w roli węża prysznicowego – czarną rurę z odpadającą słuchawką. Prowizorka trwa najdłużej. Jeśli przetrwa dekadę, Monique stanie się posiadaczką najmodniejszej łazienki w mieście. Posthipsterzy zaczną się do niej wpraszać, by szukać inspiracji i przy okazji pstryknąć sobie selfie na jej chybotliwym tronie. Choć raz wyprzedzi top

trendy, wspaniała wiadomość. Odkręciła kurek z gorącą wodą i natychmiast syknęła. Dopiero wtedy zauważyła, że w termie znowu zgasł płomień. Powinna się już przyzwyczaić, skoro nie stać jej na wymianę junkersa. Jeśli nie możesz czegoś zmienić, zmień siebie, powtarzał Konrad. Czyli że co, zastanawiała się Monique, szukając zapalek. Powinna zrezygnować z kąpeli? Zapaliła wreszcie termę i znowu odkręciła wodę. Przez kwadrans stała pod prysznicem, nie zwracając sobie głowy przykrą myślą, że gdzieś na drugiej półkuli ludzie umierają z pragnienia... Nie myślała o niczym, taki luksus prekariuszy. Ocknęła się wreszcie, zakręciła do oporu oba kurki, wytarła ciało szorstkim ręcznikiem, wklepała w dekolt resztkę kremu z darmowej próbki, potem wskoczyła w sprany dres Juicy Couture i wyszła do kuchni zrobić sobie śniadanie. Na ogół rano zadowalała się suchym pieczywem popijanym gorącą neską, na nic innego nie było czasu ani chęci. Ale dziś ma dla siebie cały piątek, a po nim weekend, łącznie z poniedziałkiem. Prawdziwe święto. Nic, tylko szaleć.

Wolny weekend, marzyła o nim od Zaduszek. Pędząc co piątek na spotkanie z klientkami, wyobrażała sobie, jak wykorzysta każdą godzinę. Przed wszystkim, obiecywała sobie, zapomni o robocie. Żadnych galerii handlowych, butików czy promocji nowych czapek by Jemioł. Posiedzi w mieszkaniu, umyje na błysk okna, odmrozi lodówkę, wysmaży dwudaniowy obiad z bombą kaloryczną na deser. Wieczorem przeczyta kryminał pożyczony rok temu od Konrada, potem wybiorą się na zwykłą imprezę, na której nie szuka się kontaktów służbowych, tylko pije, tańczy i pali w kiblu skręta. Będą szaleć do rana, nie myśląc o niczym przykrym. Taki był plan. Ale kiedy Monique dostaje od Nadwornej parę dni wolnego, czuje się totalnie zagubiona.

– Nie wiadomo, w co ręce włożyć – oświadczyła rozdrażnionym głosem. Zupełnie jak matka na widok zagraconej piwnicy, uświadomiła sobie zaraz i poczuła jeszcze większą irytację.

W takich chwilach należy wyznaczyć kolejny cel. Mycie szyb? Stanowczo za zimno, marzec w tym roku nie rozpieszca. Obiad? Najpierw przydałoby się zrobić porządne zakupy. No chyba że Monique zadowoli się kaszą jaglaną. W *Dzień dobry* ciągle ją zachwalają, przypomniała sobie. Natychmiast naszła ją ochota na niemodne

w tym sezonie ziemniaki. Przednówkowe grule z omastą... jadalni je w domu niemal codziennie. Pewnikiem nadal to robią, ojciec jak zwykle obiera wielki gar do żętycy, pomyślała, przełykając ślinę. W takim razie ziemniaki. Dzięki temu poczuje z Bukowiną duchową łączność. Z braku innych połączeń.

Ale najpierw śniadanie. Po to chyba znalazła się w kuchni? Apetytu wprawdzie jak na lekarstwo, ale jak powiadają mądrzejsi od Monique, ten rośnie w miarę jedzenia. Byle zacząć. Posmarowała masłem orzechowym dwie połówki wczorajszej kajzerki, ułożyła na wierzchu plastry przejrzałego banana i wzięła się do parzenia kawy. Przeniosła pełny kubek na rzeźbione oparcie jedyne go fotela, zwanego królewskim, wreszcie zasiadła z talerzem na kolanach. Powinna zjeść śniadanie przy stole, jak ją uczył wuj August. Powinna, przecież dzisiaj nigdzie się nie śpieszy. Niczego nie musi, jest wolna. Wolna... poczuła, że robi jej się duszno. Powinna wyjść, jak najszybciej, bo tu zwariuje od niedobrych myśli. Spacer? Tak dawno na żadnym nie była. Owszem, zalicza półmaratony, krążąc po galeriach handlowych, objuczona cudzymi reklamówkami z markową tandetą, ale czy można to nazwać spacerem? Raczej delegacją. Więc dziś dla odmiany połązi sobie po polu.

– *Merde!*

Człowiek mieszka tyle lat w Warszawie i ciągle nie może przywyknąć, że tu ludzie wychodzą na dwór. Wieś, z tego nigdy się nie wyrasta, westchnęła, starając się pomyśleć o czymś przyjemnym. Na przykład o szmatkach.

Powinna ubrać się jakoś odświętnie? Na zwykły spacer? Owszem, kiedyś jej się zdarzało. Przed wyjściem do głupiego spożywczaka szykowała się nawet godzinę. Ale ostatnio nie ma do tego głowy ani, co gorsza, serca. Ma za to gotowe zestawy na każdą niemal sytuację: konferencję z okazji nowej ramówki, promocję skarpet by Rihanna, spotkanie z potencjalną klientką, nawet randkę z nieznanym milionerem. Brakuje tylko zwykłego outfitu na zwykły spacer. Owszem, mogłaby narzucić codzienne ciuchy i ożywić całość blogerską bluzą szytą ze starych zasłon. Ale czy taka wisienka na torcie pozwoli zapomnieć, że nosi strój roboczy? Czy Monique nie będzie ciągle rozmyślać o zleceniu, które jej umknęło? Przestała na chwilę żuć kanapkę, wyobrażając sobie, co by jej odpowiedział wuj August. Na pewno odradzałby niedzielne ubranie. „Niedziela i bez tego jest trudna, nawet jeśli wypada

w piątek” – mawiał, wpatrzony w przybrudzoną szybę. On sam nigdy się nie stroił od święta, ale na co dzień... Felicjan Dulski w pełnym rynsztunku. Od samego patrzenia człowiekowi robiło się niewygodnie jak w przyciasnych sztruksach.

Więc luzik, zdecydowała Monique, żeby nic nie uwierało poza myślą, że nie ma dzisiaj nic do roboty. A zatem: spodnie baggy, miękki golf w stylu Hemingwaya, na wierzch kurtka pilotka w kolorze wojskowej zieleni i okulary przeciwsłoneczne aviatory. Dziewczyna lotnika, tak by to określiły blogerki, robiąc sobie seksowną sesję na tle aeroplanów. Jak zwał, tak zwał, ważne, że jeden problemik z głowy. Teraz tylko spakuje plecak i poszuka starego e-papierosa. Trzeba z nim uważać, by nie wciągnąć za dużo wkładu. Monique zagapiła się parę razy i nie wezwała pogotowia tylko dlatego, że od czterech lat jest nieubezpieczona. Przy tym stary model przypomina cienki, tandetny długopis, człowiek głupio wygląda, trzymając go w zębach. Za to nie musi ich ciągle wybielać. Czysta oszczędność, podsumowałyby ojciec, gdyby wiedział, że któreś z jego dzieci pali. Ale nie ma bladego pojęcia, i *vice versa*.

– Gotowa do wyjścia, marsz – zaszalutowała, stając przed lustrem na baczność.

Zanim otworzyła drzwi, nasłuchiwała przez chwilę, czy na klatce nie kręci się jakiś sąsiad. Nie miała dziś ochoty na pogaduszki. Najchętniej nie spotykałaby nikogo znajomego. W tak dużym mieście to chyba możliwe, przecież od lat nie wpada na swoich byłych ani kumpli ze studiów, choć dawniej widywała ich niemal co tydzień. W taki szary deszczowy piątek mało komu chce się wyściubiać nos. Więc Monique ma szansę przemknąć po Pradze-Południe niczym zjawa. Może nawet uda jej się zerwać parę gałązek forsycji. Zapełni wazon, który kupiła specjalnie w tym celu, wierząc, że własnoręcznie skomponowane bukiety to oznaka harmonijnego życia. Ktoś, kto znajduje czas, by w porę wymieniać wodę, wie, co naprawdę się liczy. Nie goni za bzdurami typu kariera, woli przystanąć i podumać nad konwaliami. Warszawski zen, tak ceniony wśród hipsterii z Powiśla. Ona też ma szansę go osiągnąć, wierzyła, gładząc ręcznie malowany dzbanek z Bolesławca. Wstawiła tam kwiaty tylko raz, kiedy Konrad przyniósł jej dla hecy pęk odpustowych mieczyków, wybrawszy najbardziej kiczowate odcienie. Potem już nie miał czasu na podobne żarty, za bardzo wkręcił się w triathlony. Ale Monique może

zapełnić wazon sama. Ostrożnie rozejrzała się po opustoszałym skwerku i nieśpiesznie podeszła do kwitnącego na żółto krzewu.

– Monia? Ty tutaj?

Merde! Że też właśnie dziś spotyka Darka. A gdyby tak uciec, przemknęło jej przez głowę. Dać w długą, nie odwracając się za siebie. Nawet jeśli Darek miałby tyle odwagi, by zadzwonić, zaparłaby się, że to nie ona. Albo nie odebrała telefonu. W końcu nie są nawet kumplami.

– Cześć. – Uśmiechnęła się, natychmiast wyciągając dłoń. – Myślałam już, że zmieniłeś adres.

– A ja myślałem, że zostawiłaś mnie dla innego. Widzę, że nie. – Obrzucił jej twarz wzrokiem fachowca. – To już dwa lata czy jakoś tak?

Nikt tak nie dowala kobiecie jak gostek brzydszy od przestarzałej sokowirówki, pomyślała, śląc zaraz Darkowi nonszalancki uśmiech. Niech widzi, że ma dystans do złośliwych uwag. W końcu każdemu się przytrafia gorszy czas. Kiedyś były botoks i taksówki, a dziś są mrożone knedle z Lidla i jazda na gapę.

– Konrad woli naturalny *look* – zaczęła się tłumaczyć, wbrew sobie. – Klientki również. Przy kimś niedopracowanym, na luzie, czują się o wiele swobodniej.

Po co tak ściemnia? Klientki uwielbiają przesadnie zrobionych stylistów w kreacjach, które zawstydziłyby Marię Antoninę. Jeśli na dodatek koleś pojawia się w śniadaniówce, satysfakcja sięga zenitu. Natomiast Monique... no cóż, nikt nie zwraca uwagi na twarz garderobianej, dopóki ta nie wpadnie w oko panu domu.

– Ciągłe się bujasz z tym faciem od terapii? – Darek nie krył zdziwienia.

– Konrad jest coachem – poprawiła. – Owszem, zaczynał jako terapeuta, więc może wzbogacać sesje elementami Gestalt albo hipnozy.

Choć odkąd cofnięto mu uprawnienia, niechętnie sięgał po dawne metody. Skupił się raczej na modnym treningu motywacyjnym.

– Tobie pewnie nie odpuszcza, tak? – drążył Darek, przestępując nerwowo z nogi na nogę. – Zwłaszcza w kłótni. Człowiek nie ma żadnych szans, tak? Nawet jeśli ma absolutną rację, i tak zawsze słyszy na koniec to jedno magiczne słowo: „opór”.

Mówi z doświadczenia czy puszcza wodze wyobraźni?, zastanawiała się

Monique.

– Konrad bardzo uważa, żeby nie wchodzić w rolę terapeuty – wycodziła chłodno.

Kiedyś, owszem, próbował hipnozy, ale sytuacja była awaryjna. Nie działały inne metody: noworoczne obietnice, trening wzmocnienia woli, plastry nikotynowe, akupunktura ani nawet proste wyliczenie, ile pieniędzy Monique puszcza z dymem. Dopiero hipnoza. No ale wtedy nie byli jeszcze parą.

– Ze słuchaniem też chyba kiepsko, tak? – nie odpuszczał Darek.

– U mnie na pewno – mrugnęła, zmieniając temat. – Jak ci się żyło przez te dwa lata? Popyt rośnie?

– Nie narzekam, choć wiadomo... – Przełknął ślinę i wbił wzrok w swoje białe mokasyny o zbyt mocno wydłużonych noskach.

Dla takich butów sycylijski mafioso mógłby zabić, pomyślała Monique. W sumie głupia śmierć.

– Gdybym został w kanale dla kobiet... Ale woleli tego, wiesz, wyczesanego, z tatuażem na szyi. Specja od tańca i różańca, tak? Homolobby – Darek skrzywił się lekko. – Ciekawe, że twój Konrad nadal ma swoje okienko. Przypadek? Nie sądzę.

Teorie spiskowe, ulubiona zabawa niedoszłych gwiazd tv. Aż dziw, że ona, Monique, nie snuje żadnych. Może dlatego, że ciągle ma nadzieję na własny program. Przecież próbne nagranie... wyszło fatalnie, nie ma się co oszukiwać. Ledwo włączono światła, Monique straciła całą pewność siebie. Więc przybrała sztywną pozę spikerki z dawnych lat, cedząc każde zdanie tak, jakby czytała je pierwszy raz. Wuj August byłby wniebowzięty. Uwielbiał tę oldskulową sztuczność, niemodne gerbery w szklanym flakonie, dziwnie modulowany głos, dłonie sztywno ułożone jak na obrazach Boznańskiej, pukle ciężkie od lakieru, a rzęsy od tuszu. „Zero życia, zero życia” – powtarzał z zachwytem, wpatrzony w naczelną prezenterkę telewizji państwowej.

Ale nowy zarząd stawia na inne atrakcje, przypomniała sobie zaraz. Przez ostatnie lata wymieniono w studiu wszystko, począwszy od umów, a kończąc na kwiatach. Więc dlaczego Monique ciągle się łudzi, że do niej zadzwonią? Bo Iga od

kamer obiecała, że da znać? Zawsze tak mówią, a potem w uszach dzwoni jedynie martwa cisza. Dlatego Monique odezwie się pierwsza. Wóz albo przewóz.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Drgnęła, jakby ktoś zniecka pacnął ją w plecy.

– Sorki, wspominałam nasz pierwszy raz – skłamała.

Darek wpadł do jej wynajętej garsoniery; żadne nie dorobiło się jeszcze własnego lokum. Stał w przedpokoju, rozglądając się nerwowo niczym początkujący diler z torbą pełną towaru. Jego zdenerwowanie sprawiło, że Monique przejęła kontrolę. Zniżając głos, zaprosiła go do jasno oświetlonej sypialni, która za dnia służyła jej za garderobę, pracownię oraz salę gimnastyczną. Czyli w zasadzie tak jak teraz, uświadomiła sobie nagle. Tyle że zamiast czynszu spłaca coraz wyższe raty kredytu.

– Ach, pierwszy raz! – rozanielił się Darek. – Zupełnie nie wiedziałem, co chcesz poprawiać. Wszystko tkwiło na swoim miejscu, tak?

Podziękowała skinieniem, starając się nie myśleć, gdzie tkwi teraz. Cholerna grawitacja.

– Tak mnie kręciłaś, że nie wziąłbym żadnego hajsu – wyjawiał nagle. – Wystarczyłaby mała laska za jeden zastrzyk. Właśnie! Mam tani kwas, z zeszłego roku. Połowa ceny, po starej znajomości, tak?

Przez chwilę korciło ją, by zapytać, czy nie zgodziłby się na mały barter. Co z tobą?, zganiła się zaraz. Odrobinę godności. Facet nawet nie jest w twoim typie. Zgoda, Monique umawiała się z większymi ogierami, ale żaden nie świadczył jej odpłatnych usług i nie nosił się jak ojciec chrzestny spod Grójca.

– Konrad nic nie zauważy – kusił Darek. – Oni nigdy niczego nie widzą, tak? Chyba że zrobiłabyś se nowe cycki. – Omiótł wzrokiem jej klatkę piersiową. – No, ale to poważna inwestycja. Nie tak jak kwas. Parę zastrzyków i gotowe. Połowa ceny – przypomniał.

Monique przygryzła usta. Nie ma powodów, żeby wydawać pieniądze, których... nie ma. Owszem, może powiększyć debet, ale po co? A jeśli zadzwonią z telewizji, żeby jednak powtórzyć nagranie? Darek wyczuł jej niezdecydowanie.

– W czwartek wieczorem – podsunął zaraz – podskoczyłbym do ciebie, tak? Nawet nie musiałybyś się ruszać z chałupy. Jak gwiazda.

– No nie wiem. – Przygryzła usta, starając się nie myśleć o debecie.

– Świetnie! – Zatarł dłonie. – W takim razie wpadnę przed ósmą, tak? I zaczniemy od doliny łez.

*

„Dolina łez”, zżymała się Monique. Pewne wyrazy powinno się wymazać z nowoczesnego słownika. „Starczowzrocność”, „uwiad”, „menopauza”, „oscypek”, cholerna „dolina łez”. „Czterdziestka” już tak nie drażni ucha, odkąd wróciła moda na gorące mamuśki zwane z angielska MILF-ami. Na razie rządzą wyobraźnią wielbicieli porno, ale tylko patrzeć, jak zawojują inne obszary, by wreszcie dotrzeć na Pragę-Północ. Do jej rodzinnej Bukowiny już nie muszą; w co drugiej kuchni piekli się góralska MILF, czyli gaździna.

W „Vanity Fair” zaś odtrąbiono, że czterdziestka to lepsza, bo stuningowana trzydziestka. Nic się nie kończy, obiecywały redaktorki, wręcz przeciwnie. Zabawa trwa nawet po śmierci. Wystarczy wejść na Facebooka. Człowieka nie ma, a jego profil nadal żyje.

Zresztą, czy Monique ma jakikolwiek wybór? Już za pół roku czeka ją zmiana licznika. Piąty krzyżyk, jak mawiali dziadkowie. Owszem, można udawać, że czas stanął w miejscu, ale w końcu trzeba przyjąć do wiadomości, niczym monit z elektrowni. Gdyby była Madonną... Awizo odbieraliby za nią inni, zapewniając, że wszystko po staremu. Gdyby była gwiazdą pop, miałyby ciągle trzydzieści lat, niestety jest tylko stylistką, która wciska kit Madonnom tego świata. Niby lepiej sprzedawać bajki, niż za nie płacić, ale...

– Przecież sama tego chciałam – wyszeptała, przyśpieszając kroku.

Marzyła, by dzięki jej zabiegom ludzie wydali się ładniejsi, skoro nie mogą stać się lepsi. Jeśli poczują się atrakcyjni, może będą ciut bardziej życzliwi dla innych, wtedy na ziemi zrobi się znośniej. Naiwne? Młodzi mają prawo do swoich złudzeń. Do bezpodstawnej wiary w to, że zbawią świat... Rany! Po raz pierwszy pomyślała

o młodych z pobłażaniem i dystansem kogoś z zewnątrz. Dziwne, przecież Monique czuje się młodsza niż przed dekadą. Nadal chadza na imprezy plenerowe z udziałem upalonych studentów, wygłupia się niczym siksa, zwłaszcza przy starszej siostrze, i wciąż potrafi się zachwycić byle bzdurą, zupełnie jak kiedyś w liceum. A jednak nie ma już złudzeń co do świata i już nie chce go zbawiać, nawet gdyby on błagał ją na kolanach. Chce tylko zagarnąć kawałeczek torcika dla siebie. Czy to zbyt wiele?

Uświadomiła sobie, że stoi na przystanku, skąd odchodzą autobusy do centrum. No proszę, obiecywała sobie, że w wolny weekend zapomni o Złoty Tarasach, wystarczy chwila nieuwagi i od razu włącza się automat. Dobrze, że się nie ocknęła już na miejscu, między stoiskami z modną bielizną. Z drugiej strony przynajmniej wiedziałyby, co tam robić, i nie marzłyby na wietrze. Duże gorzej niż stara kurwica. Prosto w oczy. Więc może jednak galeria?

Stała niezdecydowana, omiatając wzrokiem wolno przejeżdżające auta. Nagle w czarnym volvo obok kierowcy dostrzegła Słonecką, jedną z ulubionych klientek. Przez dwa lata Monique robiła, co mogła, by okiełznać jej artystyczny temperament i przepastną garderobę. Przez dwadzieścia pięć miesięcy mozolnie tworzyła nowy, zgrabny wizerunek trzeciej damy polskiego biznesu. W przerwie między zakupami odbyły dziesiątki rozmów przy białym winie, które poprawiły im nie tylko humor, ale i samoocenę. Dzięki Monique Słonecka przypomniała sobie, że bycie sexy nie wymaga przyciasnych sukienek z elastanem. Dzięki Słoneckiej zaś Monique dowiedziała się, że nadchodzi era kobiet. Wcześniej sądziła, że raczej Wodnika, a tu taka miła niespodzianka: kobiety wreszcie dyktują warunki, nie tylko w kuchni. Dlatego zamiast siedzieć jak mysz pod miotłą, warto powalczyć o mocny głos i założyć własną działalność. W grudniu Słonecka wyjechała do Azji na kolejny kongres kobiet, by opowiadać Hinduskom o zaletach małej przedsiębiorczości. Ściskając na pożegnanie swoją stylistkę, powtarzała, że będzie tęsknić i zadzwoni zaraz po świętach. Może zgubiła telefon, przyszło do głowy Monique pewnej styczniowej niedzieli. Miała ochotę wysłać esemesa, ale zabrakło jej odwagi albo, jak kto woli, piwa.

Całe szczęście, pomyślała wpatrzona w oddalające się volvo. Słonecka nawet nie pozdrowiła jej ruchem dłoni. Spojrzała, rozpoznała i odwróciła głowę, zanim

Monique zdążyła kiwnąć swoją. Może to lepsze niż mętne tłumaczenia, że ostatnio „miałam tyle spotkań, kongresów, bankietów, ale w maju, jak zrobi się cieplej, na pewno zadzwonię, już tęsknię, buźka, muuuaa!”. Sięgnęła po telefon i wyszukała numer dawnej klientki. Drżącym kciukiem wcisnęła „usuń”. Nie ulżyło, wręcz przeciwnie. Nagle Monique poczuła, że ma dość. Dość spacerów, dość wiatru, który wyciska łąy z oczu, dość zakorkowanych ulic i duchów minionych dni. Chce wrócić do mieszkania, walnąć się na tapczanie i nie myśleć o tym, czego nie będzie jutro. Po prostu zasnąć.

W tym celu zakupiła trzy mocno chmielone lagery. Dla niepoznaki (ach, to małomiasteczkowe wychowanie) dodała do koszyka parę bladawych jabłek, kefir, pumperniel, dwa pomidory. Oraz kilo ziemniaków, żeby już nie schodzić do piwnicy. Za wszystko zapłaciła tyle, ile kiedyś za taryfę do nocnego klubu. Debet od tego nie zmaleje, przypomniała sobie nagle i od razu poczuła chętkę na e-papierosa. Zapali sobie w pokoju, otworzy piwko i będzie przegryzać ziemniakami. Tylko musi je najpierw ugotować. Trochę to potrwa. A gdyby, zamiast bawić się w gotowanie, zajrzała do baru mlecznego na osiedlu? Już tak dawno w żadnym nie była. Kiedyś owszem, wpadała co tydzień, by odsapnąć od atmosfery snobskich lunchbarów. Bawiło ją, że ona, telewizyjna stylistka, wcina zwykłą szczawiówkę za trzy zeta. Wybierała najmniejszy stolik w rogu sali, by dyskretnie obserwować stałych bywalców. Czy im współczuła? Raczej wyobrażała sobie, że wiodą prostsze, bardziej autentyczne życie. Może na swój sposób im zazdrościła, nie na tyle jednak, by się z kimkolwiek zamieniać rolami. Pewnej jesieni coś ją podkusiło, by po nagraniach zabrać na obiad kumpli ze śniadaniówki. Zachowywali się niczym rozbawieni turyści w wiosce Berberów, pstrykając sobie foty na tle osowiałych staruszek. Po tym zdarzeniu Monique przestała bywać w barze, co nie znaczy, że o nim nie myśli. Kiedy sprawdza, ile ma do przekroczenia debetu, przypomina sobie smak szczawiowej za trzy złote. Mogłaby ją znowu zamówić, ale wie, jak by się czuła, siedząc nad fajansowym talerzem. Wakacje dobiegły końca, definitywnie.

Pomyśleć, że jeszcze pięć lat temu Monique miała własny program. *Styl w wielkim mieście*, gdzie w zabawny sposób doradzała telewidzkom, jak się przebrać za mieszkankę Paryża, Mediolanu czy Berlina. Dzięki jej stylizacjom

zakompleksione panny z Ciechanowa czy Dębicy mogły uwierzyć, że za pomocą paru ciuszków wygrzebanych w second-handzie oraz właściwej postawy osiągną modny *casual look*. Nie będą odstawać za granicą, może nawet załapią się na coś lepszego niż jazda na szmacie. Program cieszył się przyzwoitą oglądalnością, ale z każdym odcinkiem robił się coraz mniej, jakby to ująć, autorski. Uznano, że Monique prezentuje zbyt mało nowych ubrań z sieciówek, skupiając się na używanych, za których reklamę nikt nie płaci. Dlatego podsunęto jej gotową szafę, tłumacząc, że tak jest wygodniej, bez precyzowania komu. Zasugerowano także, by zamiast pokazywać real, Monique skupiła się raczej na wyobrażeniach (starannie unikano słowa „stereotypy”). Być może typowa mieszkanka osiemnastej dzielnicy nosi hidżab, ale modna paryżanka ma się kojarzyć z apaszką od Hermèsa i frywolną bagietą w dłoni. Rzymianka w cygańskiej spódnicy? Tak się nie da jeździć na skuterze, tłumaczył naczelny stylistka. „Strach pomyśleć, jak wyobrazasz sobie Niemkę” – wyrwało się Monique i to był początek końca. Po odcinku poświęconym kolorowej modzie Londynu, gdzie udało jej się przemycić parę rozwiązań multi-kulti, program wyleciał z ramówki. Przez następne miesiące Monique cieszyła się pewną rozpoznawalnością, dzięki której zyskała kilka zamożnych klientek oraz stała felietony w ekskluzywnym piśmie „Wnętrza”, poświęconym rezydencjom ludzi sukcesu. Z czasem klientki się wykruszyły, a „Wnętrza” na papierze kredowym zastąpił „Światowid”, tygodnik dla kobiet ceniących tradycję, ezoterykę oraz rodzime seriale. Niska półka, którą nie warto się chwalić w cv, ale dzięki honorariom Monique ma na czynsz, e-liquid i owoce tropikalne.

– Pytanie, jak długo – mruknęła, gmerając kluczem w zamku.

Zeszłej jesieni usłyszała, że jej tekstom brakuje wyrazistości. „Nasz target nie chwyta subtelnych żarcików – tłumaczył przez telefon zastępca naczelnej. – Chce konkretności, a nie słownych gier. Proste wskazówki, sprawdzone przepisy. Czyste mięso, bez wydziwiania, rozumiesz?” Monique przytaknęła, obiecując poprawę. Następny felieton wypadał w Zaduszki, więc napisała, jak się wystroić na groby. Płaszcz, zmyśliła na poczekaniu, powinien pasować fakturą i odcieniem do kamienia, z którego wykuto pomnik. Dodatki należy dobrać pod kolor wieńców i chryzantem. Przy czym warto pamiętać, że duży wieniec wymaga dużej torebki

oraz takiegoż kapelusza. Perfumy? Funeral Home firmy Demeter lub nieśmiertelne Opium. Przez chwilę korciło ją, by dołączyć duszącą Currarę, uznała jednak, że to przegięcie, i zajęła się opisem makijażu, przestrzegając przed akcentami rodem z Halloween. Dobrnęła do końca i zawstydzona pchnęła tekst mailem do redakcji. Uwag nie było, co znaczy, że wstrzeliła się w oczekiwania naczelnej. Przed Wigilią znowu zaczęto przebąkiwać, że Monique traci pazur. Znowu go podostrzyła i znowu, ale ileż można drwić z czytelniczek. Nawet jeśli nazywa się je targetem... Wuj August nienawidził tego określenia. „Zawołowana pogarda – sapał oburzony. – Już uczciwiej powiedzieć wprost: «motłoch»”.

Telefon, zdecydowała, nie ma co zwlekać. Ostrożnie położyła na podłodze siatkę z piwami i wybrała numer. Abonent jest poza zasięgiem, usłyszała zaraz. Wuj lubił zejść do piwniczki, ale chyba nie będzie tam siedział wiecznie, wpatrzony w przetwory? Zawsze wraca na wieczór, przebiera się w swój adamaszkowy zielony szlafrok, nakrywa do stołu, otwiera półwytrawne wino. Codziennie ten sam rytuał, niby łatwo się wstrzelić w wolne okienko między podwieczorkiem a kolacją. Wystarczy wcisnąć właściwy numer, tyle że Monique ostatnio ma z tym problem.

– Spróbuję, po kolacji – obiecała nie wiadomo komu.

Tymczasem weźmie się do ziemniaków. Wybrała cztery największe, obrała „grubo”, wrzuciła do osolonego wrzątku, a potem siadła na stołku z butelką lagera w dłoni. Sączyła go nieśpiesznie, przyglądając się spękany fugom posadzki. Gdyby ona odwaliała w pracy taką fuszerkę, za takie pieniądze... nagle dostrzegła niewielką kałużę. Lodówka znowu popuszcza. Po ośmiu latach wiernej służby każdemu może się przytrafić, usprawiedliwiła ją Monique. Rozejrzała się za ścierką, wreszcie zdjęła z poręczy krzesła kuchenny ręcznik. Prawie nowy, a już sfatygowany, zupełnie jak jej kaptcie. Wszystko się rozpada, niemal w oczach. Konrad uznałby pewnie, że to doskonały moment na Zmianę przez duże Z. Na gruzach starego świata łatwiej zbudować nowy dom, powtarzał. Ciekawe za co, zasępiła się Monique, wpatrzona w żeliwny garnek. Dostała go od Aleksa z okazji przeprowadzki. Wtedy, osiem lat temu, kręciła nosem, że gar jest zbyt masywny, zbyt retro i słabo pasuje do jej odremontowanej kuchni. Dziś nadal nie pasuje, uznała, ale wina leży po stronie kuchni. Te nowoczesne rozwiązania, narzekał wuj, mają krótszy termin ważności niż

groszek w puszcze. A powinno być raczej na odwrót, pomyślała Monique. Powoli dopiła piwo i odetchnęła z ulgą. W zasadzie nie jest już głodna, ale skoro nastawiła ziemniaki... Podniosła wilgotny ręcznik i zwinęła go, by chwycić przez materiał żeliwne uszka garnka. Odląła wodę, przełożyła ziemniaki na talerz, posiekała niedbale nożem, ozdobiła z wierzchu natką pietruszki i usiadła przy stole. Choć ten jeden posiłek zje jak należy. Nawet jeśli trudno go nazwać obiadem. Ziemniaki były zbyt twarde i niedosolone, kefir glutowaty, a pietruszka bladawa.

– Przednówek, co?

W mieszkaniu często mówiła do siebie na głos. „Jedni puszczaają na okrągło telewizor, a ja gadam nie tylko do lustra” – zdradziła Konradowi, by zaraz spytać grobowym głosem, jak on radzi sobie z ciszą. Stęzał i uciekł wzrokiem w bok, więc zmieniła temat, przytaczając zabawną anegdotkę z pracy. Wiosną Konrad zaproponował wspólne mieszkanie. Na próbę, dodał z uśmiechem, mocno ścisnąwszy jej dłoń. Prawie jak zaręczyny. Powinna się zgodzić? Nagle przed oczami stanęło jej tamto zdarzenie, mina Konrada, jego spłoszony wzrok... Bez łachy, pomyślała, i zaraz obróciła propozycję w żart. Nie poruszali więcej tematu. Czy żałuje? Miałaby do dyspozycji wypasioną łazienkę, kuchnię wyposażoną w sprawne blendery i przyprawy z piekła rodem, w salonie zawsze pełny barek, ale nie czułaby, że jest u siebie. Nawet jeśli Konrad odstąpiłby jej połowę garderoby, stołu z sekwoi i łoża. Na próbę, prychnęła.

Otworzyła drugą butelkę. Nie dotarła nawet do połowy, kiedy poczuła senność. Ten spacer, rozmowa z Darkiem, zagranie Słoneckiej, wiatr w oczy. Na przedwiośniu niewiele trzeba, by człowieka dopadł słaboń. Walczyć z nim? Może gdyby miała coś ważnego do zrobienia. Felieton, przypomniała sobie, otulona kocem w panterkę. Powinna wreszcie go odesłać, a wcześniej napisać. Tylko o czym? Że babka wielkanocna może być równie sexy jak króliczek, wzory na pisankach powinny pasować do tipsów, stroik zaś...

Zerwała się, drżąc z zimna. Za oknem było całkiem ciemno, w mieszkaniu powyżej nikt nie stukał obcasami. Północ? Czyżby przespała tyle godzin? Pstryknęła włącznik lampki nocnej, raz, drugi, piąty. Znowu korki.

– Jak nie urok, to sraczka – westchnęła, raczej zmęczona niż zirytowana

sytuacją.

Dotarła do drewnianej szafki na korytarzu, za którą w małej wnęce zamontowano korki. Były ustawione właściwie, ale dla pewności Monique podniosła wajchy do góry i znowu opuściła. W mieszkaniu nadal było ciemno. Ciekawe, czy tylko u niej. Wyszła na klatkę schodową i pstryknęła włącznik światła. Rozbłysło natychmiast, wtedy i ją oświeciło: ponaglenie z elektrowni, w sprawie zaległych opłat, przypomniała sobie. W Elektronie nie czekali nawet dwóch miesięcy z odcięciem prądu. Że też ona nie może zastosować podobnych środków wobec „zapominalskich” klientek! Tylko od czego mogłaby odciąć Nadworną, osobę, która ma wszystko na wyciągnięcie ręki, począwszy od soku z mango, a kończąc na pochlebstwach dobrze opłacanych przyjaciół.

Wycofała się do mieszkania, ostrożnie zamknęła drzwi i nagle poczuła, jak wali jej serce. Dziwne, już dawno powinna przywyknąć do ciemności. Jej rodzice nigdy nie zapalali lamp tuż po zmierzchu, nawet w długie jesienne wieczory zwlekano z tym aż do prognozy pogody. Ojciec wytrzymałby nawet dłużej. Moszcząc się na zapadniętej wersalce, przekonywał domowników, że telewizor daje sporo jasności. Monique i reszta rodzeństwa nie protestowali, ucieszeni, że mogą odłożyć lekcje na nieokreślone potem, potem. Matka natomiast stawiała opór. Cóż, szykowanie kolacji przy błękitnym płomieniu palnika trudno zaliczyć do *most wanted* zajęć domowych. Najbardziej wkurzały ją tępe noże. Monique nigdy nie mogła zrozumieć, jaki mają związek z brakiem światła.

Zaczęła nerwowo gwizdać melodię z *Janosika*. Dziadek, skacowany, robił tak samo, czekając na babciną zjebkę, uświadomiła sobie zaraz. Ciekawe, czy to mu pomagało odzyskać dystans, bo jej wcale. Ta lepka ciemność, niepokojąca cisza, człowiek ma wrażenie, że coś oślizgłego zaraz wypełznie z łazienki, by przyssać się do szyi... Dosyć! Ruszyła na oślep do kuchni, uderzając łokciem o framugę. Zabolało jak fiks, ale przynajmniej odzyskała trzeźwość myślenia. Musi namierzyć telefon, sprawdzić, która godzina, i jeśli nie ma północy, zadzwoni do wuja. August rzadko zasypia przed dwunastą, nawet jeśli kładzie się zaraz po kolacji. Pewnie i tak okaże irytację, ale wybaczy. Co innego, gdyby Monique wydzwaniała nad ranem.

– Nie będziesz budzić pana wuja swego przed południem – ogłosił, rozcierając w dłoni strzępiasty liść. Po salonie rozszedł się świeży zapach geranium. – Nawet jeśli w kamienicy wybuchnie pożar!

– Nigdy, przenigdy – obiecała Monique, wbita w staromodny zielony fotel.

– Tak bym tego nie ujmował. Może się bowiem zdarzyć, że zadzwonią do mnie z Hollywood w sprawie Oscara za kostiumy. Wtedy wiadomo: dyspensa. Trudno przecież oczekiwać, że kalifornijski producent zna się na strefach czasowych albo tym bardziej na savoir-vivrze. Zasada druga: nie będziesz słuchać głośno radia, zwłaszcza tej nowej inwazyjnej stacji, która na okrągło serwuje...

– Szyłeś, wujku, kostiumy do filmu? – Podekscytowana wyobraziła sobie zwoje złocistej organdy.

– Czy ty zawsze musisz przerywać? – August zmarszczył brwi, by okazać dezaprobatę. Zadowolony z wywołanego efektu zerwał kolejny liść anginki, zmiędlił go i orzekł: – Nie szył, tylko projektował do serialu. Ot, zlecenie. – Pogardliwie wydmął usta. – Ale możliwe, że pojawi się oferta z zagranicy. Świat przecież stoi otworem dla pracowitych, zdolnych... czytasz chyba „Elle”? To idealny moment, żeby zrobić karierę. Wystarczy chcieć i trochę się postarać. Sukces gwarantowany!

Ostatnie zdania zabrzmiały nieco ironicznie. A może wuj nie nabrał jeszcze wprawy w okazywaniu entuzjazmu dla nowych czasów?

– Podsumujmy.

– Zasada pierwsza: nie wolno budzić wuja przed dwunastą – wyrecytowała Monique, siadając na baczność. – Chyba że zadzwonią z Hollywood. Albo z Saint-Tropez – dołożyła już od siebie.

– Saint-Tropez – powtórzył, mrużąc oczy niczym zadowolony kocur. A więc utrafiła? – Jeżeli odbierzesz telefon z Francji, masz powiedzieć, że jestem niezwykle zajęty.

Sobota

– Czwarta dziesięć – szepnęła wpatrzona w wyświetlacz komórki. – *Merde!*

Książka telefoniczna pęka od kontaktów, ale kiedy człowiekowi potrzeba odrobiny wsparcia przed świtem, nie ma do kogo zadzwonić! No chyba że do Aleksa, błysnęła zuchwała myśl. Kiedy się rozstawali, powtarzał jej, że może na niego liczyć. Zawsze, dodał z naciskiem, wpatrując się w nią wzrokiem zbitego psa. Wtedy nie próbowała sprawdzić, ile znaczą podobne deklaracje, ale teraz... ma inny wybór? Zdecydowanym ruchem wcisnęła numer byłego.

– Nika! – Nie wydawał się zaspany.

Ani zdziwiony. W jego głosie wyczuła raczej radość. Jakby czekał na ten telefon, wierząc, że pewnego dnia Monique zadzwoni. I proszę, mówisz, masz.

– Strzeliły mi korki – rzuciła, choć nie pytał, dlaczego dzwoni. – Od żarówki... Chińskie badziewie.

– Żarówki. – Zaśmiał się cicho, wydychając dym.

– No dobra – poddała się Monique. – Zapomniałam zapłacić za światło, a fagasy z elektrowni nie czekały nawet dwóch miesięcy, tylko odcięły mi zasilanie. No i teraz muszę czekać do poniedziałku, w egipskich ciemnościach. Radio nie gra, lodówka cieknie. – Nie żeby Monique trzymała tam skarby. Wszelkie mrożonki wyjadła w lutym, na pożegnanie karnawału, a tak naprawdę odreagowała utratę kolejnej klientki. – Kuchenka też nie działa, bo indukcyjna – ciągnęła. – Laptopa nie ma gdzie naładować. Słowem, *unplugged*.

– Albo jak kto woli: czarna dupa. Znam ten stan.

Oj, nie znasz, zaśmiała się gorzko. Bywałeś w różnych dupach, kolego, ale w tak

czarnej jak moja raczej nie. Trzeba się porządnie natrudzić, by tam trafić.

– Przyjedź do mnie – rzucił nagle. – Mam pełny zamrażalnik i szybkie Wi-Fi.

– Ale jak to?

Przecież nie widzieli się, odkąd po zerwaniu Aleks wrócił do Krakowa.

– Normalnie. Wsiadaj w pierwszy poranny pociąg. Posiedzisz u mnie przy Alejach, odsapniesz od zgiełku stolicy i zaraz się przekonasz, że pewne problemy... – głęboko się zaciągnął – znikają same. Ot, tak! – W słuchawce rozległo się ciche pstryknięcie. – Wystarczy tylko zmienić punkt widzenia.

– Nie będę przeszkadzać?

Nie miała odwagi zapytać Aleksa wprost, z kim teraz mieszka.

– Siedzę właśnie na Goa, patrzę w morze i... oddycham sobie.

Wszystko jasne, pomyślała, czując, jak w gardle rośnie jej klucha. Jeszcze chwila i Monique zupełnie się rozklei, a tego by nie zniosła. Aleks zawsze miał ją za silną dziwykę z Podhala. Taka udźwignie wszystko: wiadro pomyj, dziesiątą zdradę, nawet brak widoków.

– Co z kluczem? – rzuciła, cicho odkaszlnąwszy.

– Weź od Gieni. Sąsiadka z naprzeciwka, podlewa mi paprocie i przy okazji czyści barek. Możesz ją śmiało wyręczyć. Dasz radę.

Mogłaby sprostować, że przez ostatnie lata sporo się w kwestii „czyszczenia” zmieniło. Ale w porę sobie przypomniała, że zwierzanie się byłym facetom nie prowadzi do niczego dobrego.

– To jak, wpadniesz? – spytał po chwili zniżonym głosem.

Poczuła przyjemne mrowienie z tyłu głowy, jakby ktoś obcy cesał jej włosy. Nazywała to głuszeniem, dopóki nie przeczytała o sygnałach ASMR. Orgazm dla mózgu, może wywołać je każdy, jeśli odpowiednio się przyłoży. Aleks nie musiał się wcale starać. Wystarczyło, że mówił szeptem do jej ucha.

– Na weekend? – spytała rzeczowo, trąc dłonią potylicę.

– Na miesiąc, na rok, na zawsze.

W normalnych okolicznościach spytałaby Aleksa, czym znowu się upalił, i poprosiła o to samo. Ale tu, w tym ciemnym, chłodnym pokoju nic nie wydawało

się normalne, nawet tapety.

– Parę dni wystarczy – odparła wreszcie, dorzucając niby surowym tonem: – mam nadzieję, że media opłacone. Nienawidzę zimnego prysznicza.

*

– Idealne miasto na weekend – oznajmił modnie wyczesany blondynek. – Zawsze powtarzam znajomym: kariera wyłącznie w stolicy, za to chillout na Kazimierzu, nigdzie indziej.

Zatarł dłonie i zaczął radośnie pogwizdywać.

Co za koleś, tokuje od bladego świtu, zamiast dać ludziom pospać, rozsierdziła się Monique. Wolałaby już zrzęśliwego marudę, byle narzekał od serca niczym Rosjanie. Entuzjizm, szczerzy czy udawany, budził ostatnio jej niepokój.

– Myślałem, czy nie sprawić sobie kawalerki w ścisłym centrum – podjął blondynek. – Bardzo staniały. No i zawsze to jakaś inwestycja.

Monique stłumiła ziewnięcie. Ceny krakowskich nieruchomości obchodziły ją tyle co sraczka sąsiada spod ósemki. Więc dlaczego słucha, zamiast ostentacyjnie wyjść z przedziału?

– Najbardziej pasowałoby mi Podgórze – ciągnął tamten, pieszcząc palcami hipsterską brodę. – Zrobiło się *very trendy*.

– Jakieś pięć lat temu – zauważyła Monique.

– Dębniki też dałyby radę, bo Kazimierz jest ciut za głośny.

Dzięki takim gostkom jak ty, pomyślała.

– Zależy, która część – odparła. – Mój wuj mieszka za Skałką. Da się wytrzymać, poza sezonem jest całkiem...

– Pożydowskie kamienice. – Blondyn skrzywił się lekko. Zupełnie jak naczelny stylistka śniadaniówki na widok taniego zegarka, przyszło do głowy Monique.

– Wuj bardzo sobie chwali adres – oznajmiła nieco na wyrost.

– Od dawna mieszka?

Przytaknęła. August dostał przydział w podziękowaniu za szczególne zasługi dla miasta. Tego Monique nie musi zdradzać, a nuż pojawią się zarzuty, że wuj flirtował

z poprzednią władzą, a przecież było inaczej. Wuj oczekiwał starań ze strony władzy niczym znudzona księżniczka. Tkwił w swojej szklanej wieży, przekonany, że jest ponad systemami.

– Duże to mieszkanie? Hipoteczne?

– Udział – odparła, nie wdając się w szczegóły.

Opowieści wuja wpadały jednym uchem, by wypaść przy pierwszej zmianie tematu. Może gdyby tak się nie powtarzało, Monique starałaby się przechować je nieco dłużej... w zasadzie jedyne, co zapamiętała, to fakt, że pozostał lokatorem. Widocznie jego zasługi nie były tak imponujące, jak to napisano w pamiątkowej księdze, którą dostał wraz z kluczami. Z drugiej strony, pomyślała, który z dzisiejszych artystów otrzymuje od miasta podobne prezenty? Co innego zaprawiona w bojach żulernia. Ta potrafi wyszarpać, co jej się należy, a nawet parę metrów ekstra.

– Przekichane – orzekł blondynek, dziwnie zadowolony. – Nie wiadomo, co jest czyje, bo przecież nie ma podziału fizycznego. Może się okazać, że spadkobiercom spodoba się sypialnia pani wuja i co wtedy? Będzie sypiał w piwnicy?

– Na razie spadkobierców nie ma.

– Czyli budynek jest pod opieką kuratora? – Nie czekał na jej odpowiedź. – Ci dopiero kombinują. Wystarczy, że dogada się taki z właścicielem albo szemranym spadkobiercą. Przewalili niejedną kamienicę, zwłaszcza na Kazimierzu. Nie ma nawet komu się poskarżyć, bo nikt nie słucha lokatorów. Jak się nie podoba, fora ze dwora.

To samo mówił jej wuj August. Lokatorzy nie mają głosu. „Gorzej niż chłop pańszczyźniany” – fuknął najeżony i dla odmiany zaczął narzekać na administrację. Monique potakiwała, zbyt przejęta nowym zleceniem od Nadwornej, by słuchać. Teraz też najchętniej zatkałaby sobie uszy, ale nie wypada.

– Na Grodzkiej – nadawał blondyn, niezrażony jej milczeniem – jedna handlarka próbowała przejąć pół zabytkowej kamienicy, w której prowadziła sklepik z podrabianymi antykami...

– Udało się? – nie wytrzymała Monique.

– Pojawili się prawdziwi spadkobiercy. W samą porę. – Zerknął na okno i podekscytowany oznajmił: – Dojeżdżamy.

Sięgnął po swoją oldskulową walizkę, nie pytając, czy pomóc Monique z plecakiem. Chwycił płaszcz i wyszedł z przedziału, rzucając w drzwiach niewyraźne „widzenia”. Kultura, podsumowała, zła na siebie. Powinna wyjść pierwsza, zamiast wysłuchiwać głodnych kawałków. Zawsze czeka do końca, nie wiedzieć na co. Tylko raz zrobiła wyjątek: zrywając z Alekssem. Trzasnęła drzwiami, zanim zdążył wyrazić skruchę i złożyć kolejną obietnicę bez pokrycia. Zadzwoił dopiero po tygodniu i poprosił o ostatnie spotkanie. Urażona dała mu kwadrans. Nie błagał o powrót. Ciągle tylko powtarzał, że Monique może na nim polegać. Tak jak nie mogła, gdy byli razem. „Chciałbym spłacić, wyrównać jakoś...” – umilkł, bezradnie rozkładając dłonie.

– Wreszcie możesz – mruknęła, patrząc, jak pociąg wjeżdża na dworzec.

Zdjęła plecak i odczekała, aż korytarz opustoszeje. Miała dość przepychania się z cwaniaczkami przebranymi za hipsterów. Zresztą nie musi się śpieszyć; nikt nie czeka na peronie. Zupełnie jak w tamtą listopadową środę.

1993

Wysiadła z przepelnionego pekaesu, wytargała na chodnik ciężkie torby i bezradnie rozejrzała się dookoła. Przerażało ją wszystko: warkot silników, smród spalin, obce zacięte twarze. Nigdzie ani śladu wuja. A jeśli zapomniał o niej, lub co gorsza się rozmyślił... dostrzegła go wreszcie wśród zmokniętych przechodniów: naburmuszonego brunecika w ciemnozielonym płaszczu do kolan i kremowym szalu fantazyjnie owiniętym wokół szyi. W jednej dłoni trzymał ogromny zielony parasol, w drugiej zaś jasne rękawiczki. Nie nazwałaby go przystojniakiem, zresztą był na to stanowczo za stary. Ale trzeba przyznać, że w przeciwieństwie do jej ojca miał styl.

– Wujek – rzuciła z ulgą w głosie, ukradkiem ocierając mokry policzek.

– Jeśli już koniecznie musisz mnie tak nazywać – mruknął, omiatając ją wzrokiem. – Na pewno skończyłaś osiemnaście lat?

Dygnęła szybko. Chciała dodać, że przed tygodniem, ale wuj odezwał się

pierwszy.

– Kamień z serca. Nie chciałbym słyszeć oskarżeń, że deprawuję nieletnie.

Przez chwilę przyglądał się jej wypchanym torbom. Wybrał mniejszą i zarzucił sobie na ramię.

– Co ty tam dźwigasz, słoiki?

Zawstydzona spuściła głowę. Ruszyli w stronę przejścia podziemnego.

– Tak się cieszę, że wujek po mnie wyszedł, że pamiętał – trajkotała, próbując zasypać słowami krępującą ciszę. – No bo już zaczynałam się martwić, że będę musiała czekać na powrotny do Bukowiny, w tej okropnej mgle... wie wujek, już rozumiem, co to znaczy, że ktoś jest brzydki jak deszczowa noc listopadowa.

– Musisz do mnie mówić w trzeciej osobie? – rzucił oschłym tonem. – To bardzo postarza.

– Chciałam być grzeczna... no bo rodzice powiedzieli, że przy wujku... to znaczy przy tobie, wujku, muszę się pilnować jak na herbatce u królowej.

– Staram się tylko trzymać standardy – odparł z udawaną skromnością.

– No właśnie. Dziwne. – Lekko zmarszczyła nos. – No bo w tych poradnikach dobrego wychowania piszą, że nie należy się spóźniać, a wujek... to znaczy ty, wujku...

Urwała zakłopotana. Jak zwykle musi coś wypalić nie w porę.

– Tu, w mieście – zagrzmiął wuj – przestrzegamy kwadransa akademickiego.

– Tramwaje również? – zdziwiła się.

Lekko się uśmiechnął, jakby jej uwaga sprawiła mu pewną przyjemność. Mijali właśnie bar Smok.

– Wejdziemy na herbatę? – spytała, zaskoczona własną śmiałością.

Uniósł teatralnie brwi, wyrysowane niczym u kobiety.

– Lura z plasterkiem cytryny nie zasługuje na podobne określenie.

– Ale zawsze zaglądaliśmy tam z rodzicami – tłumaczyła się Monique – w drodze na stację, oni jedli fasolkę po bretoń...

Przerwał jej zniecierpliwionym fuknięciem i zrobił taką minę... niby straszną, a jednak na swój sposób komiczną. Monique już ją kiedyś widziała, na jakimś starym

filmie z dzieciństwa. Raczej nie thrillerze, uznała, patrząc zdziwiona, jak wuj zawraca w stronę Smoka. Dopiero kiedy stanął przed szklanymi drzwiami baru i zaczął składać swój parasol, wydusiła:

– No ale nie chciałeś przecież... bo lura...

Wywrócił oczyma, wzdychając ciężko, wreszcie puścił ją przodem. Kiedy zamawiał napoje, Monique zajęła wysoki stółek przy ladzie. Po prawej, gdzie zwykle siadali z rodzicami. Dopiero teraz, w chłodnym świetle jarzeniówek, dostrzegła, jakie ma spierzchnięte dłonie. Próbowwała je ukryć w rękawach płaszcza, bezskutecznie. Dziwne, kiedy przedwczoraj mierzyła go na „fajdzie” (tak w jej rodzinie określano szmateksy), leżał jak ulał. Dziewczyny nie umiały ukryć zazdrości, że to ona wypatrzyła płaszcz pierwsza, między dwoma wytartymi kozuchami. Kosztował zaledwie osiemdziesiąt tysięcy. Tyle co dwie „Elle”, a wyglądał o niebo lepiej niż ciuchy prezentowane w numerze świątecznym. Cudo, które tu, w wielkim mieście, okazuje się zwykłą szmatką.

– Już więcej tu nie przyjdę – oświadczyła.

– „Dziękuję, wujku, za herbatę” – odpowiedział.

– Dziękuję – mruknęła, odsuwając od siebie niemal pełną szklankę. Na znak protestu.

– Do usług. – Skinął głową. – Trzeba przyznać, że szybko uczysz się smaku.

*

Znowu wylądowała w galerii, choć wolałaby raczej zajrzeć do Smoka. Niestety po dawnym barze nie zostało ani śladu, na jego miejscu zbudowano centrum handlowe. Te same marki co wszędzie, zauważyła Monique, drepcząc alejką na poziomie zero. Te same, a jednak poczuła pokusę, by sprawdzić, co nowego na wieszakach. Porównać z kolekcją w Tarasach, pomiętosić tkaniny, pokręcić nosem nad jakością szwów... drobne przyjemności, których musi sobie odmówić. Aleks wspomniał, że pani Gienia siedzi w domu do jedenastej, potem robi obchód po mieście i wraca ubzdryngolona późną nocą. Pijana bywa dziwna, ostrzegł. Dziwna? Monique natychmiast przyśpieszyła kroku. Podjedzie na Aleje tramwajem, tylko którym? Że

też zapomniała dopytać, a teraz jakoś głupio. Pod tym względem przypomina własnego ojca. Woli krążyć godzinami, niż prosić nieznanym o wskazówki. Może nie będzie trzeba?

Wyszła wreszcie z galerii i zaraz dostrzegła nowoczesny budynek od strony Warszawskiej.

– Powiało Zachodem – mruknęła, niby z wyższością. Jak biedny sztubak, który próbuje udawać, że przepych nie robi na nim wrażenia. Przez tyle lat bywania w podobnych miejscach nabrała wprawy w udawaniu. Ale nadal ich nie lubi.

Z ulgą rozpoznała pocztę i przejście podziemne. Stamtąd rzut beretem do Rynku, potem Szewska, dalej Planty. Wszystko pamięta, więc spróbuje dotrzeć pieszo. Ma na to godzinę z górką. Minęła teatr Słowackiego, Barbakan obwieszony zbyt kolorowymi obrazami (jakby malarzom skończyły się tubki z szarością, mawiał wuj) i znalazła się na Floriańskiej, zdziwiona, że prawie nic się tu nie zmieniło. Może budynki bardziej odpicowane niż dwadzieścia lat temu, w witrynach na bogato, chodnik niemal równy i nie ma słynnego dilerka, który wykrzykiwał na całe gardło „Skarpety, skarpety polecam”, ale reszta pozostała taka sama. Zupełnie jak w piosence Homo Twist. „Kraków piękny, trochę śmierdzi, a poza tym po staremu” – zanuciła Monique, omiatając wzrokiem kwiaciarki przy Sukiennicach, pretensjonalne dorożki, wielkanocne budy pełne badziewia made in China, a w środku – pomnik wieszczka, zwany swojsko Adasiem. Pewnie nadal umawiają się przy nim kochankowie *in spe* i handlarze zakazanym towarem. Choć ci drudzy woleli skarbonkę. Nadal stoi, nie ma za to uroczej fontanny ani wrednej baby z preclami, która straszyla nieopodal muzeum. Ta umiała zrugać człowieka! Monice dostało się po uszach za uwagi na temat obwarzanka. „Że wczorajszy? Samaś wczorajsza, cipo niemyta!” Ach, gdybyż znowu mogła posłuchać tamtej wiązanki albo (z braku laku) dawnych przebojów disco puszcanych przez sprzedawców kaset. „Cebula dla moich uszu” – narzekał wuj August. Monique ochoczo mu przytakiwała, a teraz... czuje dziwną, nieuzasadnioną tęsknotę za czymś, czego przecież nie znosiła. Niestety tamtych sprzedawców od dawna nie ma, wyparły ich przepisy oraz nowe nośniki. Kasety znikły z mainstreamu, by zyskać drugie, lepsze życie w witrynach hipsterów. Nie są już obciachem, a kultowym gadżetem jak rower

Wigry, film ORWO czy broda na Gandalfa. Kim stała się Monique, znikając z mainstreamowej śniadaniówki? Lepiej nie pytać.

Znalazszy się poza Rynkiem, uświadomiła sobie, że brakuje kogoś jeszcze: Stefana, niewidomego romskiego skrzypka. O tej porze za wcześnie na granie, pogoda też nie rozpieszcza. Za miesiąc, dwa turyści zapełnią ogródki, wtedy... ach, wuj August wspominał przecież, że Stefan nie żyje, przy okazji serwowania tej samej nudnawej anegdoty, jak to Yehudi Menuhin, zachwycony talentem skrzypka, zaproponował mu angaż w swojej orkiestrze. Stefan odmówił. „Wolał zwyczajne życie – ciągnął wuj wzruszonym głosem – przygrywanie na rynku wśród bliskich”. Ona wybrała Paryż. Czy żałuje? Zależy kiedy. Teraz, na przykład, myśli o tym, by zdążyć do pani Gieni, nim zegar wybije jedenastą.

– Kopciuszek, wersja 3.0 bez happy endu – wysapała, maszerując Plantami w stronę filharmonii.

Od razu spostrzegła, że ubyło kasztanów. Wuj nieraz jej o tym mówił, obwiniając za ten stan po równo władze miasta i szrotówka. Monique sądziła, że dramatyzuje, jak zwykle w czasie halnego. Rozsierdzał się wtedy z byle powodu, fukając do słuchawki niczym Louis de Funès w swojej popisowej roli żandarma Cruchota. Dopiero tu, na Plantach, Monique uświadomiła sobie, że z drzewami wcale nie przesadził. Radni również, co innego we własnych ogródeczkach, pewnie pielęgnują każdy krzaczek kupiony za pieniądze podatników. Władza, wszędzie taka sama, skrzywiła się lekko, obiecując sobie, że nie będzie poruszać takich tematów na spotkaniu z wujem. Szkoda ich czasu. Drapnęło ją w gardle na myśl, ile lat minęło od jej ostatniej wizyty w Krakowie.

Spotkali się w ogródku Eszewerii, gdzie wuj toczył nierówną walkę z potężnym kacem, zwanym dla niepoznaki migrenką. Monique wpadła zdyszana, bez słowa postawiła plastikowy transporter na ocienionym stoliku. Przywitali się po parysku, markowanym cmoknięciem w oba policzki, wymieniając kilka nic nieznaczących uprzejmości. Nie opowiadała o swoich planach, nie prawila też komplementów, w które żadne z nich by nie uwierzyło. Zapewniła tylko, że kot jest wyjątkowy i zostawia go dosłownie na chwilę. „Oby pasował mi do tapet” – odburknął August, pytając, czy zamówić coś do picia. Domowa lemoniada wyglądała kusząco, w całym

ogródka pachniało świeżą miętą, pogoda iście majowa, ale... Monique zrobiła przepraszącą minę, kłamiąc, że zaraz ma InterCity. „Myślałem o kocie” – sprostował August. Wtedy zrobiło jej się podwójnie głupio, więc pożegnała się szybko i uciekła.

Poczucie winy minęło, jak tylko dojechała do stolicy. Zresztą nie było czasu na myślenie o wuju i kocie, bo właśnie rozdzwoniły się telefony. Wśród nich ten najważniejszy, z propozycją nie do odrzucenia: własny program w kanale dla kobiet. Monique bywała już na wizji, na ogół w charakterze zapchajdziury za:

- gościa, który nie dojechał pociągiem z powodu „sorry, taki mamy klimat”,
- nadwornego stylistę, któremu w trakcie miłosnych zabaw pękł nadgarstek,
- modną blogerkę, która nagle strzeliła focha, uwieczniając wszystko na Instagramie,
- kucharza, który zatruł się własnym sosem.

Drobne fuszki, które niczego nie zmieniają w portfolio. I nagle: szeroki uśmiech od losu. Własny program, a wraz z nim mnóstwo innych atrakcji: dobrze płatne felietony na kredowym papierze, zaproszenia z telewizji śniadaniowej, promocje, gdzie można się załapać na darmowe bokserki zaprojektowane przez Pudziana, imprezy branżowe z udziałem naczelnych, wypasione bankiety, nowe cenne znajomości zawarte w kolejce do kibla, po roku zaś bolesny prztyczek w nos. Od tamtej pory Monique walczy tylko o to, by nie spaść z ostatniego szczebelka swojej drabiny marzeń. Niżej nie ma już niczego. Wprawdzie mądrale powiadają, że od dna łatwiej się odbić, najwyraźniej nigdy tam nie byli. Monique woli nie ryzykować, trzyma się więc kurczowo tego, co jej zostało, starając się nie patrzeć w dół ani w górę.

A przecież wywróżyła jej Cyganka, że sięgnie szczytów. Tu, za Collegium Novum, obiecywała zawrotną karierę, a na początek szatyna z dobrym niemieckim autem, niepijącego, robotnego, walizki pieniędzy, telewizor w każdym pokoju, dwóch zdolnych synów, wyjazdów zagranicznych... nagle przerwała wyliczankę i kazała położyć banknot na karcie. „Dla lepszej wróżby – zapewniła, zniżając głos. – Zaraz oddam”. Tak Monique straciła pięćdziesiąt tysięcy. Dostała w zamian

cenną lekcję: „Nie ufaj ludziom, którzy patrzą ci prosto w oczy, obiecując cuda-wianki”. Drobne rozczarowanie, jedno z wielu, które zamieniła po latach na anegdotki i rozbawiała nimi towarzystwo podczas domówek.

Przystanęła na chwilę przed Jubilatem. To tu robili z wujem większe zakupy. Wsiadali w tramwaj przy placu Wolnica albo (jeśli trafił się słoneczny dzień) dreptali bulwarami, sprzecząc się na temat ulubionych filmów. Monique zachwycała się *Parkiem jurajskim*, który August nazywał sprawnie nakręconą reklamówką kauczukowych figurek. W odwecie kręciła nosem na *Dzień świstaka*, który wciąż oglądał na wideo. „Nazywasz to komedią? – dopytywała zdziwiona. – Przecież facet utknął w czarnej dupie. Budzi się codziennie w tym samym łóżku, by powtarzać bez końca te same czynności i spotykać te same nudne gęby!” „Samo życie” – odpowiadał wuj. Ciekawe, z kim teraz dyskutuje o filmach. Na pewno nie z byłą żoną. Rozstali się z Haliną tuż po stanie wojennym w atmosferze skandalu, przypomniała sobie Monique. Ciotka wróciła do rodzinnego domu w Bukowinie purpurowa niczym ściany jej małżeńskiej do niedawna sypialni. Z małą walizeczką, co jej wypominano przy każdym świątecznym obiedzie. Na szczęście do rozprawy o podział majątku odzyskała hardość, żądając połowy nagromadzonych rzeczy oraz odszkodowania za głębokie rany moralne. Dziesięcioletnią Monique nurtowało, w którą część człowieka trzeba uderzyć, by je zadać. Z tamtego okresu zapamiętała też nowe słowa krążące po przytulnej kuchni jej dziadków: „perfidia”, „dziwadło”, „małostkowy”. „Dziwadło”? Możliwe, ale na pewno nie małostkowy. Wuj oddał byłej żonie wszystko, czego się domagała. Dorzucił parę drobiazgów ekstra. Na początek przesłał złotą obrączkę, a następnie: małżeński tapczan, starego junkersa, zlew kuchenny, boazerię zdartą z przedpokoju, drewnopodobne kasetony w stylu wawelskim, dwa spaczone okna oraz czterdzieści kilo wykładziny podłogowej, której Halina nie zdążyła położyć na zabytkowy parkiet.

Mieszkania nie oddał, bo było czynszowe. Więc jeśli znajdą się spadkobiercy, wuj trafi na bruk? Że też nigdy go o to nie zapytała. Teraz będzie okazja. Monique umówi się na spotkanie i będzie słuchać, słuchać, słuchać za te wszystkie lata, kiedy ona paplała na okrągło. Szczery Maciek, tak ją nazywali w rodzinie. Bardzo by się zdziwili, widząc, jak obsługuje klientki. Zwija się, przygryzając do bólu język. Na

samą myśl zrobiło jej się słabo. A może to od dźwigania plecaka? Na szczęście jest już prawie u celu. Minęła Teatr STU i zadarła głowę, szukając numeru kamienicy Aleksa. Jest! Poprawiła plecak, odchrząknęła, by dodać sobie odwagi, wreszcie zadzwoniła pod piątkę.

– Do kogo? – usłyszała skrzypiący głos.

– Do pani Gieni. W sprawie kluczy.

Zapadła cisza. A jeśli sąsiadka nie otworzy? Może już sobie chlapnęła, nabrała hardości i będzie bronić dostępu do źródła... Monique nie będzie się szamotać, pomaszeruje prosto do wuja. Zerwie go z łóżka przed południem, trudno. Sytuacja awaryjna. Wuj ją zrugą, ale potem jej wybaczy, jak zawsze. Już miała odejść od bramy, kiedy rozległo się delikatne bzyczenie. Natychmiast pchnęła drzwi, wchodząc na zadbaną klatkę schodową z lat trzydziestych. Monique uwielbiała ten styl. Klinkier, luksfery, przestrzeń. Aleks ani razu nie wspomniał, że jego dziadkowie mieszkali w takim budynku, choć miał tyle okazji, by się pochwalić. Nieważne, ich drogi się rozeszły lata temu. On tam, ona tu, pomyślała, stając na zdeptanej wycieraczce pani Gieni. Nie zdążyła nawet zapukać, drzwi nagle otworzono, a z ciemnego wnętrza wyłoniła się drżąca dłoń z pękiem kluczy. Powitanie po krakowsku.

– Ja tylko na kilka dni – próbowała obłaskawić sąsiadkę.

– A paprocie? Podlewać codziennie wypada.

– Dam radę, ale jeśli chce pani zajrzeć i sprawdzić, proszę bardzo – rzuciła tonem wielkodusznej hrabiny.

– Nie mnie tu decydować. Skoro Aluś tak wybrał, kłamka zapadła.

– Mogę pani podać z barku, co tylko...

– Też coś! – obruszyła się pani Gienia. – Jeszcze mnie stać na te pół litry z placu.

Gdyby Monique miała tyle samo godności, jej kontakty z klientkami wyglądałyby zupełnie inaczej. Może trzeba więcej pić, uznała zaraz.

– W razie czego jestem do usług. Można śmiało dzwonić. Byle po dwunastej – podkreśliła i znikła w przedpokoju.

Prowadził do kwadratowego hallu obwieszonych ściemniałymi obrazami

w bogato zdobionych ramach. Monidła, Aleks ich nie trawił, a jednak pozwalał, by straszyły w jego domu. Rodzinne pamiątki, takim zawsze więcej się wybacza, szepnęła Monique, otwierając pierwsze z brzegu drzwi. Salon, ogromny. Pomieściłby całe jej mieszkanie, a oprócz niego są jeszcze dwa pokoje i spora kuchnia. Wszystkie pomieszczenia kwadratowe, wychodzące na obie strony budynku. Żadnej amfilady jak u wuja, za to dwa ogromne balkony. Pieprzone art déco.

Poczuła, że musi zapalić. Jej nigdy nie będzie stać na takie wypasy. Góralską willę dziadków, w której spędzała każde wakacje, objął w posiadanie nowy mąż ciotki, Antek. Nazajutrz po weselu wymienił wszystkie zamki, „coby się obce nie plątały po łobyjściu”. Tak Monique z domownicy zredukowano do gościa. Niby mile widzianego, jak zapewniała ciotka, ale zapraszając ją do siebie, nie omieszkała dodać: „niech tylko Antek do roboty poleci, bo spokój będzie”. Po wyjeździe z Bukowiny Monique przestała zaglądać do wujostwa nawet w święta. Nie żałuje, tamten dom umarł wraz z dziadkami. Teraz to tylko budynek, wykończony z rozmachem, ale bez duszy. Gdyby nagle dostała go w spadku, czułaby się okropnie. Ale raczej jej to nie grozi. Zresztą Monique ma własne lokum, w którym mieszka sobie wygodnie. Choć „wygodnie” i „własne” to pojęcia względne, kiedy człowiek spłaca złodziejski kredyt. Zaraz, zaraz, nie po to związała do Krakowa, by się zagryzać polityką banków, kursem franka i innymi sprawami, na które nie ma żadnego wpływu. Wręcz przeciwnie, chce zmienić perspektywę, by odsapnąć. Nie, nie wierzy w teorie Aleksa. Problemy same nie znikają, podobnie jak długi, szorstkie pięty czy brudne naczynia. Można jednak od nich uciec, choćby pod cudzy prysznic.

Prysznic, tego jej właśnie trzeba. Rano zajrzała do własnej łazienki tylko po kosmetyczkę. Capnęła ją i czmychnęła do pokoju. Z dna szafy wygrzebała plecak i przyświecając sobie komórką, napełniła go w pośpiechu tym, co było pod ręką. Wybiegła z mieszkania, nie bacząc na to, że zostawia za sobą rozgardiasz. Wołała przesiedzieć pół godziny, marznąc na dworze, niż trząść się w ciemnej klitce pełnej dziwnych przedmiotów. Dotarła na Dworzec Centralny przed szóstą. Dopiero w toalecie pociągu zobaczyła, że ma rozmazany makijaż. Schlapała twarz zimną wodą, przetała szorstkim papierem, oprószyła byle jak sypkim pudrem i wróciła do

przedziału.

Nieśmiało nacisnęła klamkę łazienkowych drzwi, spodziewając się w środku wyposażenia na miarę obrazów w hallu. Kicz pokryty patyną minionych lat. Na widok wanny niemal gwizdnęła. Prawdziwe SPA! Rozejrzawszy się po wnętrzu, podziękowała Konradowi za to, że zamknął mieszkanie na oba zamki. Jego kabinka w porównaniu z tym wszystkim była jak drewniana balia obok fregaty z pełnym ożaglowaniem. O swojej łazience wołała nie myśleć wcale. Poza konkurencją, parsknęła, napuszczając wodę. Przez następną godzinę bawiła się przyciskami niczym przedszkolak. Z radością, jakiej nie czuła od liceum. Wtedy pluskała się w wannie cały wieczór, śpiewając do słuchawki prysznicowej przeboje INXS. Kiedy woda stygła, Monique napuszczała nową, co strasznie bolało jej ojca. Gasił jej wtedy światło lub stukał do drzwi. Kiedy się wreszcie poddawał, wychodziła z łazienki. Na pocieszenie zostawiała mu pełną wannę. Zawsze kąpał się po kimś. Recykling po góralsku.

Po wyjeździe z rodzinnego domu nie było już warunków, by tak się pluskać. Kiedy wreszcie dochrapała się własnej wanny, leżenie w niej zaczęło ją nudzić. Po paru minutach zaczynała się wiercić, bębniąc nerwowo paluchami o płytki. Wybrała prysznic, ale czasem robiła wyjątek dla nowego faceta, który ubrdał sobie, że wspólne moczenie się w stygnącej wodzie to element tańca godowego. By nie odzierać go ze złudzeń, wciskała się do wanny otoczonej zapalonymi świecami i czuła niczym chryzantema na zaduszkowym grobie, wśród zniczy. Znosiła dyskomfort, wierząc, że na tym polega romans. Gra wstępna w różowej pianie o zapachu landrynek, a wcześniej kolacje w eleganckich, choć nudnawych lokalach, te same czułe słówka na deser, muzyka zwana pościelową, szampan (na ogół podrabiany) i świece, wszędzie świece. Dopiero Konrad przekonał ją, że nie musi się męczyć. Nie musi słuchać w łóżku zmysłowej Sade, skoro woli skoczne kawałki Bon Joviego. On sam nie znosił wspólnych kąpieli. „Wystarczy mi jazda zapchanym tramwajem” – powtarzał.

Wygramoliła się wreszcie z wanny. Na półce pod zlewem znalazła lniany ręcznik. Wytarła się energicznie i goła jak święty turecki podreptała do drzwi, radośnie plaskając stopami o kamienną posadzkę. Nacisnęła klamkę i zderzyła się

z chudą, przesadnie wymalowaną kobietą w czapce z pomponem. Natychmiast wycofała się do środka, przymykając drzwi.

– To nie jest tak, jak pani myśli!

– I vice versa – odparła tamta.

Dziadek Fortuna miał podobną chrypkę, ale pracował na nią latami. Fajki, gorzała i śpiewy do bladego świtu. Król życia, tak się zdawało małej Monique. Dziś nazwałaby to inaczej. Emigracja wewnętrzna. Efektowna w wydaniu dziadka, ale jednak ucieczka, westchnęła, szczelnie owijając się ręcznikiem. Wreszcie ostrożnie wyjrzała na korytarz.

– Aleks nic mi nie wspominał o wizycie – zagaiła Monique przepraszającym tonem, przesuwając się boczkami w stronę pokoju, gdzie zostawiła plecak.

– Mnie ściągnął z łóżka o ósmej rano! Kazał przyjeżdżać. Natychmiast! Wyobrażasz sobie?

– Coś się stało?

– Też chciałabym wiedzieć.

Tamta bez słowa pomaszerowała do kuchni. Do uszu Monique dobiegł odgłos otwieranych szafek. Coś plasnęło o podłogę, z kranu ciurnęła woda.

– Herbaty? Czy wolisz kawę?

„Wolisz?” Monique poczuła się mile połączona, już od dawna nikt nie mówił jej na ty.

– Obojętnie! – odskrzyknęła, gmerając w plecaku.

Wyjęła elegancką sukienkę w odcieniu wina i zaraz odrzuciła na fotel. Musi założyć coś mniej zobowiązującego, inaczej tamta domyśli się jej wieku, zacznie się tłumaczyć z „tykania” albo, co gorsza, przeproszać. Monique już to przerabiała, na juwenaliach dwie wiosny temu. Pijany student porwał ją do tańca, nazywając „maleńką”. Przez chwilę brykali niczym żrebaki. Nagle z tyłu oświetliły ich telewizyjne lampy, student zerknął, zamrugał, zerknął znowu, a potem puścił jej rękę, mamrocząc coś pod nosem. Monique poczuła się jak staruszka przyłapana w markecie na próbie wyłudzenia promocyjnych kuponów do fitness klubu. Wyszła przed ostatnim koncertem, przysięgając sobie, że koniec z juwenaliami. Następnej

wiosny nie dała rady usiedzieć w domu, więc znowu się wymknęła niczym Kopciuszek na wymarzony bal. Starła się tylko trzymać z dala od kamer i rozpląsanych chłopaków szukających partnerki do zabawy. Ale w tym roku koniec. Pójdzie ten ostatni raz, żeby nie było niedosytu. Jakby dało się najeść na zapas, prychnęła.

Narzuciła sprany dres od Juicy, przeczesła wilgotne włosy i stanęła w progu kuchni. Kobieta w czapce posłała jej nieco krzywy uśmiech, i wróciła do krzątania. Z jednej szafek wyjęła niedużą butelkę ukrytą za serwisem w różyczki.

– Nie jesteś zaszyta?

Monique zamruwała zdziwiona. Wreszcie do niej dotarło. Esperal! Dziadek zgodził się zaszyć raz jeden, jedyny, przerażony groźbami babci, że świąt nie będzie. Żadnej choinki, wigilijnego barszczu i szlaban na makowiec. Wytrzymał grzecznie cały rok, a potem wrócił do dawnego stylu życia.

– Żadnych przeciwwskazań! – podkreśliła.

Zaczęła ukradkiem lustrować swojego gościa. Takiej twarzy łatwo się nie zapomina, zwłaszcza tak wymalowanej. Makijaż zawstydziłby niejedną drag queen. O fryzurze trudno się wypowiadać, bo ukryto ją pod czapką, sterczącą niczym u krasnala, zwieńczoną wielkim złotym pomponem. Za to ciuchy... Monique sama nie wie, co o nich myśleć. W jej branży nie brakuje ubraniowych freaków, którzy mają odwagę chwalić się łańchem ze szmateksu, ale zawsze zestawionym z czymś obłądnie droгим, od najmodniejszych projektantów. Tu zaś nie sposób rozpoznać markę. Zwykła sprana bluza, na której wypisano złotym markerem: „Rich bicz”, na biodrach krzywo zszyty pas złotego lureksu robiący za nerkę, pod spodem legginsy, do nich buciory na grubej słoninie przetarte złotawą farbą, by ukryć zniszczenia, wreszcie plecak wykombinowany z niebieskiej torby na zakupy, jakie można znaleźć w Ikei. Ostatni raz widziała podobną stylizację na festiwalu filmowym w Berlinie. Okazało się, że jej autorka pochodziła z Hajnówki. Swój, pomyślała wtedy Monique, z radosnym biciem serca.

Tamta śmiałym ruchem napełniła szklaneczki, lejąc także po stole. Na barmankę się raczej nie nadaje, stwierdziła Monique. Za duże straty.

– Zdrówko! – zabrzmiało to jak rozkaz. – Tylko nie pytaj, co jest w składzie nalewki. Ważne, że działa i gładko wchodzi. W barku nie powstałoby ani godziny.

Zna tajemne skrytki, pewnie spędza tu sporo czasu, skonstatowała Monique i lekko ścisnęła ją w gardle.

– Ach właśnie! Matka Polka! – Kobieta z impetem stuknęła swoją szklaneczką o szklanekę Monique, aż nalewka chlusnęła im na dłonie.

Po rycersku, oceniła Monique. Chętnie podała pseudonim, jak tamta, ale nie dorobiła się żadnego. Bo „Monique” to tylko jedna z wersji jej imienia. Można by rzec, eksportowa.

– Skąd taki nick? – zapytała ostrożnie.

– Nicka jeszcze ci nie zdradziłam.

– Więc Polka to imię?

– Od Apolonii Chałupiec – przytaknęła tamta, robiąc minę godną gwiazdy kina niemego.

– W szkole chyba nie było ci lekko – wymknęło się Monique. – Przepraszam, nie chciałam.

– Spoko! Byłoby gorzej, gdybym nosiła nazwisko po ojcu: Kutas. Nie musisz mi współczuć – dodała zaraz. – Stary urodził się na Węgrzech. Tam „kutas” nikogo nie bawi. Od biedy można go zrozumieć jak niechlujnie wypowiedziane „przeszukaj”. Ale zwykle nie znaczy nic. Co innego *pöcs*.

– Znasz węgierski? – ożywiła się Monique. Jakby znajomość niszowych języków miała dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

– Tylko przekleństwa. Stary niespecjalnie się angażował w wychowanie potomstwa. Ograniczył się do prokreacji. Gdybym chciała odnaleźć całe swoje rodzeństwo! – Wzniosła ku niebu mocno wymalowane oczyska.

Chyba nie jestem gotowa wysłuchiwać takich zwierzeń, pomyślała Monique.

– Długo znacie się z Alekssem? – zmieniła temat.

– Wychowaliśmy się w jednej piaskownicy. Nasi starzy mieszkają obok siebie. Dalej jest tylko napis „Koniec świata”.

Szybko zalała wrzątkiem grube listki ulungu. W kuchni zapachniało wiosennym

stawem. Żaby, wodorosty, mętnawa woda, w oddali ćwierkanie ptaków, rozmarzyła się Monique. Chciałaby się znaleźć w takim miejscu, ale nawet nie wie, gdzie go szukać.

– Przyjaźnicie się od dziecka. Pozazdrościć.

Jej szkolne przyjaźnie rozsypały się zaraz po maturze. Nawet nie poczuła żalu, może dlatego, że jako pierwsza wyjechała z kraju. A może nie było czego żałować. To, że ludzie siedzą w jednej ławce, dzielą się jabłkiem i zaśmiewają do rozpuku z tych samych bzdurek, nie czyni z nich przyjaciół.

– Nie mówiłam, że się przyjaźnimy – odezwała się Polka. – To, co nas łączy, jest znacznie bardziej skomplikowane. Niektórzy nazywają to karmą.

– Jesteś buddystką?

– Żartujesz!

– No skąd! – zachnęła się Monique.

W jej branży nie brakowało entuzjastów wschodnich filozofii. Im wyższy zajmowali szczebel, tym chętniej mówili o wewnętrznym spokoju i harmonii osiąganym w trakcie medytacji. Ale wystarczył zły biomet, by natychmiast tracili pogodę ducha. Monique przyglądała się w milczeniu, jak mieszają z błotem bogu ducha winne asyistentki, i męczyło ją pytanie, kto tu jest prawdziwym mistrzem zen.

– Alek owszem, praktykuje diamentową drogę – podjęła Polka. – Ale ja? Daj spokój! Nie usiedziałybym w bezruchu nawet kwadransa.

Energicznie zamieszała herbatę, dzwoniąc łyżeczką na całą kuchnię, i przesunęła jeden z kubków w stronę Monique.

– Głębszy problem tkwi tu – stuknęła palcem w skroń. – Nigdy, przenigdy nie zgodzę się na poniewieranie wykluczonymi. Wali mnie, że jest w tym jakiś sens, karma czy nagroda po śmierci. Niech sprawiedliwość zapanuje na ziemi. Tu i teraz.

– Też mam gdzieś pośmiertne medale – mruknęła do siebie Monique.

Ale w przeciwieństwie do Polki już nie wierzy w żadną sprawiedliwość. Czy akceptuje istniejący porządek rzeczy? Na ogół o nim nie myśli, w jej życiu jest zbyt wiele chaosu.

– Więc Aleks wierzy w reinkarnację – wyszeptała, bawiąc się szklanką.

Kiedyś nie zawracał sobie głowy planowaniem następnego weekendu, a teraz kombinuje, jak się załapać na lepsze wcielenia?

– Dlatego stara się zawczasu spłacać wszystkie długi – potwierdziła Polka. – Nawet te, których nie zaciągnął.

Więc użyczył swoich kluczy, żeby wyrównać rachunki? Cholerny egoista, syknęła wzburzona Monique. Nagle pomyślała o mieszkaniu. Czy którykolwiek z jej facetów byłby równie szczodry, żeby oddać do dyspozycji swój barek wraz z wypasioną resztą? Czy po zerwaniu wysyłałby jej w prezencie żeliwne garnki? Odbierał telefon o świcie i zapraszał do siebie? Nawet Konrad, choć zapewnia, że mu bardzo zależy, przekazał Monique klucz tylko do dolnego zamka, a i to w chwili słabości, czyli zapalenia migdałków.

– Diamentowa droga – powtórzyła cicho. – Spędziliśmy razem prawie trzy lata, Aleks tyle mi o sobie opowiadał, a zupełnie nie znam człowieka.

– Może byłaś zbyt zajęta, żeby słuchać?

Tak właśnie wyglądały jej ostatnie lata. Zagrzebana po uszy w cudzych szafach przegapiła niejedną Wielki Wybuch. Ona, która trzyma rękę na pulsie. Niby próbowała się odciąć od nic nieznaczących pierdół, ale to niełatwe, kiedy wszystko się miesza: gabinet z sypialnią, biurko z kuchennym stołem, dress code z rozciągniętym dressem, lunch z niedzielnym śniadaniem. Po roku takiego życia Monique znalazła sposób na dokonanie zdrowego podziału na część służbową i prywatną: każdy wolny weekend spędzała u aktualnego faceta. Aleks mieszkał wtedy na Powiślu. Nawet do głowy by jej nie przyszło, że ma jakieś inne lokum. Tylu rzeczy jej nie powiedział, za to często powtarzał, że są dla siebie stworzeni. Pokrewne dusze, które grzebią wyłącznie we własnych ciałach, zaśmiała się gorzko. Jednym haustem dopiła zawartość szklanki.

– Jakież plany na wieczór? – dobiegł ją schrypnięty głos.

– Powinnam chyba odwiedzić wuja. Mieszkałam u niego jakiś czas po maturze. Potem wyjechałam do Francji i nasze ścieżki kariery się rozeszły. Ale często rozmawiamy przez telefon.

Polka pokiwała głową. Niby ze zrozumieniem, a jednak Monique zrobiło się

głupio.

– Ostatnie lata... – odchrząknęła i umilkła.

Nawet jeśli jest szczerym Maćkiem, wie, kiedy nie warto się tłumaczyć. A może nie wie, od czego zacząć?

– Więc cały wieczór masz zajęty? – Polka znowu napełniła szkło. – Myślałam, że wyciągnę cię do knajpy.

Monique nerwowo oblizwała usta. Tak rzadko słyszy podobne propozycje, a z drugiej strony odwykła od spontanicznych imprezek. Picie z kimś nieznanym zawsze źle się kończy.

– W sumie... – zaczęła.

– Super, w takim razie będę po dziewiątej. I mów mi Brzytwa.

Brzytwa? Staroświeckie narzędzie, ale Monique słyszała już dziwniejsze przezwiska. Na przykład Bonobo.

1993

– *No... bo byłam strasznie głodna – wykrztusiła z ustami pełnymi czerstwej bułki. – Zaraz zwrócę...*

– *Tylko bez scen! Wyszorowałam parkiety na twój przyjazd i mam nadzieję zachować je w tym stanie do sylwestra.*

– *Przepraszam – jęknęła. – Powinnam była doczekać do rana.*

– *Dlaczego?*

– *Bo... no... bo w gościach nie wypada się rządzić. Zaglądać do cudzej lodówki i szperać po...*

– *Wyjašnjmy sobie parę kwestii – przerwał jej wuj, przysiadając na stołku. – Wpuściłem cię do swojego mieszkania, choć nie pozwalałam tu zaglądać nawet listonoszowi. Zgodziłem się, żebyś u mnie zamieszkała.*

– *Tylko tymczasem! – pisnęła.*

– *Ani przez chwilę w mej głowie nie zaświtała myśl, że zostaniesz tu na wieki – odparł z emfazą w głosie.*

Jakby recytował poemat, oceniła Monique, żałując, że nie czytywała w szkole więcej wierszy. Gdyby rozpoznała autora, mogłaby zabłysnąć... lub chociaż odwrócić uwagę od tej nieszczęsnej bułki, z którą ją przyłapano pięć po dwunastej.

– Tymczasem tu jesteś – przypomniał wuj. – Śpisz w mojej dawnej pracowni. Czyli atelier. – Słowo „atelier” wypowiedział takim tonem, jakby rozgryzł właśnie belgijską czekoladkę i natrafił na aksamitne truflowe nadzienie. Szybko jednak wrócił na ziemię. – Korzystasz z mojej łazienki oraz kuchni, używasz moich srebrnych sztućców, masz zapasowy klucz do górnego zamka. To znaczy, jutro dorobię kopię – zapewnił, patrząc jej prosto w oczy. – Skoro dzielimy się przestrzenią oraz zgromadzonymi tu przedmiotami, masz prawo zaglądać do lodówki, jeśli tylko poczujesz głód.

– Nawet o północy? – dopytywała z niedowierzaniem w głosie.

Skinął głową niczym łaskawy władca.

– Pod jednym warunkiem – zaznaczył zaraz. – Nie możesz się rzucać na suchą bułkę jak wygłodniała małpa. Nawet jeśli jesteś bonobo.

– Byłam głodna. – Zawstydzona porównaniem nawet nie zdążyła się zająknąć.

– Głodna! Tym bardziej musisz trzymać fason. Inaczej cwaniaczki zrobią cię na szaro.

– Cwaniaczki? Przecież nikogo tu nie ma. Tylko ty i ja.

– Tylko ja, dzięki wielkie – August z godnością poprawił poły adamaszkowego szlafroka.

– Więc mam się pilnować nawet w kuchni?

– Przede wszystkim w kuchni. Inaczej grozi ci najgorsza forma dziadostwa.

– Czyli jaka? – Monique nie kryła ciekawości.

– Omówimy to następnym razem – ziewnął August, podając jej lniany worek. – Świeży chleb leży tutaj. Bułek w tym domu używamy wyłącznie do panierki.

*

Zaraz po wyjściu Brzytwy zaczęła żałować, że tak szybko uległa. To wszystko przez lata pracy w usługach! Ciągłe naginanie się do cudzych kaprysów sprawiło, że teraz

Monique nie umie odmówić. Zgadza się niemal na wszystko, zamiast powiedzieć głośno: „dosyć”. Daje sobie wcisnąć byle gówno zwane dla niepoznaki promocyjnym kwasem. Potem się dziwi, że ludzie jej nie szanują, nawet Darek, samozwańczy esteta... Po prostu wyznaczył jej termin. A Konrad? Nie musiał nic wyznaczać, przypomniała sobie zirytowana, dostał wszystko podane na srebrnej tacy.

– To nie tak – zaczęła się tłumaczyć.

Konrad stał wtedy na skraju przepaści. Trudny rozwód, utrata uprawnień psychoterapeuty oraz kruchej sympatii dyrektora programowego. Gdyby nie jej wsparcie, kto wie, co by się z nim stało. Na szczęście Monique ma refleks. Kiedy Konrad napomknął o swoich kłopotach, zaprosiła go na długi spacer po Łazienkach. Tam zaczęła opowiadać o niezwykle modnym w Stanach coachingu. Konrad słuchał uważnie, nie komentując ani słowem, a miesiąc później rozpoczął warsztaty. Po roku stał się jednym z najbardziej rozchwytywanych trenerów w mieście. Wkradł się w łaski nowego dyrektora i doczekał własnego programu: *Kobiety przodem*. Ciągłe pnie się ku górze, za to Monique pikuje. Naczynia połączone?

Zdenerwowana rozejrzała się za nalewką. Chlusnęła do kubka w serduszka i zasiadła w fotelu obok rozrośniętej draceny. Najchętniej nigdzie by się stąd nie ruszała, ale czeka ją cholerne wyjście do knajpy z kobietą, która nosi złotą nerkę. Może odwołać? Przecież nie zna numeru tej całej Brzytwy. Mogłaby zadzwonić do Aleksa, ale nie chce mu przerywać nirwany nad oceanem, a jeszcze bardziej nie chce wyjść na nieufnego dzika, który robi problem z paru piw. Żadnych telefonów, zdecydowała. Pójdzie do knajpy, no chyba że (błysnęła chytra myśl) zabawi zbyt długo u wuja, wtedy jest usprawiedliwiona.

Ucieszona sięgnęła po telefon. Znowu włączył się znajomy komunikat: „abonent jest poza zasięgiem”. Wuj nie cierpiał tego miasta z każdym rokiem coraz bardziej, ciągle powtarzał niczym mantrę, że rzuci wszystko w diabły i wyjedzie tam, gdzie można głęboko odetchnąć. Może spełnił swoje groźby czy, jak kto woli, marzenia. Ale dlaczego nic jej nie powiedział? Kiedy rozmawiali w wieczór Trzech Króli, wydawał się dziwnie podekscytowany. Napomknął, że czekają go zmiany. Rewolucyjne! „Nowy projekt?” – zapytała. August tylko się zaśmiał i zaczął

przechwalać, że praktykuje tybetany, zestaw ćwiczeń gwarantujących wieczną młodość. Doszedł już do piętnastu powtórzeń, czuje się coraz lepiej i radzi Monique, by też się do tego wzięła. Mogłaby mu wypomnieć, że będąc w jej wieku, nie kiwnął palcem w bucie. „Sport to mord” – mogłaby go zacytować. Ale po co? Obserwowała podobną mobilizację u swoich klientek. Tuż po przekroczeniu „połówki” zaczynały ścigać się z czasem na poważnie. Botoks, wypełniacze, orientalne masaże, liftingi, dziwne diety i ubrania niczym z Zara Kids. Patrząc, jak usiłują wcisnąć się w ciuchy własnych córek, Monique czuła litość. Na początku próbowała tłumaczyć, że legginsy nawet za trzy tysiące to nadal legginsy; kiepsko pasują do grycanowskich kształtów. Potem machnęła ręką. Zresztą niedługo i ona zacznie wyścig, sięgając po coraz mocniejszy doping. Tyle że debet nie pozwoli przekroczyć granic śmieszności.

Odstawiła pustą szklankę i znowu wybrała numer wuja. Znowu ten sam komunikat. Nic, trzeba będzie go odwiedzić. Wyjść z mieszkania, póki alkohol działa. Przebierze się tylko, bo August nie cierpi dresów. Nigdy żadnego nie nosił, co dawało mu powód do przechwałek. Jeden z wielu, parsknęła cicho Monique. Zrzuciła bluzę i ponownie przejrzała zawartość plecaka. Wreszcie zdecydowała się na gołąbkową sukienkę retro z obniżoną talią. Lata dwudzieste, ulubiona epoka wuja. Będzie zadowolony, choć tego nie okaże, jak to on. Szybko spięła blond włosy w kok, narysowała delikatne kreski na powiekach, do tego naturalny błyszczczyk, szczypta różu i wystarczy. Wuj August uwielbiał wprawdzie efekty rodem z wodewilu, Monique stawia jednak na quasi-młodzieńczą świeżość. Póki jeszcze może ją uzyskać za pomocą rozświetlacza... Oczywiście w telewizji nadal obowiązuje tynkowanie, ale jej to już raczej nie dotyczy, uświadomiła sobie znowu i nerwowo potarła podbródek. Sięgnęła po butelkę, upiła z gwinta kilka łyków, aż zakręciło się jej w głowie. Energicznie zdjęła z wieszaka płaszcz, sprawdziła, czy ma klucze Aleksa, i wyszła na tramwaj. Mogłaby podreptać wzdłuż Wisły, w kwadrans byłaby na miejscu, ale ma już dość spacerów w deszczu.

Przebiegła wzdłuż Alei, zakrywając twarz grubym szalikiem. Bezskutecznie, wciąż czuła w nozdrzach ciężki smolisty zapach. Koks, rozpoznała natychmiast, z pewnym rozczeniem. Hajcowali nim wszyscy sąsiedzi rodziców, powietrzem nikt się nie przejmował. Halny przewieje, mawiał mąż ciotki, Antek, z beztróskim

uśmiechem, na który ojciec reagował szczękościskiem; w kominku mógł palić wyłącznie drewnem. Raz spróbował przyoszczędzić i wrzucił porąbany blat stołu. Lakier tak podkręcił temperaturę spalania, że niemal rozwaliło komin. Od tej pory ojciec zaciska zęby, skoro nie może zacisnąć pasa.

Ale poza koksem Monique wyłowiła całkiem inny, jakby to ująć, bukiet. Coś, czego nie pamięta z pierwszego pobytu w Krakowie. Metaliczny, drażniący, z nutą palonej gumy. „Tak pachnie obojętność urzędasów z magistratu – oznajmił wuj, narzekając, że wieczorem nie może otworzyć okna. – Zaduch na miarę pani Dulskiej”. Monique ledwie słuchała, zajęta malowaniem paznokci u nóg, a teraz... teraz już rozumie. Odkaslnęła i przyśpieszyła kroku, by zdążyć na tramwaj. Wsiadła w ostatniej chwili, przecisnęła się do automatu i wtedy sobie uprzytomniła, że portfel z drobnymi został w plecaku. W kieszeni płaszczka wymacała zmięty banknot. Mogłaby u kogoś rozmienić. Rozejrzała się po wagonie w poszukiwaniu życzliwej twarzy. Parę staruszek wpatrywało się przez mokre od deszczu szyby, ktoś czytał książkę, ktoś drzemał, większość pasażerów miała wzrok wbity w ekran smartfona albo we własne myśli.

– A w cholere – mruknęła do siebie Monique. – Najwyżej będzie mandat.

Wysiadła przy ulicy Krakowskiej. No i w którą teraz stronę? Niby nic się nie zmieniło, te same kamienice, ale jakby wyższe... Dziwne, po latach wszystko powinno wydać jej się mniejsze, jak szkolne sale i ławki.

– Chyba się nie kurczę? – wyszeptała spłoszona, przeglądając się zaraz w sklepowej szybie.

Nagle zatrąbił klakson. Zdziwiona odwróciła głowę. Czarne bmw, a w nim roześmiany rudzielec koło trzydziestki. Energicznie pomachał Monique i zaczął coś pokazywać na migi. W odpowiedzi posłała mu uprzejmy uśmiech gwiazdy TVN-u przyzwyczajonej do uwagi i ruszyła w przeciwną stronę, wyprostowana niczym wieża Eiffla. Niech koleś sobie nie myśli, że wszystko mu wolno, bo jeździ wypasioną beemką, mrucała, w gruncie rzeczy zadowolona. Tak dawno nikt jej nie zaczepiał w ten sposób. Ostatni raz w Paryżu, tam faceci potrafią się uganiać za kobietą, westchnęła, starając się nie pamiętać, jak ją wtedy drażniły podobne podrywy.

Skreśliła w Węglową i natychmiast przestała się prostować. Zaraz zresztą zapomniała o całym incydencie skupiona na tym, by odnaleźć mieszkanie wuja. Z adresu pamiętała jedynie ulicę, ale chyba rozpozna budynek, w którym mieszkała ponad pół roku? W Paryżu nigdy się nie zgubiła, więc i tu da radę. Podeszła do rzędu podobnych kamienic. Intuicyjnie wybrała tę najbardziej zniszczoną. Ściemniałe mury, odpadające tynki, spękane framugi okien, niedomykająca się brama... Wszystko zdawało się inne, bardziej mroczne niż przed laty, ale kiedy Monique weszła do środka, gdy zerknęła na wyslizgane schody i wciągnęła w nozdrza piwniczną woń, poczuła dokładnie to samo co za pierwszym razem.

1993

– Aż na trzecie piętro? – pisnęła zachwycona.

Pierwszy raz w życiu wspinała się tak wysoko. To znaczy w górach owszem, ale nigdy w kamienicy! Wszyscy jej znajomi mieszkali w zakopiańskich domach zwanych willami. Może nawet i dwupiętrowych, tyle że górę przeznaczano dla turystów oraz hipotetycznych gości z dalekiej rodziny. Codzienne życie ograniczało się do parteru lub (częściej) suterenu. Liceum Monique miało dwa piętra, dawna podstawówka tylko jedno, bursa, w której spędziła kolonie letnie – również, a tu proszę, czeka ją mieszkanie na trzecim. Od razu poczuła się tak, jakby wstąpiła na podium.

– Ja wolałbym parter – zdradził wuj August, odpoczywając na półpiętrze.

Dziwne, pomyślała, przecież pokonuje tę trasę codziennie. Powinien się przyzwyczać, tak jak ona jest przyzwyczajona, że idąc do swojej budy, ma zawsze pod górkę. Ruszyli wreszcie, mijając się na schodach z brodatym żulikiem w seledynowym dresie z kreszu. Brodacz rzucił wujowi „...obry”, nie wypuszczając z zębów resztek tłącego się papierosa. Aż dziw, że nie parzy mu warg, przemknęło jej przez głowę.

– Panie Gruda – zagrzemiał wuj August takim głosem, że Monique omal nie upuściła torby. – Jak się umawialiśmy?

– Że nie ma palenia na obiekcie – wymamrotał żulik, chowając niedopałek w dłoni. – Ja, panie kierowniku, podniosłem z podestu, bo ktoś rzucił, nawet nie

przydeptał, to se myślę: a dopalę.

– „Podniosłem” – poprawił go wujek. – To po pierwsze. Po drugie zaś, umawialiśmy się odnośnie do powitania, że ma być... słucham...

– Dzień dobry – bąknął Gruda, uciekając wzrokiem hen, daleko poza mury budynku, gdzie nie sięgała władza czuba w kremowym szalu. – Dzień dobry, panie kierowniku.

– Brawo. Teraz mogę panu odpowiedzieć. Dzień dobry, panie Gruda. – Z przedniej kieszonki wyłuskał kilka papierosów ze złotym paskiem na granicy filtra. Podał je ucieszonemu Grudzie. – Francuskie, jeszcze z poprzedniego systemu, ale w ogóle niezwiędnięte, sam pan zobaczy.

– Ja to z rana bym nawet słomą zakurzył – wyjął żulik uradowany. – Dzięki! To znaczy: dziękuję, panie kierowniku!

Dygnął w kierunku zaskoczonych Monique i szybko zbiegł na dół.

– Jezu – wydusiła wreszcie, kiedy zostali sami. – Co to było?

– Każdy ma takie Chamowo, na jakie sobie zasłużył.

*

– Chyba że pomyliłam kamienice – zastanawiała się Monique.

Nie ma nawet jak sprawdzić, bo stary notes z adresami zaginął podczas przeprowadzki. Gdyby wysyłała wujowi kartki, wiedziałyby, czy trafiają, ale od lat tego nie robi. Urodzinowych nie znosił, świąteczne nazywał estetyczną katastrofą, przypominała sobie zaraz na usprawiedliwienie. A jednak słała je z Paryża i nawet potem, mieszkając już w Warszawie. Więc co się stało, że nagle odpuściła? Tak zwana kariera?

– Wybrałam na czuja, a może w każdej śmierdzi tym samym.

– Zależy od administracji – zauważyła Brzytwa. – Panuje taka zasada, że im bardziej wypasioną mają stronę, tym większy gnój na obiekcie. Że użyję ich żargonu.

– Teraz znowu mi się wydaje, że weszłam do złej bramy – zirytowała się nagle Monique.

– Po dwudziestu latach łatwo się rąbnąć. Mój chrzestny na przykład – Brzytwa rozsiadła się wygodniej – ostatnio wpadł na swoją byłą, a moją chrzestną. Spotkali się przypadkiem na Grzegórkach, twarzą w twarz. Minał ją niczym budkę telefoniczną. Najśmieszniejsze, że chrzestny ciągle fantazjuje, jak to się kiedyś spotkają w mieście. On spojrzy jej prosto w oczy, zaprosi na kawę, porozmawiają i może wróćą dawne słoneczne dni.

– A ona? Nie mogła odezwać się pierwsza?

– Kompletnie ją zatkało. No wiesz, latami słyszysz, jak to twój ślubny nie może cię zapomnieć, jak usycha z tęsknoty, a tu nagle się okazuje, że robisz za budkę. Niezła lekcja pokory. Miejmy nadzieję – mrugnęła – że ty swojego wuja poznasz.

– Bez problemu! Widzieliśmy się, pięć lat temu. W ogródku na Kazimierzu.

– Nie zapraszał cię do siebie?

– Wpadłam tylko na dwa dni. Zaraz z obwodnicy zjechaliśmy na event, który kręciła moja stacja. Potem szybko do hotelu, mały bankiet, nazajutrz zdjęcia, dogrywki. Praca w telewizji – podsumowała tonem, który wyjaśniał wszystko.

„Moja stacja?” Mówi jak celebrytka. Celebrytka, którą nie jest i nigdy nie będzie.

– Nieważne – dodała zakłopotana. – Tyle się działo, że umówiłam się z Augustem przed samym wyjazdem. Zgodził się przyjąć kota na tymczasem.

I tak zostało do dzisiaj. Wieczna prowizorka.

– Ten facet, który ci otworzył – Brzytwa wróciła do tematu – powiedział, że nie zna Augusta?

– Odburknął tylko, że nikt podobny tam nie mieszka. Koleś od remontu, wiesz, jacy są.

– Za często zmieniam mieszkania, by robić w nich remonty.

Wszystko przed tobą, szepnęła Monique, przygryzając paznokieć. Znowu przypomniała sobie rozmowę z robociarzem. Jeśli można to nazwać rozmową. Zadzwoniła, otworzył nachmurzony niczym dyrygent, któremu ktoś śmie przerywać próbę generalną. Uśmiechnęła się przymilnie i zapytała o Augusta Nocnego. „Żaden taki tu nie mieszka” – warknął. „Wyniósł się? Nie wie pan dokąd? Jestem daleką

krewną z Paryża” – skłamała. Tamten wzruszył ramionami. „Ja tu tylko z remontem wszłem”. „Z administracji?” – drążyła. „Prywatny remont, niech właściciela pyta” – odparł, trzaskając jej drzwiami tuż przed nosem. Miała ochotę zadzwonić jeszcze raz i powiedzieć gościowi, jakim jest prostakiem. Nie ma sensu, uznała. Zresztą nie jego chamstwo zabolę ją najbardziej. Jeszcze dziesięć lat temu... Może potraktowałby cię tak samo, próbowała się pocieszać. Tacy się nie znają na urodzie. Lubią proste efekty: białe kozaki, platyna na głowie, miniówa, dekol. I buzia, której nie trzeba niczym rozświetlać, uświadomiła sobie z przykrością.

– Próbowalaś gadać z sąsiadami? – drążyła Brzytwa.

Tarabanić do obcych ludzi, stawiać ich na baczność tylko dlatego, że nie zastała wuja? To nie w stylu Monique. Nigdy nie lubiła robić wokół siebie zamieszania, dlatego raczej się nie dopcha do celebryckiej ścianki.

– Możemy podskoczyć razem, po drodze do pubu – zaproponowała Brzytwa, siadając na tej samej ławie. Jak zwykle zbyt blisko.

Razem? Ramię w ramię! Monique lekko się wzdrygnęła. I pomyśleć, że kiedyś uwielbiała podobną bliskość. W szkole zawsze towarzyszył jej wianuszek rozchichotanych koleżanek, albo przynajmniej Duśka z naprzeciwka. Monique ciągnęła ją ze sobą, nawet kiedy biegła po sól do spożywczaka za rogiem. W Krakowie zdarzały jej się samotne przechadzki; wuj nie zawsze dał się wywabić z salonu, ale dopiero w Paryżu doceniła ten rodzaj wolności. Dziś nie lubi jej tracić. Tylko jak to wytłumaczyć obcej osobie?

– Chyba trochę za późno na wydzwanianie po domach – bąknęła.

– Właśnie najlepiej. Staruszkowie wracają do swoich dziupli na seriale. Każdy wiek ma swoje prawa.

Dziadek Fortuna po siedemdziesiątych urodzinach też coraz rzadziej wyłaził poza swój ogródek. Zaczął też kłaść się z kurami, co Monique rozumiała dosłownie, a zazdroszcząc mu fantazyjnego posłania, też próbowała wdrapać się na grzędę. Skończyło się sporym zamieszaniem w kurniku i utratą dziecięcych złudzeń. Dziadek nawet tego nie zauważył, zbyt skupiony na rozpamiętywaniu własnej przeszłości. Z każdym rokiem coraz bardziej odcinał się od świata. W tym dla niego

ostatnim nie wstawał już z łóżka. Zimowe miesiące przedzemał odwrócony plecami do małego okienka w suterenie. „Wreszcie się uspokoił – orzekła babcia z ulgą. – Bo za młodu... Boże złoty, szalał niczym orkan!”

Nagle Monique poczuła rozdrażnienie. Wuj August staruszkiem? Owszem, na początku wydał jej się „za stary”. Ale miała wtedy ledwie osiemnaście lat i zupełnie inny stosunek do wieku. Wierzyła, na przykład, że wszystko, co ważne, należy zrobić przed trzydziestką, bo potem już po ptokach. Tylko odcina się kupony.

– Wuj nie jest wcale stary. Ledwo przekroczył sześćdziesiątkę – rzuciła rozdrażniona. – Codziennie ćwiczysz rytuały tybetańskie, ale i bez nich miałbyś power.

Lokalny żandarm na emeryturze, pewnie terroryzuje wszystkich mieszkańców w okolicy. Nagle Monique przypomniało się ich ostatnie spotkanie. Wyglądał niewyraźnie... jak to na wiosnę, dodała zaraz. Zresztą komu jest do twarzy z potężnym kacem?

– Miałam na myśli sąsiadów – wyjaśniła Brzytwa. – W kamienicy na pewno znajdzie się parę świetnie zakonserwowanych staruszek, które dysponują ogromną dokumentacją na temat mieszkańców. Nawet jeśli nie otwierają nikomu drzwi. Przez judasz naprawdę sporo widać.

– Podskoczę jutro.

Magiczne słowo, którym można zapchać uszy niemal każdemu: rodzicom, terapeutce, nawet samej sobie. Tylko nie Konradowi. „Są dwa dni, kiedy niczego nie możesz – powtarzał: – wczoraj i jutro”. Motywujące? Nie przed kolacją.

– Ty decydujesz – dobiegł ją schrypnięty głos Brzytwy. – Jesteś dorosła.

Wuj August też to powtarzał. Od tego zaczynał wykład, który miał jej udowodnić, że Monique jest naiwnym dzieciakiem, który dużo się musi nauczyć.

1993

– *Czasopismo dla prawdziwych koneserek – oznajmił, wertując październikowy numer „Ikony” – w sam raz dla ciebie.*

Zabrzmiało niemal jak komplement, ale przez ten miesiąc Monique już się

nauczyła, że wuj rzadko chwali kogokolwiek.

– Mówiłeś, żeby sięgać najwyższej półki – przypomniała nieśmiało.

– No i sięgnęłaś. Co my tu mamy... – Przerzucił kilka stron. – Sensacyjna wiadomość! Romanse Silhouette to ekskluzywne, ekskluzywne – powtórzył głośniejszym głosem – powieści dla nowoczesnych i niezależnych kobiet. A nieco dalej pochwała równie wybornej margaryny Kamy. Może się skuszę na jedno i drugie, a me serce zabije jak dzwon...

– To tylko reklamy – ośmieliła się zauważyć Monique.

– Nowoczesna poezja – poprawił. – Jedyna coś obecnie warta.

– Poza reklamami jest przecież sporo...

– Doskonałych tekstów. Bawią, uczą, wychowują. Dzięki nim nauczyłem się stylowo zasiadać. – Zademonstrował, zakładając nogę na nogę (dokładnie tak, jak radzono na sto pięćdziesiątej drugiej stronie), i wrócił do „Ikony”. – A oto i wywiad, z aktorką, która robi oszałamiającą karierę w Hollywood. Temat – kostiumy, w których zabłysnęła w filmie Prêt-à-porter: „Kobiety ponoć w sukniach Alaïi czują się trzystuprocentowymi kobietami – przeczytał wuj modulowanym głosem – ja ze swoim biustem czułam się kobietą w sześciuset procentach... Vivien Klapish stała się więc bardzo seksowną dziennikarką. Miałam szczęście. Julia Roberts występuje w filmie bez makijażu, z potarganymi włosami i w dwóch kostiumach: białym szlafroku i szarym dresie do joggingu z ogromną plamą po czerwonym winie”. Szczęście zyskało nową definicję.

Nieśpiesznie sięgnął po filiżankę z miśnieńskiej porcelany. Podobne zachwalano w świątecznym numerze „Ikony”, może gdyby wuj zobaczył zdjęcie, przestałby się natrzęsać.

– A tu kolejna perełka – podjął. – Ekspert zastanawia się, jakiego rodzaju użyć, mówiąc o kobiecie, futrze i pistolecie. Leżały na podłodze? Czy może leżeli, wszak pistolet jest rodzaju męskiego...

Co powinna zrobić? Bronić swojego wyboru? Tłumaczyć się czy po prostu przeprosić? Tego ostatniego nauczono ją w domu. Matka nieustannie przepraszała letników za brak ciepłej wody, ojciec za problemy ze światłem i chłód panujący

w pokojach. Słowo „przepraszam” padało tak często, że straciło jakiegokolwiek znaczenie.

– Więc co powinnam czytać?

– Jesteś dorosła, możesz wszystko, nawet świerszczyki. O ile jest tam coś do czytania.

Świerszczyki? Już się naoglądała u Duśki z naprzeciwka. Jej starzy mieli całą kolekcję austriackich pornosów, schowaną pod wykrochmalonymi prześcieradłami. Od tamtej pory wąsy kojarzą się Monique z perwersyjnym seksem uprawianym w piwnicy gdzieś na przedmieściach Linzu.

– Możesz czytać wszystko – powtórzył August, przeglądając kolejne strony. – Ale po co trwonić czas na dziadostwo?

Nazywać w ten sposób najdroższe i najmodniejsze pismo na rynku? Wujek chyba żartuje!

– Jesteś dorosła – podkreślił wuj – ale nadal nie potrafisz rozpoznać dziadostwa. Myślisz, że jest tylko jeden jego rodzaj: kiedy człowiek dziaduje po kryjomu, by zabłysnąć przed obcymi?

Ojciec, pomyślała natychmiast. Nie spuszcza po sobie wody, nie pali światła po zmroku, łązi w podartych siatkowych podkoszulkach (chyba że jest zbyt zimno na negliże), chrupie suche pajdy chleba tak, że trzeszczą mu w zębach. Dziadowanie pełną gębą. Ale niech zapuka do nich pani Krysia z przychodni. Ojciec porzuca chleb i czmycha do łazienki, w locie przekazując rolę gospodarza swojej lepszej połowie. Ta też się chowa, w ciemnej kuchni, bo jak zwykle ma na sobie spraną lejbę (dobrą do krzątania się przy garach). Brat nigdy nie słyszy dzwonka, siostra flirtuje na spotkaniu oazowym, więc pada na Monique ubraną w wytarte džinsowe spodenki. Wszyscy jesteśmy dziadami, uświadomiła sobie zawstydzona. Taka nasza rodzinna tradycja.

– Masz prawo nie wiedzieć – dodał wuj, widząc jej minę. – Przez lata trzymali nas za żelazną kurtyną, z daleka od kolorowych zabawek. Dlatego rzucamy się na wszystko, co pachnie Zachodem.

– „Ikona” powstała tutaj – zauważyła Monique.

– Rodzima produkcja, podobnie jak film Psy, mafia pruszkowska i polo-cockta. A jednak czuje się tandetny smak podróbki. Dlatego nazywam to – stuknął paznokciem w okładkę „Ikony” – dziadostwem.

Niedziela

Kac moralny, najstraszliwszy ze wszystkich kaców. Wystarczy tak niewiele, by dopadł człowieka i rozerwał na atomy. Parę kufli, rzewna muzyka w tle, przypadkowe życzliwe ucho. Choć trzeba przyznać Monique, że na początku dzielnie się trzymała. Zaserwowała Brzytwie kilka anegdotek, którymi udało jej się rozbijać niejedną drętwy bankiet. Tak zwane opowieści łotrzykowskie, ma do nich smykałkę, może dlatego, że potrafi kpić z samej siebie. Brzytwa też zdawała się słuchać z przyjemnością i nagle spytała o kota. „To długa, nudna opowieść” – próbowała ją zniechęcić Monique. „Dawaj, śmiało” – rzuciła Brzytwa i już nie było przeprosić. Nie po dwóch piwach.

„Szukano wtedy programu odskoczni od tragedii smoleńskiej – zaczęła Monique. – Wiosna zobowiązuje, zwłaszcza w kanale dla kobiet. Dyżurnym mózgom ze stacji zabrakło pomysłów, więc w palarni podrzuciłam temat zastępczy. Koty. Zaczęły właśnie robić furorę w sieci – zdradziła. – Na ogół nie słuchano moich uwag, chyba że w garderobie, ale wiesz, jak to jest na bezrybiu – mrugnęła. – Pomysł chwycił. Na zebraniu zapadła decyzja, żeby urządzić imprezę plenerową poza stolicą, zbyt przejętą niedawną tragedią i nadchodzącymi wyborami. Uznano, że dla zwiększenia oglądalności trzeba pożenić koty z gwiazdami stacji. A więc festyn. Z udziałem celebrow, bezdomnych zwierząt i kamer. Cel był szczytny: promowanie adopcji, przy okazji ocieplenie wizerunku paru prezenterek uchodzących za zimne suki” – zaśmiała się, od razu zdradzając, jakim cudem znalazła się na planie. „Brakowało chętnych do adopcji, więc wyskoczyłam przed orkiestrę i wzięłam taką jedną bidę po przejściach. Wszystko potoczyło się migiem: zdjęcia, nagrania, gratulacje. Nagle ktoś zauważył, że dobrze wypadam w kamerze.

Ktoś dorzucił, że z twarzy jestem podobna do młodej Pameli Anderson. Nagle wszyscy zachwyceni, a tuż po powrocie do Warszawy dostałam swój pierwszy program”. „Mówiłaś o kocie” – przypomniała jej wtedy Brzytwa. „Ach, kot! Został na tymczasem u wuja – odparła, zmywając zakłopotanie piwem. – Nie chciałam mu fundować kolejnej rewolucji. Nienormowany czas pracy, nocne imprezy, wiesz, jak to jest, czy nie wiesz...”

– Pamela – mruknęła ze złością, omijając wzrokiem swoje odbicie w lustrze.

Ochlapała twarz zimną wodą. Nieco ulżyło i znowu przyplłynął do niej strzęp wczorajszych rozmów. Dużo bardziej żenujący niż opowieść o kocie. Tam przynajmniej Monique nie powtarzała się jak katarynka. Najgorsze przyszło po trzecim piwie, kiedy Monique zauważyła, że Brzytwa jej kogoś przypomina. Amy Winehouse. Trochę starsza, nieco bardziej koścista i przerysowana, ale Amy. Wtedy się zaczęło. Czy Brzytwa śpiewa? Czy nie myślała o własnym zespole? A może zagrałaby w reklamie? Nadal szukają sobowtórów Amy, jej legenda wciąż żyje. Jaka szkoda, że podobnych twarzy nie ma w telewizji śniadaniowej. Monique mogłaby podzwonić do kogoś i zapytać. Żal marnować taki potencjał. I tak w kółko. Pijacka mantra. Wreszcie Brzytwa oznajmiła, że pora wracać. „O północy!?” – oburzyła się Monique. – Amy nie jest słodkim Kopciuszkiem, bawi się do końca!” Tego, co wygadywała po drodze, woli nawet nie wspominać, bo zaraz się porzyga.

Czym splukać ten straszliwy niesmak? Wczorajszej nalewki już nie ma, ale w barku musi być jakaś buteleczka. Pani Gienia na pewno coś zakitrała na lany poniedziałek.

– Bingo – wyszeptała Monique, wyjmując spomiędzy bombonierek zielonkawą butlę z żółtą etykietą.

Becherovka, pewnie jak zwykle kupiona pokątnie za czeską granicą. Aleks uwielbiał żulerskie klimaty: imprezki w mordowniach, podejrzane transakcje i szemrane alkohol. Zamiast jamesona wybierał ruski bimber lany prosto z kanistra albo czeskie ziołowe nalewki mieszane w piwnicy u Wietnamczyków. Spożycie grozi ślepotą, powtarzał ucieszony, częstując Monique. Wymawiała się niechęcią do mocnych trunków, ale dziś nie będzie wybrzydzać. Zwłaszcza że nie ma wyboru. Bo poza becherovką w barku jest tylko wódka.

– Wódka? – August lekko zmarszczył nos. – Miałbym cię częstować czymś takim?
Zgroza!

– Niby dlaczego? – zainteresowała się Monique.

– Od razu poznać, że nie czytałaś Mistrza i Małgorzaty, bo wiedziałabyś, że prawdziwej damy nie uchodzi częstować wódką, tylko spirytusem.

Prawdziwej damy? Monique poczuła, jak rośnie jej serce, by zaraz się skurczyć do rozmiaru temperówki.

– Ale ty wolisz uchodzić za góralkę.

Rzuciła wujowi oburzone spojrzenie. Przecież wie, że jej rodzice pochodzą spoza Tatr. Ojciec wychował się w Krośnie, matkę przywiało po maturze aż z Suwałk. Owszem, po latach starań wpasowali się w lokalny krajobraz. Mają góralską willę, zakopiańskie kapcie i kwaśnicę na obiad. Przed turystami potrafią nawet zagadać gwarą. Na pozór nie odstają od prawdziwych górali, ale serce zostawili tam, gdzie zabawki z dzieciństwa. Wystarczy chwila nieuwagi, trochę bimbru i już tęsknią, zwłaszcza matka. Monique chętnie by to wszystko przypomniała wujowi, czuła jednak, że nie warto.

– W lodówce wuja stoją dwie butelki wódki – odbiła piłeczkę. – Otwarte.

– Do dezynfekcji sztućców – odparł, nie tracąc rezonu. – Wiesz chyba, kto u mnie bywa.

No właśnie nie bardzo, uświadomiła sobie ze zdziwieniem. Wuj często opowiadał o swoich rozległych kontaktach towarzyskich, sądziła więc, że prowadzi dom otwarty. Tymczasem od jej przyjazdu do drzwi dzwonili jedynie akwizytorzy i nieśmiały listonosz, który nigdy nie przekraczał progu mieszkania.

– Ludzie są okropni – ciągnął wuj, ustawiając się w kolejce do baru. – Nie myją rąk po wyjściu z toalety. Potem idą w gości i tymi rękami chwytają zabytkowe srebrne sztućce, jakich nie powstydzono by się w muzeum sztuki użytkowej w samym Wiedniu.

Dziwne, pomyślała, że nie przeraża go, co działo się ze sztućcami przed jego

narodzeniem. Monique na przykład robiło się mdło na samą myśl, że ludzie, którzy ich używali, są dziś kupką popiołu. Ci jeszcze żywi brzydzili ją znacznie mniej.

– Myślałam, że nie zapraszasz tych okropnych ludzi do siebie – rzuciła niewinnym głosem.

– Nie zapraszam, czasem sami przyjeżdżają – odgryzł się. – Zresztą jak niby mam poznać, kto myje ręce?

– Człowiek na poziomie...

August tylko się zaśmiał.

– Więc co zamówić? Spirytus? – zmieniła temat, by go ułagodzić.

– Niestety nie jesteśmy w moskiewskim mieszkaniu z dobrze zaopatrzonym barkiem, tylko w krakowskiej piwnicy, gdzie ludzie nadal tęsknią za Habsburgami. Zatem piwo, najlepiej czeskie. Z małego browaru, a nie takie EB – z pogardą wskazał beczkę. – Gorzkie szczynty warzone pod studentów, którzy na juwenaliach wypiją wszystko, byle miało procenty. To jak?

Skinęła, choć nie było to konieczne.

– Dwa lane czeskie piwa z małego browaru – zaczął takim głosem, jakby recytował Inwokację – raczej półciemne o aksamitnym...

– Jest to, co widać – przerwał mu barman, zirytowany, że ktoś zawraca gitarę. A poza tym lubił się czasem naburmuszyć. Ot tak, bez powodu.

– Zatem dwa duże EB – wybrał wuj, a widząc minę swojej przyszywanej siostrzenicy, wyjaśnił: – Cóż robić, bezrybie.

*

Wypić, chuchnąć, odstawić kieliszek i czekać na poprawę. W głowie nadal pulsuje, ale przegoniła duchy zeszłej nocy. Na dobre, chyba że znowu zacznie je wywoływać niepotrzebnym gmeraniem w szufladce z napisem „Wczorajszy obciach”. Natychmiast łyknęła becherovki. Już woli stracić wzrok, niż skręcać się ze wstydu.

– Ulga – rzuciła bez przekonania, bawiąc się telefonem.

Dopiero teraz dostrzegła, że przyszły dwa esemesy. Jeden pilny: „Garden party, majowe otwarcie sezonu. Seksownie?”. Od Kini, najwierniejszej z klientek, dlatego

Monique przymyka oko na jej wpadki: telefony o przedziwnych porach, zlecenia na wczoraj z odroczoną datą płatności, domaganie się darmowych usług ekstra, wreszcie skłonność do obnażania dekoltu. Znowu przegięła, oceniła Monique wpatrzona w źle skadrowaną fotkę. Ołówkowa sukienka przed kolano. Mała czarna, która sprawdza się na każdej imprezie, podobnie jak pizza. Ale nie w takim wydaniu! Baskinka niepotrzebnie podkreśla biodra, zbyt małe wycięcie pod pachą, za to dekolt jak zwykle sięga niemal pępka.

– Bufet otwarty. Brać, korzystać, nie żałować – sarknęła Monique.

Do tego pretensjonalna kopertówka i drogie szpilki. Wszystkie dodatki, łącznie z koralami, skąpane w krwistej czerwieni.

„Skąd to upodobanie do wulgarności? – nie mógł zrozumieć wuj August, kiedy ostatnio przesłała mu mailem kilka fotek. – Myślałem, że nowobogaccy stawiają na elegancję”. „Stawiali w zeszłym wieku – cierpliwie tłumaczyła Monique. – Ale już im się przejadło. Przynajmniej w stolicy”. Bo w Krakowie, zwłaszcza w ścisłym centrum, pewne rzeczy nigdy nie wychodzą z mody. Umiejętność gry na rozstrojonym fortepianie, nostalgia za Franciszkiem Józefem, kapłan w rodzinie oraz zaśniedziałe srebrne sztucce, którym można przypisać właściwą historię. „Elegancja jest passé – ciągnęła. – Afery, z których nikogo nie rozliczono, też obniżyły standardy. Nowa kadra zarządzająca chce być sexy i glamour”. „Za dużo kart w portfelu – zagrział wuj. – Tu tkwi problem. Najsmaczniejsze potrawy powstały w garnkach biednych”.

Zdziwiłyby się, co biedacy jadają dzisiaj. Chleb z polepszaczami, hydroponiczne pomidory, kurczaki faszerowane hormonami, a na deser chipsy ze świńskiej skórki, zapijane gazowanymi truciznami o smaku poziomek. A może w nowym tysiącleciu wuj też spuścił z tonu i zajada się kurzymi udkami z Biedrony?

– Niemożliwe – stwierdziła, odpisując na esemesa.

Darmowa rada, która nic nie kosztuje, a tworzy więź z klientką. Do czasu, aż ta znajdzie stylistę, który bardziej umiejętnie posłodzi. Pragną akceptacji, tłumaczył jej Konrad. Dziwne, kiedyś nikt się z nimi nie pieścił, a dziś zewsząd głaski, pochlebstwa, zapewnianie, że „ci się należy”, i ciągle niedosyt. Apetyt rośnie w miarę konsumpcji? Monique powinna to uwzględnić i zwiększyć zawartość cukru

w cukrze, ale ciągle nie może się przemóc. Próbuje sobie tłumaczyć, że granice żenady są tylko w jej głowie, nic z tego.

A gdyby pójść za nowym trendem wzorowanym na postaciach stylistów z amerykańskich seriali? Otwiera taki szafę i na widok zawartości krzywi się, jakby zobaczył własnego dziadka *in flagranti*. Teatralnym gestem łapie się za wypudrowane czoło, wreszcie orzeka: „Masakra! Wszystko *out!* Natychmiast!”, nie waha się przy tym dodać: „Te ciuchy cię obrażają, złotko. Znajdziemy coś godnego królowej”. Stylistyczne sadomaso, Monique zna mechanizm działania, ale nie lubi gier w pracy, no i nie jest gejem. Woli więc zachować złoty środek. Może dlatego ubywa jej zleceń, w tej branży ceni się skrajności...

„Dlaczego nie zmienisz działki?” – spytała wczoraj Brzytwa. Niby na jaką? Sprzątanie garderoby? Kuszące, Monique uwielbia porządki w cudzych szafach, ale niekoniecznie musi się tym chwalić w cv. Dlatego robi swoje, póki może. „Twoje biodra nie potrzebują peleryny. Wyrzuć baskinę! I zmień rajstopy na cieliste”. „Dekolt super, zdejmij korale” – dopisała po chwili. Odpowiedzi nie było. Kinia medytuje w grocie solnej, przypomniała sobie. Taka namiastka wielkopostnych rekolekcji.

Sprawdziła drugiego esemesa. Od Aleksa. „Jak tam głowa? Przewietrzona?” Zdawkowo jak zawsze, pomyślała rozczarowana. Dlatego nie będzie oddzwaniać, ograniczy się do krótkiego: „Dzięki, spoko!”. Posłała i natychmiast zadzwoniła do wuja. Dobry sposób, by nie myśleć o Aleksie.

– Abonent poza zasięgiem – wyrecytowała, przedrzeźniając automat.

Więc musi powtórzyć wycieczkę. Znowu wdychać paskudztwo zwane dla niepoznaki smogiem.

– Dwa dni jeszcze nikogo nie zabiły – orzekła, szorując do łazienki.

Pięć po dwunastej gnała przejściem podziemnym w stronę Zwierzynieckiej. Mogła wybrać ten sam przystanek co wczoraj, ale nie lubi tych samych rozwiązań. Wystarczy, że powtarza się w pracy. Wuj działa całkiem inaczej. W pracy szał jak z obrazu Podkowińskiego, w domu zaś – nieustający dzień świstaka. Te same rytuały, na śniadanie, obiad i kolację. Te same potrawy, knajpki, kina, trasy do

domu. A już najgorsze były niedziele. „Nuda, nuda, nuda” – powtarzał wuj, z zadowoleniem moszcząc się w zapadniętym zielonym fotelu.

Ale w zeszłym roku nawet on zaczął tracić cierpliwość. Kiedy Monique zapytała go o wydarzenia kulturalne w mieście, odburknął: „To samo: festiwal pierogów i święto kiełbasy lisieckiej. Już wolę prawdziwą wiochę. Tam przynajmniej ludzie znają się na pierogach i nie mylą sacrum z profanum”. Może uznał, że to ostatni moment, by wcielić słowa w czyn, i siedzi gdzieś na Roztoczu, które tak lubił. Tylko dlaczego milczy, zamiast się pochwalić nowymi widokami? A jeśli leży w szpitalu albo ktoś go zamordował w piwnicy, skuszony kryjącymi się tam bogactwami? Już prędzej szpital, uznała zaraz. Wuj nie odbiera telefonu, bo nie chce, by go oglądano w brzydkiej pidzanie. To w jego stylu, uznała, wchodząc do kamienicy. Powoli ruszyła na trzecie piętro, starając się nie stukać obcasami. Starsi ludzie nie znoszą hałasów, zwłaszcza w senne, deszczowe niedziele. Stała wreszcie przed drzwiami wuja i wcisnęła dzwonek, z góry wiedząc, że nikt jej nie otworzy. Dzień wolny od remontów. Spróbowała znowu tylko po to, by odsunąć w czasie rozmowy z sąsiadami. Potem wzięła głęboki oddech i zastukała do drzwi obok. Cisza. „Może na dziś wystarczy?” – kuśił skacowany diabełek w jej głowie.

– Jeszcze tylko dwa mieszkania i spokój – obiecała, drepcząc w stronę drzwi na końcu korytarza.

Przycisnęła mosiężny guzik. Dzwonek zabuczał przeraźliwie, aż drgnęła. Po drugiej stronie coś zaklekotało. Jakby ktoś majstrował przy wzierniku.

– Chciałam zapytać o pana Nocnego – rzuciła Monique przymilnym głosem. – Jestem krewną z Paryża.

Na cholere to powtarza? Żeby zrobić wrażenie? Ludzie w starych kamienicach zrobili się tak nieufni, że nie otworzyliby samemu papieżowi. „Zresztą po co mieliby to robić? – ironizował wuj August. – Żeby jeszcze swój, znaczy rodak, zaglądnął, ale obcego klechę na salony wpuszcząć? Herbatą częstować?”

– Witamy w mieście królów polskich – rzuciła głośno i zeszła na drugie piętro.

Wybrała środkowe drzwi, pokryte łuszczącą się brązową farbą. Sięgnęła do dzwonka i zaraz dostrzegła w jego miejscu sporą wyrwę. Judasza też brakowało,

a dziurę zaklejono chyba gumą do żucia. Strach myśleć, co kryje się w środku, westchnęła Monique. Przełamując niechęć, zastukała. Nagle dobiegł ją odgłos szurania. W zamku zachrobotał klucz, rozległo się kilka sążnistych przekleństw. Znowu cisza. Monique już miała odejść, kiedy drzwi otwarto na oścież. Stała oko w oko z Grudą. Tym samym, którego wuj tresował bez litości.

– Pan Gruda – wyszeptała z ulgą. Więc jednak nie pomyliła kamienic. Choć tyle.

Zamrugnął zaczerwienionymi powiekami, usiłując sobie przypomnieć, skąd się znają.

No przecież! Dwadzieścia lat temu Monique wyglądała zupełnie inaczej. Do dziś uśmiecha się na widok starej fotografii do szkolnego *tableau*. Burza kasztanowych loków (nieudolna stylizacja na Julię Roberts), zbyt mocne brwi, usta pokryte matową pomadką w odcieniu bakłażana, twarz podlotka ukryta pod warstwą pudru Constance Carroll, obowiązkowo naburmuszona. Monique już dawno wyrosła z dziecinnych min, podobnie jak z czarnych martensów, porozciąganych swetrów o przydługich rękawach oraz zbyt matowych kosmetyków. Ale Gruda tego nie wie, bo sam nie wyrósł z niczego. Nawet dres ma taki jak kiedyś: seledynowy, szyty z kreszu.

– To ja, Monika Fortuna – odezwała się znowu. – Mieszkałam u Augusta.

– Zaraz, zaraz – zmarszczył resztki brwi, przeszukując skromną bazę danych.

– W dziewięćdziesiątym trzecim. August Nocny to mój wujek. Chciałam go odwiedzić, ale w mieszkaniu nikogo... – urwała, widząc jego minę.

Ileż ten człowiek musiał znosić przez lata, westchnęła, nie kryjąc współczucia. Wieczorne kazania, lekcje polskiego, egzaminy z etykiety, a to wszystko za parę zwietrzałych fajek. Już miała go pocieszyć, kiedy Gruda uderzył w bek.

– Z pana kierownika to był elegancki człowiek – wykrztusił, ocierając dłonią zasmarkaną twarz. – Jak mało kto, ale wyjechał.

– Wyjechał? Dokąd? Wie pan...

Pokręcił głową i znowu się rozplakał. Podała mu chusteczki i czekała cierpliwie, dyskretnie przysłaniając nos szalikiem. Fetor, jaki dobiegał z korytarza mieszkania Grudy, zawstydziłby nawet smoka wawelskiego.

– Już miesiąc go nie ma. Wyjechał i nie wróci! Taki porzanny człowiek, nawet bez tych papierosów. – Zerknął na Monique, zamrużył znowu i spytał: – A szefowa by nie miała fajeczki? Albo dwóch...

Zawiesił głos, czekając, aż go poczęstuje. Zrobiła przeproszącą minę.

– To chociaż parę złotych, do chleba mi brakuje – zaczął się mazać. – Pan kierownik to by pewnie użyczył.

Wysupłała z kieszeni dychę i podała mu koniuszkami palców.

– Pan wie, gdzie mogę go znaleźć?

– Za szybko to wszystko, panie dzieju. Za szybko. Żebym ja wrócił wcześniej, może bym go i zatrzymał, a tak to... – westchnął, smarknął w rękaw i schował się w swojej melinie.

Nie próbowała stukać, była pewna, że jej nie otworzy. Może i dobrze – znowu wdychać ten straszliwy smród... Co trzeba robić, by wyprodukować taką mieszankę?

– Nic, zupełnie – odpowiedziała sobie sama, ostrożnie schodząc na parter.

Nagle dostrzegła lekko uchylone drzwi, a w szparze ponad zamkiem pomarszczoną twarz Ramzesa. Czwarty wiek, tak określał ten etap życia August. „Trzeci daje całkiem sporo radości, zwłaszcza wdowom, które lubią zawodzić w kościelnym chórze – tłumaczył zimą Monique. – Wieczne prymuski mają na pocieszenie swoje uniwersytety, gdzie nauczają się malować temperą. Te o dwóch lewych rękach zawsze mogą wybrać sanatorium. Flirty przy zdrojowym źródleku, tańce aż po białe świty. Można zapomnieć, że piasek w klepsydrze nadal się sypie. Ale nieuchronnie przychodzi starość, ta prawdziwa, która zaciera różnice między płciami. Wtedy lepiej zrezygnować z lustra. Mnie to na szczęście nie grozi”. No jasne, zaśmiała się Monique. Tybetany robią cuda.

– Pani uważa – zaskrzypiała nagle staruszka. – Z tym Grudą lepiej nie zaczynać. Za butelczynę sprzedałby rodzoną matkę, a nawet własną duszę. Już mu się zdarzało, na przednówku.

Ciekawe, co na to matka, przyszło do głowy Monique.

– Ja chciałam go tylko zapytać o sąsiada, pana Nocnego.

– Kogo? – nadstawiła ucha staruszka.

– Augusta Nocnego! – Monique podniosła głos. – Mieszkał na trzecim piętrze. Pracował kiedyś dla teatru, projektował piękne kostiumy.

– Ach, pan Nocny, trzeba było od razu! Wspaniały człowiek. Ze świecą takich szukać. Grzeczny, przymilny, a piękny jak z obrazka! – Staruszka aż westchnęła z podziwu. – Takich oczu to ja u nikogo nie widziałam. W odcieniu miodu gryczanego. Wspaniały, usłuchany!

Monique przygryzła wargi. Słyszała o wuju przedziwne rzeczy, ale że przymilny albo usłuchany...

– August musiał się bardzo zmienić.

– Ale ja o kocie – sprostowała zaraz staruszka. – Prawdziwe чудо. Mam nawet zdjęcie, pokażę. – Nagle umilkła, znów nasdtawiając ucha. – Niech lepiej uważa – wyszeptała przestraszona. – Złe tylko czyha. Niewiele trzeba, by wślizgnęło się do środka. Niedomknięty lufcik, zbite okienko w łazience, chwila moment i już po wszystkim.

– Nie wie pani, dokąd wyjechał?

Pokręciła tylko głową i szybko zaryglowała drzwi. Monique nawet nie zdążyła jej podziękować za dobre rady. Zrezygnowana wyszła z kamienicy. Stała tuż przed bramą i zadarła głowę, próbując wypatrzeć okna wujowego salonu. No i czego oczekujesz?, zbesztła samą siebie. Że August wyjrzy przez okno i ci pomacha?

Opatuliła twarz szalikiem i ruszyła w stronę bulwarów. Jednak się przejdzie. Rozprostuje trochę nogi, przewietrzy głowę z ciężkich myśli i może wpadną jej nowe pomysły, jak się skontaktować z wujem. Mail? Już lepiej wysłać list zwykłą pocztą. August rzadko zaglądał do komputera. Choć zdarzały się wyjątki. Zirytowany pogodą włączał wreszcie swojego laptopa i czytał całą zaległą korespondencję. Odpisywał niemal na każdą wiadomość, nawet reklamową. Jeśli było mu mało, słał też listy do urzędów, protestując przeciwko upadkowi obyczajów. Zeszłej jesieni domagał się zakazu przeklinania w środkach komunikacji miejskiej oraz w obrębie ścisłego centrum. „Musi ci się strasznie nudzić” – nieopatrznie rzuciła kiedyś Monique. Trafiała, więc urażony fuknął, a potem oznajmił, że ktoś musi walczyć o standardy. „Inaczej wszyscy wrócimy do jaskiń”. „Odpowiadają?” –

spytała wtedy. „Im grzeczniej, tym więcej w tym arogancji” – odparł, przesadnie westchnąwszy. Ale ślania listów nie zaprzestał.

Ciekawe, czy pisał w sprawie Forum, zastanawiała się wpatrzona w budynek po drugiej stronie Wisły. Kiedyś najmodniejszy hotel w mieście, a dziś ogromny wieszak na reklamy TVN-u. Owszem, podjęto próbę reanimacji, urządzając w dawnej recepcji hipsterski lokal dla spragnionych lansu, tuż obok zaś w paskudnym baraku zrobiono disco. Absolutna samowolka, skarżył się wuj August, oburzony, że ktoś wpadł na równie bezczelny pomysł i, co gorsza, odniósł sukces. Zirytowany hałasem płynącym zza rzeki, nazywał bywalców mentalną żulernią i wieszczył rychły upadek, nie precyzując komu. Wbrew jego życzeniom Forum Przestrzenie stały się modne w okolicy (głównie dzięki ogródkowi sięgającemu nabrzeża), ale sam hotel nie nabrał przez to życia. Monique przypominał hotelowe straszdyła rdzewiejące wzdłuż rumuńskiej riwiery, zbudowane na wyrost w poprzednim systemie. Przetrwają niejedno pokolenie, drzewom nie jest to dane, zauważyła, popatrując z niechęcią na łysawe bulwary.

Nagle u wylotu Paulińskiej rozpoznała znajomą postać. Brzytwa, czyli polska Amy, przypominała sobie zażenowana. Uciekać? Już za późno. Tamta też ją dostrzegła i macha niczym rozbitek na wyspie. Co teraz? Przede wszystkim żadnego przeproszenia za wczoraj i w żadnym razie się nie tłumacz, wydała sobie dyspozycje. Było, co było, koniec tematu.

– Nie boli cię głowa? – krzyknęła Brzytwa, podbiegając na odległość paru metrów. – Bo moją rozsadza, jakby miała urodzić Atenę.

Monique uśmiechnęła się blado. Nie przepaszaj, powtórzyła. Przejdź do porządku dziennego. Luz!

– Wczoraj – zaczęła – strasznie mi głupio... Obciach do entej.

– Za co głupio? Że postawiłaś mi cztery browarki?

Fundowanie, jest w tym świetna, nawet jeśli jej nie stać. W andrzejki postawiła kolejkę wszystkim znajomym, a potem przez miesiąc żywiła się ziemniakami i kisiem.

– Oj tam, drobnostka – bąknęła. – Przesadziłam z tą Amy. To znaczy jesteś

podobna... z... – w ostatniej chwili uniknęła słowa „profil” – ... no i kolorystyka... makijaż również... ale, na Boga, nie musiałam ci tego powtarzać przez całe Aleje!

– Nie ty pierwsza, nie ostatnia – odparła Brzytwa. – Idzie się przyzwyczaić. Powiedz lepiej, co cię przywiało nad Wisłę. Spaceruj w taką zawieruchę!

– Odwiedziłam wuja. To znaczy rozmawiałam z sąsiadami – poprawiła się szybko. – Bo u niego głucha cisza.

– Słuchaj – ożywiła się nagle Brzytwa – taka propozycja. Mieszkam niedaleko, za Forum. Może wejdiesz na herbatę i wszystko mi opowiesz na spokojnie?

– Do ciebie? – Monique zaczęła miętosić dolną wargę.

Ostatnio ma dość łążenia po cudzych domach. Wystarczy jej wizyt służbowych u klientek i przepychu w złym stylu. Wystarczy domówek, za które płaciła megakacem. Na szczęście w kręgu jej znajomych coraz mniej zaproszeń. Czas szalonych parapetówek minął, nastąpił czas spłacania kredytów. Urodzin nikt już nie celebruje, przygnębiony faktem, że zegara nie da się zatrzymać. Zresztą cóż to za zabawa, kiedy niczym na Titanicu trzeba przygrywać gościom do końca, a nazajutrz ścierać po nich zaschnięte soki z własnej deski barlineckiej? Korki na drogach zniechęcają dojazd na drugi koniec miasta, a na taksówkę nie pozwala kryzys w branży.

Dlatego Monique ma święty spokój. No prawie, westchnęła.

– Jakiś problem? – zainteresowała się Brzytwa.

– Bo zapraszasz mnie ot tak, choć prawie się nie znamy. To zupełnie nie po krakowsku.

1993

– *Krakowska gościnność – rozsierdził się wuj, odklejając wreszcie oko od judasza. – Znać człowieka ćwierć wieku i nie wpuścić do środka. Trzymać na wycieraczce niczym świadka Jehowy.*

Miała ochotę zapytać Augusta, skąd pochodzi. Czy aby przypadkiem nie z Krakowa... ale uznała, że tylko dolałaby oliwy do ognia.

– Może przystanąli na chwilę? – próbowała uspokoić wuja.

– Gadają od godziny, a ja muszę wysłuchiwać cudzych plotek. Granda!

Monique zaśmiała się pod nosem. Wystarczyłoby zamknąć drzwi od salonu i włączyć sobie Chopina. Ale wtedy wuj nie miałby się na kim wyżywać za to, że nie wychodzi mu projekt sukien balowych.

– Otóż wychodzi – powiadomił ją wuj. – A Chopina nie słucham, bo za bardzo kojarzy mi się z Polonią francuską. Wolę już Mahlera.

Jak on to robi!? Przecież nawet nie poruszyła ustami. Cholerny nietoperz.

– Dziękuję za uznanie! – Ukłonił się lekko i znowu przypiął się do judasza. – Dalej tam stoją... to nieludzkie. Przecież Kalinowski ma chore kolana. Czeka drugi rok na artroskopię.

Przez długą chwilę łąził tam i z powrotem po korytarzu, sapiąc niczym lord Vader, wreszcie wybiegł do kuchni. Przytaskał stamtąd ciężki, zakopiański zydel, jedyną pamiątkę po małżeństwie z Haliną. Zanim Monique spytała, co chce zrobić, otworzył drzwi na oścież, huknął: „dzień dobry”, postawił stół przed starszym z mężczyzn i zaraz znikł w swoim mieszkaniu. Chwilę później ktoś zastukał do drzwi. Wuj natychmiast umknął do salonu, dopadł ulubionego fotela i skrył się pod zielonym kocem.

– Otworzyć? – szepnęła, wyglądając z przedpokoju.

– Ani mi się waż – syknął spod koca. – Nie mam dziś ochoty na słowne pojedynki.

– Z Grudą rozmawiasz.

– Bo słucha, nawet robi postępy. A ten tutaj... raz próbowałem. Chodziło o zegar, który bije po uszach tak, że nie sposób spać w salonie.

Monique mogłaby mu przypomnieć, że tam akurat śpią goście, za którymi wuj nie przepada. W swojej sypialni od oficyny ma niemal absolutną ciszę, nie licząc wrzasków, którymi Włodek z naprzeciwka wita niedzielnego kaca. Mogłaby, ale nie lubi dolewać oliwy do ognia.

– Próbowałem, wystarczy!

Znowu usłyszeli stukanie, a potem dzwonek.

– Może chociaż sprawdzę przez judasz – nie wytrzymała.

– *Żadnych ruchów!* – zdenerwował się August, nie zapominając, że nawet w chwili silnego stresu jest wychowawcą. – „Judasza” w pożydowskiej kamienicy? Brzmi naprawdę niefortunnie.

Monique przygryzła usta i w milczeniu czekała na rozwój wydarzeń. Po kwadransie August podszedł do drzwi, nasłuchiwał przez chwilę, potem uniósł kłapkę, by się upewnić, że na klatce jest czysto. Wreszcie wyjrzał z mieszkania. Monique również. Ani sąsiadów, ani stołka.

– *Daj chamowi złoty róg... A ty chciałaś rozmawiać.*

*

Kręciła się po pokoju, spięta, jak zwykle podczas pierwszej wizyty. Dziwne, odwiedziła tyle mieszkań, powinna nabrać wprawy, a jednak kiedy przekracza próg nowego, w środku czuje to, co w liceum. Potrafi tylko lepiej udawać wyluzowaną. Więc na tym polega dorosłość? Że człowiek potrafi błyskawicznie nałożyć właściwą maskę?

– *Fajnie sobie mieszkasz* – rzuciła nonszalanckim tonem, przysiadając na pufie uszytej z jutowego wora. – Minimalizm.

Widywała go w najróżniejszych wersjach, na ogół był połączony z gargantuicznym nadmiarem ukrytym gdzieś na zapleczu. Zapchana do granic możliwości garderoba, w spiżarni zapasów jak na inwazję kosmitów, piwnica pełna starych romansideł i niemodnych już pamiątek. Na zewnątrz zaś czyściutko niczym w laboratorium NASA. Kuchnie, w których nie ma śladu jedzenia, biblioteki pozbawione książek, łazienki, do których człowiek boi się zajrzeć, by ich nie skazić. Stojąc na środku wzorcowego salonu z pisma „Wnętrza”, Monique czuła, że zaburza panujący porządek wszechświata. Jest zbędna niczym zagubiony okruszek chleba. Miała wtedy nieprzepartą ochotę zwać do piwnicy. Ale tam nie wcisnąłby nawet szpilki.

– *Myślałam o podobnych meblach.* – Lekko przejechała palcem po żółtawej płycie paździerzowej.

Już prawie je zamówiła, kiedy do niej dotarło, że musiałyby przy okazji

wymienić wszystkie dodatki, począwszy od kiczowatego żyrandola z różowych kryształków, poprzez złotą narzutę, jaką nie pogardziłby Tyberiusz, a kończąc na lampce nocnej w kształcie flaminga. Osiem lat temu zabawa kiczem świadczyła o sporym dystansie do siebie i do świata. Dziś już nie bawi nikogo poza ekscentrycznymi stylistami fryzur, dlatego Monique chętnie pozbyłaby się gadżetów, ale brak jej środków na zakup nowych, bardziej stonowanych. I przede wszystkim brak motywacji; prawie nie miewa gości, którzy doceniliby nowy wystrój. Nawet Konrad woli ją zapraszać do siebie, niż spędzić godzinę w jej bollywoodzkim łożu. Powtarza półżartem, że wśród tych wszystkich suto zdobionych poduch czuje się jak radża z łapanki.

– Możesz sobie zabrać – usłyszała głos Brzytwy. – Choćby zaraz.

Monique zamrugła stropiona.

– No ładnie. Teraz będę się bała cokolwiek pochwalić – rzuciła żartobliwym tonem. – Bo a nuż zechcesz mnie obdarować.

– Oddaję, czego mi zbywa. Mam te graty od roku i wystarczy mi drzazg w paluchach. Następny regał zrobię z plastikowych skrzynek po piwie. Albo z fasoli, ulubiony surowiec weganek – mrugnęła, po czym wróciła do tematu: – To jak? Bierzesz?

Monique uśmiechnęła się przepraszająco.

– Na razie...

Uświadomiła sobie, że jej „na razie” trwa już ósmy rok. A przecież tuż po przeprowadzce planowała, że w ciągu dwóch lat wymieni wszystkie stare meble. Powiedz Bogu o swoich planach... nie zrzucaj winy, zganiła samą siebie. Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

– No dobra. – Brzytwa ziewnęła – Idę ukręcić coś na kaca, a ty czuj się jak na własnych śmieciach.

Śmieci, dobrze powiedziane. Monique sporo ich nagromadziła, wierząc, że kupuje modne bajery. A wciąż nie ma porządnego blendera. Dlatego kremowe zupy jej autorstwa nie zrobiłyby furory w telewizji śniadaniowej.

– Idę z tobą. – Zerwała się z pufa.

Bywanie w domach klientek nauczyło ją, by nie zostawać samej w pokoju. „Okazja czyni złodzieja” – powtarzała Renata. Dlatego Monique stara się nie kręcić poza garderobą. Chyba że naprawdę ją przycisnie.

– Będziemy mieć gości – oznajmiła Brzytwa, otwierając okno na oścież.

Zaraz przyfrunęły do środka cztery wypasione gołębie. Największy wylądował Brzytwie na koku i zaczął gruchać. Podobne, swawolne odgłosy Monique słyszała często w łazience wuja. Niosły się od podwórza i wpadały przez uchylone okienko, wprawiając ją w zażenowanie. Sądziła, że ktoś na okrągło puszcza tę samą scenę z filmu porno. Dopiero wuj wyjaśnił, że to tylko gołębie zaloty. „Porno? Masz wyobraźnię!” – parsknął, wracając do podsłuchiwania sąsiada zza ściany.

– Dokarmiasz ptaki w kuchni? – spytała, patrząc, jak Brzytwa sypie garść zboża na wewnętrzny parapet.

– Uważasz, że powinnam przyjmować na salonach? Nie dbamy o formy.

– Chodziło mi o to, że gołębie...

– ...to latające szczury – dokończyła za nią Brzytwa. – Przyczyna całego zła na świecie. Roznoszą syf, wywołują korki na Alejach oraz zamieszki na Bliskim Wschodzie.

Słonecka, przypomniało się Monique, potwornie bała się nużycy, dlatego wymogła na nowym partnerze, by oddał swoją kakadu rodzicom. Przyszły Słonecki trochę się opierał, ale uległ skuszony wizją nagród. „Mówiłam, nadchodzi era kobiet” – podsumowała jego kapitulację Słonecka.

– A co z nużeńcem? – ośmieliła się zapytać Monique.

– Już go masz, na rzęsach, choć pewnie nie trzymałaś w dłoni żadnego ptaka.

I tu się Brzytwa myli. Monique zdarzało się trzymać, nie tylko w dłoni, ale były to ptaki innego, jakby to ująć, sortu.

– Podobno rozmawiałaś z sąsiadami – Brzytwa zmieniła temat.

– Jednego poznałam od razu. Pijaczek Gruda, mieszka piętro niżej, pod wujem. Łączyła ich przedziwna więź. Samozwańczy mistrz i uczeń z łapanki. – Monique krzywo się uśmiechnęła. – A jednak kiedy zapytałam go o wuja, chłopina tak się rozkleił, jakby stracił rodzoną matkę. Zaczął chlipać, powtarzać, że kierownik

wyjechał miesiąc temu. Na zawsze.

– Dokąd?

Monique wzruszyła ramionami.

– Sąsiadka z parteru też raczej nie wie – rzuciła. – Coś tam mamrotała o kocie, że trzyma jego zdjęcie. Nawet chciała mi pokazać, ale coś ją spłoszyło.

– Zdjęcie kota?

– Mnie też to zdziwiło. Bo kto dziś trzyma foty obcych zwierząt. Rozumiem jeszcze zabawne ujęcia z sieci, ale kot sąsiada? Co to za atrakcja?

– Idź tam jutro i poproś, niech ci pokaże.

– Tak wprost? Na sucho?

– Tak najlepiej. Szkoda czasu na dziecinne zabawy w podchody.

Czasu akurat Monique nie brakuje. Więc dlaczego wciąż udaje, że jest całkiem na odwrót? By udowodnić, że nie odstaje od zapracowanej reszty? Kiedy zasuwa do tramwaju w swoich modnych trampkach komradach, wierzy, że jeszcze może być w czołówce peletonu. A czasem przyśpiesza tylko po to, by nie wyjść na zagubioną w stolicy prowincjuskę.

– Podskoczę jutro z samego rana. Wiesz, że Gruda miał taki sam dres jak kiedyś? Mody przemijają, a styl trwa. Im gorszy, tym dłużej, przekonywał ją wuj.

– Niefajnie – mruknęła do siebie Brzytwa, delikatnie gładząc gołębia, który wskoczył jej na podolek.

– No ja też wolę bawełnę od kreszu.

Ale z jakiej racji Monique ma gościowi mieszać w garderobie? Zresztą od rozstania ze śniadaniówką wyznaje zasadę, by nie sypać darmowymi radami. Nikt tego nie docenia. Kiedy więc słyszy na imprezie: „Co byś u mnie zmieniła?”, odpowiada z uśmiechem: „Absolutnie nic”. Nic za darmo.

– Walić kresze! – zirytowała się Brzytwa. – Chodziło mi o wyjazd! Że też August nic ci nie wspomniał.

– Nie jest zbyt wylewny.

Owszem, lubi się przechwalać, nawet puszyć, ale te najskrytsze marzenia powierzał paru wybranym osobom. O tym, że pragnie znowu zobaczyć Francję,

Monique dowiedziała się dopiero w Paryżu. Może wreszcie zebrał się na odwagę, schował dawne urazy do kieszeni, kota do transportera i wyjechał? Tak nagle? Grudzie mogło się tylko wydawać. Gdyby widział ją przed wylotem na wakacje, zaśmiała pod nosem. Pewnie rozpowiadałby na ulicy, że uciekała przed klęską żywiołową.

– O kota nie zapytałaś.

Równie dobrze mogłaby zapytać o zielone fotele. „Co się z nimi stało, panie Gruda? Do kogo trafiły?” Wiadomo: skoro August wyniósł się na dobre, zabrał ze sobą wszystkie meble i albumy. Nie zostawiłby ich sąsiadom, nie ze skąpstwa, po prostu nie wchodził w tak bliskie relacje. Swoją działalność wychowawczo-edukacyjną ograniczał do klatki schodowej i wewnętrznego podwórka, gdzie stały śmietniki. Powtarzał, że szanuje cudzą przestrzeń. Monique powiedziałaaby raczej, że wuj brzydzi się cudzych dywanów.

– Przejdź się do administracji – poleciła jej nagle Brzytwa. – I zagadaj po ludzku. Powinni coś wiedzieć.

Monique cmoknęła z niechęcią.

– Skoro twój wuj wyniósł się z mieszkania – argumentowała Brzytwa – znaczy, że przekazał klucze zarządcy budynku. Pewnie podał nowy kontakt do siebie, no wiesz, na wypadek jakichś zaległych płatności. Jak chcesz, możemy się wybrać razem. W kupie raźniej.

– W zasadzie powinnam wracać już do Warszawy. Poniedziałek – przypomniała sobie Monique, uciekając wzrokiem.

Na samą myśl o wyjeździe robiło jej się słabo. Otworzy drzwi mieszkania, klapnie na swoim obciachowym fotelu z rzeźbionymi poręczami i będzie żyć jak wcześniej: budzić się codziennie wśród suto zdobionych jaśków, gapić na pseudoorientalne tapety w odcieniu fuksji, wciskać złote kontakty i narzekać na spalone żarówki... codziennie to samo!

– Nie mogłabyś przedłużyć pobytu o kilka dni? – podsunęła Brzytwa, zerknąwszy na nią z ukosa.

– Przedłużyć? Mam zobowiązania! – obruszyła się Monique.

Na przykład czwartkową wizytę magika od efektów specjalnych. Co prawda Darek sam się do niej wprosił, ale skoro ona nie postawiła weta... Konrad też pewnie zechce się z nią spotkać przed wyjazdem do rodziców, przypomniała sobie zaraz. No i trzeba ogarnąć mieszkanie na święta, zmienić pościel, przetrzeć szyby chociaż od środka. Nie będzie tego robić w Wielki Piątek!

– W sumie to twój krewny, nie mój – burknęła Brzytwa, masując sobie obolałe skronie.

– Nie byliśmy rodziną – zaproponowała Monique. – Dawno temu poślubił moją ciotkę. Potem się rozwiedli i właściwie zerwaliśmy kontakty. Aż do mojego przyjazdu.

Przez te pół roku jej rodzice usiłowali być mili jak nigdy przedtem. Na samo wspomnienie Monique oblewa się purpurą. Zupełnie jak wtedy, gdy matka próbowała przekupić Guniową z matematyki za pomocą peweksowskiej bomboniery. „Masz tę czwórkę – oznajmiła nazajutrz Guniowa – a czekoladki oddaj rodzicom”.

– Zajrzę tam z samego rana – obiecała stanowczym głosem – ale sama, bez asysty.

*

Jest do tego przyzwyczajona, wiele rzeczy załatwia sama. Jej faceci bardzo to doceniają, zwłaszcza Konrad, ciężko doświadczony małżeństwem z kobietą bluszczem. Uwolniwszy się z duszących pnączy, przysiągł sobie, że zbuduje nowy, lepszy związek, którym rządzi prawdziwa miłość, a nie, jak dotąd, gorzkie żale i nieuzasadnione poczucie winy. Ludzie powinni być ze sobą, bo tego pragną, a nie dlatego, że wypada albo tak wyszło, tłumaczył Monique na jednym z ich romantycznych spacerów po Łazienkach. Nie powinny ich pętać wspólne obawy ani kredyty. Żadnego kredytu, przytaknęła ochno Monique (miała już jeden, zaciągnięty we frankach). Żadnej wspólnej skarbonki ani kibla, o który zgrane nawet pary toczą tyle porannych batalii. Dzięki osobnym kiblom ich miłość zachowa więcej świeżości, a osobne konta nauczą rozsądnego gospodarowania środkami. Pozostali więc przy swoich portfelach, w swoich mieszkaniach po dwóch stronach

Wisły, spotykając się tylko wtedy, gdy naprawdę mieli ochotę. Ostatnio jakby rzadziej, bo Konrad trenuje do triathlonu, a jej coraz bardziej brak energii. Nie ma nawet sił, by wysłać mu esemesa, że siedzi w Krakowie.

– Przednówek – ziewnęła, włączając swój laptop.

Musi dosłać felieton jutro, żeby ukazał się na Wielkanoc. W redakcji nie mogą się już doczekać, rodzice też pewnie przebierają nogami. Kupują każdy świąteczny numer „Światowida”, by pochwalić się przed sąsiadami, pozostałe przeglądają w czytelnii. Matka z uwagą czyta, ojciec ciągle jej przeszkadza, pstrykając telefonem dziesiątki kiepskich zdjęć. „Do archiwum” – mruczy zadowolony, że nie musiał wydawać paru złotych na gazetę. Ale w święta sam biegnie do kiosku. Więc trzeba się postarać, pomyślała Monique. Dla nich i dla naczelnej podkreśli felieton na maksa. Niczym obroty w starym silniku, najwyżej się spali, jedna katastrofa więcej, machnęła dłonią beztrąsko. Więc Aleks ma trochę racji, wystarczy zmienić perspektywę, by mniej się przejmować czynszem. Szkoda tylko, że trzeba wracać. Głupio spędzać Wielkanoc w cudzym mieszkaniu, już lepiej odwiedzić rodziców.

– Z czym – zirytowała się zaraz – z najświeższym „Światowidem” w dłoni?

Tego im raczej nie zrobi, sobie również. Poza tym jest inny powód, dla którego coraz rzadziej zagląda do Bukowiny. Ma wrażenie, że straciła kod dostępu. Po ostatnich remontach w rodzinnej willi zrobiło się strasznie ciasno, nie tylko przy świątecznym stole. Jej dawny pokój na piętrze zajęli bratankowie, a ona sypia w suterenie, na gościnnym tapczaniku. Zwykła kolej rzeczy, powtarza cicho, ścieląc prześcieradło z kory, ale kiedy widzi, jak dzieciaki brata grzebią w jej starej zakopiańskiej szafie, ma ochotę wywalić im przez okno wszystkie zabawki. „Czasu tym nie odwrócisz” – szepcze do siebie, przypominając sobie nagle Budrysa, ukochanego podhalana dziadków. Choć wyrósł na ogromne psisko, nadal pchał się do szczenięcego legowiska z wikliny. Udawało mu się wcisnąć tylne łapy i leżał tak zadowolony. Monique też by spróbowała podobnych sztuczek, ale jej dziecinne łóżeczko wyrzucono dawno temu. Jak dawno, uświadamia sobie, patrząc na spracowane dłonie matki. To już dwadzieścia lat, odkąd porzuciła wszystko: rodziców, wuja Augusta, szkolne przyjaciółki, swój pokój, nawet akcent.

– Powrotu nie będzie – mruknęła i zabrała się do tekstu.

Pierwsze zdania wyszły nieco topornie, jak zwykle, ale przy opisie wielkanocnego koszyka zaczęła się rozkręcać. „Nie zapominaj o święconce, jest równie ważna jak bielizna, choć pozornie jej nie widać. Czy w taki dzień chciałabyś nosić sprane reformy? – zadała czytelniczkom pytanie retoryczne. – Więc wybierz coś ekstra. Zamiast praśnej białej kiełbasy – ekologiczne cytrusy. Wiosenny detoks wyjdzie ci na zdrowie”.

Niemal dotarła do końca, kiedy jej uwagę rozproszyło ciche kliknięcie. Esemes, musi sprawdzić od kogo. Wuj... Aleks, przeczytała nieco rozczarowana, a może nie? Może to tylko poza przed samą sobą. „Pogadamy?” Ach, Monique zapomniała, że Skype włącza się automatycznie, wystarczy odpalić komputer. Dlatego Aleks zauważył, że jest dostępna. Obecna, poprawiła zaraz, odpisując: „Dzwon”. Nagle poczuła, że musi przepłukać gardło czymś mocniejszym. Od ostatniej rozmowy (ta nad ranem się nie liczy), od tej ich naprawdę ostatniej rozmowy minęło prawie osiem lat. Mieszkała wtedy na Grochowie w wynajętej kawalerce, zarabiała znacznie więcej niż teraz i święcie wierzyła, że wszystko, co najlepsze, przed nią. Nawet facet.

Ledwie zdążyła wypić parę łyków becherovki, w laptopie rozbrzmiał znajomy sygnał. Monique odchrząknęła, nerwowym ruchem poprawiła włosy, zanim do niej dotarło, że przecież nie będą się z Alekssem widzieć. Na szczęście nie ma kamerki.

- Halo! – rzuciła zdyszana. – Jak tam chilloucik?
- Miałem zapytać o to samo. Udało wam się wyjście?
- Spoko.

Nieco gorzej z powrotem, przypomniała sobie i zerknęła rozpaczliwie na butelkę.

- Ta Brzytwa...

Zapytać wprost, co to za jedna? A jeśli Aleks pomyśli, że Monique nadal jest o niego zazdrosna, że rości sobie jakieś prawa...

- Potrafi słuchać – przyznała na początek.

W inny sposób niż Konrad, nie tak profesjonalnie, właśnie dlatego trzeba się pilnować, by za wiele nie chlapanąć. Musztarda po obiedzie, uświadomiła sobie,

z pewnym niesmakiem.

– Trzymaj się jej – poradził Aleks.

– Uważasz, że tonę? – ostentacyjnie prychnęła.

– Nie myślałem o tobie – odparł, a Monique zrobiło się równie głupio, jak wtedy w ogródku, kiedy przekazywała wujowi kota wraz z transporterem.

– Cała ja – rzuciła zamiast przeprosin, zmieniając temat. – Jutro znowu mamy się spotkać.

– Coś nie halo? – W jego głosie pojawił się troskliwy ton.

Jeszcze chwila i... Nie bądź głupia, ostrzegła samą siebie. Już to przerabiałaś, dając mu kolejną przedostatnią szansę.

– Nie mogę namierzyć wuja. August, pamiętasz, pracował jako kostiumolog w teatrze.

– Żandarm z Kazimierza! – Aleks się zaśmiał. – Opowiadałaś, jak cię sztorcował.

– Już bez przesady! Staraj się trzymać standardy, to tak źle?

Aleks nie odpowiedział od razu.

– Mówiłaś, że cię drażni jak niemodny turban – przypomniał.

– Owszem bywał irytujący, ale niemodny? – obruszyła się. – Po prostu nie uganiał się za nowinkami.

Jeśli Monique miałyby go porównać do nakryć głowy, wybrałyby ponadczasowy cylinder. Może bywa niewygodny w środkach komunikacji publicznej, ale nie sposób odmówić mu klasy.

– Co cię naszło, żeby go odwiedzać? Nie masz lepszych rozrywek? Czy raczej hajsywa?

– Chcę wiedzieć, co się stało – odburknęła zirytowana. – Telefon wyłączony, mieszkanie puste, sąsiedzi mówią, że wyjechał, ale dokąd, tajne łamane przez poufne.

– Trzymaj się Brzytwy – powtórzył. – Potrafi wygrzebać człowieka spod ziemi. Jest w tym świetna.

– Pewnie miałaś okazję się przekonać. Tyle się podobno znacie – dorzuciła.

Niech Aleks nie myśli, że chce go wypytywać o przeszłość.

– Połączyły nas zgoła inne okoliczności.

Umilkł. Monique usłyszała pstrykanie zapalniczki, a potem głęboki oddech. Natychmiast sięgnęła po swojego e-papierosa.

– Nie wiedziałam, że to taka trauma – zaczęła ostrożnie.

– Najważniejsze wydarzenie w moim życiu – wyjawiał.

Monique poczuła ściśnięcie w gardle. Co innego wmawiać sobie, że dla Aleksa była jedną z wielu dziewczyn, a co innego usłyszeć, kim była ta wyjątkowa.

– Gdybym nie złamał... – przerwał, by znowu wziąć macha. – Gdyby nie to, co zafundowałem Polce tamtej zimy, dziś byłbym jak mój stary. Po trupach do celu! Dosłownie i w przenośni.

– Nadal prowadzi fermę? – przypomniała sobie.

– Wygasił, oficjalnie z powodu świńskiej grypy, a tak naprawdę spadły mu zyski. Wygasił, taki eufemizm.

– Dzięki jego pieniądzom zwiedziłeś kawał świata.

Po kiego licha mu to wypomina!

– Wierz mi, staram się spłacić każdą złotówkę – odezwał się Aleks. – Słaba ta gandzia. Miała rozbijać i kicha.

– Moja wina – wyznała, zaciągnąwszy się parą o zapachu espresso. – Zamiast podziękować ci za pomoc, ściągam w dół.

– Dzielisz się, czym masz. Zawsze była z ciebie hojna dziewczyna – rzucił.

August powtarzał to samo, przypomniała sobie nagle.

1993

– *Ile ci zostało tych milionów?* – zapytał wuj.

Wracali właśnie z kina Wanda przez zasypane śniegiem Planty.

Monique przystanęła, by wyjąć z plecak swój zakopiański portfel.

– *Nie wdałaś się w ojca* – mruknął z udawaną przyganą w głosie. – *Schowaj.*

– *Czyli jednak ci zapłacę?*

– Muszą, do końca tygodnia. Inaczej podziękuję im za współpracę.

Stara melodia, westchnęła Monique. Co piątek wuj dzwonił do agencji zlecającej chałtury, potem rzucał słuchawką, odgrazając się, że to ostatni projekt, bo ma dość proszenia się o swoje pieniądze, a poza tym mierzi go bylejakość. „Byle szybko, byle tanio! Rekwizyty niczym odlane z gipsu, garnitury atrapy, które można filmować tylko od przodu, zbyt strojne suknie szyte z najgorszej satyny. Już wolałbym stuletnie kotary, przynajmniej nie byłoby widać estetycznej mizerii”. Monique słuchała, nie przerywając. Raz tylko ośmieliła się zapytać wuja, dlaczego nadal pracuje dla nieuczciwej firmy. Zirytowany zmarszczył brwi, zdawało się, że zaraz wybuchnie. „Bo mnie tam chcą” – odparł wreszcie i wyszedł z pokoju. Od tamtej pory unikał rozmów o pieniądzach. Aż do dzisiejszego wieczoru. Musi być kiepsko, stwierdziła Monique, zgarniając z ławki świeży śnieg. Szybko ulepiła sporą kulę i wycelowała w Augusta. Zrobił unik, więc zamiast w ramię dostał w klatkę piersiową.

– Prosto w serce! – cieszyła się Monique. – Wiesz, jak się nastawić.

Pogroził jej palcem i zaczął strzepywać mokry śnieg z tweedowego płaszcza.

– Leci następna! – ostrzegła, celując w nogę. Kula uderzyła w okolice pośladka.

– Cios poniżej pasa! – oświadczył tak urażonym tonem, że zaczęła się śmiać niczym przedszkolak.

August ruszył do kontrataku. Utoczył wielką niekształtną bryłę i zaczął ścigać Monique, strasząc, że zaraz natrze jej uszu. Posłał w kierunku siostrzenicy parę śnieżek. Nie musiała się nawet uchylać, wszystkie przeleciały metr obok. Wreszcie zdyszany oparł się o pień kasztana. Przystanąła naprzeciwko.

– Pięć milionów.

– Pensja profesora. No, no – wysapał.

– Miało mi wystarczyć na lekcje rysunku. Ale chętnie się podzielę.

Pokręcił tylko głową, z trudem łapiąc powietrze. Wreszcie wyrównał oddech i rzucił:

– Już nigdy nie będziesz taka bogata, małpko.

– Wiem, w styczniu czeka nas denominacja.

– Zniknie wielu milionerów – odparł, dając znak, by ruszali do domu.

– *Mnie się uda. – Będzie sławna, bogata, wiecznie młoda i zawsze szczęśliwie zakochana. Milionerka. Innej opcji nie bierze nawet pod uwagę.*

– *Nawet jeśli... zapamiętaj sobie tę chwilę. I, na Boga, nie rozdawaj wszystkiego!*

Poniedziałek

Obudziła ją melodyjka z harcerskiego hiciora *Czuj, czuj, czuwaj*. Konrad, rozpoznała natychmiast. Długo szukała pasującego do niego dzwonka, aż któregoś jesiennego dnia wybrali się na piknik za miasto. Konrad sprawnie rozpałił ognisko, przygotował kijki do pieczenia jabłek, wyjął z bagażnika swoją sfatygowaną gitarę, przez kwadrans stroił, sprawdzając rozmaite chwytty, wreszcie niepewnym głosem zanucił: „Płonie ognisko w lesie, wiatr smętną piosnkę niesie, przy ogniu zaś drużyna...”. „...Pieczone dętki wcina!” – dokończyła Monique, drąc się na cały las. Konrad skarcił ją spojrzeniem. Mój osobisty drużynowy, pomyślała wtedy rozbrojona. Wuj wolał inne określenie: wróżbita Maciej. „Choć trzeba mu przyznać, koszule dobiera lepiej niż pierwowzór”. Dzwonek odezwał się znowu. Monique sięgnęła po telefon.

– Kochanie, dzwoniłem już cztery razy – zaczął Konrad i zirytowany dorzucił: – Przed chwilą zajrzałem do skrzynki.

– Przepraszam – wymruczała sennym głosem, trąc zapuchnięte oko. – Zostawiłabym kluczyki na stole, ale nie chciałam tłuc szyby balkonowej.

– Zamknąłem na górę z rozpędu. Śpieszy się człowiek z jednej pracy do drugiej... wiesz, jak to jest.

„Jeszcze trochę pamiętam” – miała ochotę rzucić. Ale co, jeśli wyjdzie na nieudacznika, który zazdrości bliskim zasłużonych sukcesów?

– Wiem – stłumiła ziewnięcie.

– Znowu siedziałaś do późna? – zmienił temat. – Już dwunasta, a ty w łóżku.

I to nie w swoim, pomyślała, natychmiast trzeźwiejąc. Czy powinna wyjaśnić Konradowi, u kogo teraz pomieszkuje? Co to zmieni?

– Pisałam felieton, jeden na zapas, żeby mieli – skłamała. – No i przerobiłam cv, roześlę po świętach.

– Trzymam kciuki – powtórzył jak zawsze. – Z twoim potencjałem...

Natychmiast poczuła się winna. Z jej potencjałem powinna być dziesięć szczebelków wyżej, więc co zrobiła nie tak, że tkwi na samym dole? Gdzie popełniła cholerny błąd?

– Musisz zmienić rytm dnia – poradził Konrad, jakby czytał w jej myślach. – Nikt nie zrobił kariery, śpiąc do południa.

Monique mogłaby podać parę gorących nazwisk, ale nie będzie się spierać. Nie ma siły.

– Spotkamy się wieczorem? – zapytał nagle Konrad.

– Bardzo bym chciała – westchnęła – ale wyskoczyłam na parę dni do Krakowa. Planuję spotkać się z wujem, tym od kota.

Na jednej z sesji wspomniała wuja ekscentryka, któremu zawdzięcza znajomość savoir-vivre’u oraz innych francuskich słów. W jej głosie nie było ani entuzjazmu, ani goryczy, może dlatego Konrad nie prosił, by rozwinęła temat. Kiedy zostali parą, Monique zdradziła, że August opiekuje się jej kotem. Konrad poskarżył się wtedy, że cierpi na alergię.

– Chcesz go zabrać do siebie? – zapytał nieco zaniepokojony.

– Kota? Sama nie wiem.

– Rozdzielać ich po tylu latach. Dosyć okrutne.

To samo powiedziała wczoraj Brzytwa, ale wuj... diabli wiedzą, co sobie myśli. Zapytany o kota, odpowiada naburmuszonym tonem: „Kot jak kot”. Wtedy Monique rzuca nerwowo: „Mogę po niego przyjechać... choćby za miesiąc”. Za miesiąc, po świętach, w nowym roku, jesienią, jak tylko wyjdzie na prostą. Wuj nie odpowiada, zaraz kończy rozmowę, tłumacząc, że idzie odkurzyć dywany. On, który powtarza, że kurz jest niezbędnym elementem wyposażenia prawdziwie eleganckich wnętrz! Dlatego ostatnio Monique przestała poruszać drażliwy dla obojga temat.

Ale gdy tylko uda im się spotkać, wyjaśni i ustalą co dalej. Jeśli August stwierdzi, że ma dosyć tymczasowania... na samą myśl o takiej opcji poczuła

niechęć, nie wiedzieć do kogo. Na cholere brałaś go z azylu?, rzuciła do siebie ze złością. Zawsze musisz wyskoczyć przed orkiestrę, a potem kłopot dla wszystkich.

– Wrócisz przed środą? – zainteresował się Konrad.

– Zależy od Augusta, a co?

– Bo pojutrze wieczorem wyjeżdżam do rodziców.

– Więc pewnie spotkamy się po świętach. Złeci – rzuciła pocieszająco. Jakby Konrad potrzebował pokrzepienia.

– Zaraz po Wielkanocy jadę w Bieszczady. Obóz kondycyjny.

Ach, rzeczywiście, wspominał kilka razy, z niekłamany entuzjazmem. Tygodniowa zaprawa przed zawodami. Bieganie po górach połączone z wieczorną medytacją, najmodniejszymi zabiegami fizjo i dietą paleo. Tyle atrakcji w jednym! Fiu, fiu!

– Wszystko w porządku, kochanie?

Powiedz mu wreszcie, na czym stoisz. Zaczynaj od prądu, który wyłączyli ci w piątek, o kolejnych odwołanych zleceniach, o tym, że już za chwilę będziesz się żywić fusami... – poczuła, jak ze wstydu płoną jej uszy. Równie dobrze mogłaby się przyznać, że okrada niewidome staruszki.

– Wiesz, jak to jest na przedwiośniu – odparła z nonszalancją w głosie.

– Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

– Junkers nawala – bąknęła.

– Trzeba wezwać fachowca. Tylko sprawdź wcześniej, jakie ma opinie – poradził. – Żeby nie spartaczył jak ostatni.

– Tak zrobię – zapewniła nieco zbyt ostro. – Ktoś wydzwania, możliwe, że wujek, będziemy kończyli, co?

– Bawcie się dobrze i przemyśl z tym kotem. To ogromna odpowiedzialność, a ty...

Nie umiesz zadbać nawet o łazienkę, dokończyła, na głos życząc Konradowi radosnych świąt.

– Wzajemnie i pozdrów ode mnie Starówkę.

Starówkę? Wuj August powiedziałby, co o tym myśli.

Śpieszyła się, żeby uciec przed śnieżycą, którą straszili w RMF-ie już od rana. Zdyszana przystanęła na placu Wszystkich Świętych i wtedy zagadnęła ją elegancko ubrana szatynka.

– Nie wie pani, jak dotrzeć do Jamy Michalika?

Monique z wrażenia niemal przegryzła rękawiczkę. Oto po raz pierwszy wzięto ją za rodowitą krakowiankę i zapytano o drogę, a żeby tego było mało, nazwano panią! Ciekawe, kogo jeszcze dostrzegła w niej tamta kobieta: studentkę ASP? Może początkującą aktorkę śpieszącą na próbę pod Barany... Monique chętnie fantazjowałaby dalej, ale należało wreszcie odpowiedzieć. Odchrząknęła więc, udając, że się namyśla nad możliwie najkrótszą drogą, a potem, modulując głos tak, by wydał się bardziej dorosły, wyjaśniła:

– To całkiem blisko stąd. Trzeba iść do końca Grodzkiej, Starówkę zostawia pani za sobą – wskazała dłonią. – Następnie przechodzi pani na przejściu naprzeciwko Wawelu, wbiega w Bernardyńską, która ciągnie się aż do bulwarów, i tam, po lewo zaraz będzie Jama. Przed nią stoi okropny metalowy smok, więc od razu pani pozna.

Życzyła zdziwionej turystce udanego pobytu i rozradowana pobiegła dalej. Dopiero przy ulicy Gertrudy dotarło do niej, o którą jamę pytała tamta kobieta. Stąd jej zaskoczona mina. Pewnie sobie myśli Bóg wie co. Jaka tam aktorka! Wieśniara z Podhala w płaszczu z frajdy, która mówi „po lewo” i znowu zapomniała równo wypastować kozaki. A wystarczyło odpowiedzieć, że się nie orientuje, bo wpadła na weekend ze stolicy. Zabrzmiałoby całkiem elegancko i nie wyszłaby na przasną prowincjuszkę.

– Wiocha do entej – katowała się Monique, ze złością przyśpieszając kroku.

Potrzebowała tygodnia, by zyskać dystans na tyle, że mogła zrelacjonować zdarzenie wujowi Augustowi. Wybierali się właśnie na świąteczne stoiska po prezenty dla jej rodziców. Monique nadawała niczym katarynka, próbując przekrzyczeć kolędy. Wreszcie przy budce z oscypkami przyznała się do wpadki na Grodzkiej. Wuj zdawał się nie słuchać, poirytowany panującym na Rynku zgiełkiem. Przystanął nieopodal ogromnej szopki.

– *Pal licha, że pomyliłaś jamy. W gruncie rzeczy nie ma wielkiej... – machnęła dłoń. – Tu i tam straszą widma przeszłości, której raczej nie było.*

Monique już miała odetchnąć, kiedy dodał:

– *Ale żeby nazywać nasz Rynek Starówką... – umilkł, wielce tym faktem oburzony.*

Przypomina Louisa de Funèsa, uświadomiła sobie Monique. Z czasów, gdy ten jeszcze miał włosy i nie marzył o roli zwariowanego żandarma, a jednak już wtedy wyglądał niczym własny ojciec... albo wkurzony wujek, pomyślała, zaciskając usta, by się nie roześmiać. August zrozumiał to po swojemu. Zadowolony z okazanej skruchy, oznajmił:

– *Zapamiętaj raz na zawsze: Starówka jest w Warszawie. To takie miasto złożone niemal z samych przyjezdnych, którzy chcą się odciąć od swoich buraczanych korzeni. Wolą nazywać pole dworem, żeby zapomnieć o słomie wystającej im z gumiaków. Bonobo rozumie?*

Skinęła szybko, nie mogąc oderwać wzroku od jego wyraźnie zarysowanych jak u kobiety brwi. De Funès miał identyczne, to dlatego przed barem Smok August wydał jej się do kogoś podobny. Do kogoś, kto rozbawiał ją w dzieciństwie.

– *Tu natomiast – ciągnął – nie mamy kompleksów, nawet jeśli nadal uprawiamy pole buraków za miastem. Bo posiadamy coś jeszcze – szeroko rozłożył ręce niczym dumny włościanin – Rynek Główny.*

*

No ładnie, ziewnęła. Południe dawno minęło, a ona wciąż się płacze po mieszkaniu, choć zapewniała Brzytwę, że z samego rana podskoczy do administracji. Ale kto wierzy w podobne obietnice? Więc po co je składać? – niemal usłyszała szorstki głos Augusta. No cóż, zaczęła się sama przed sobą tłumaczyć, w dzisiejszych burzliwych czasach, kiedy człowiek nie zna dnia ani godziny, obietnice są wyrazem pewnej nadziei. Poza tym Monique może jeszcze wywiązać się z danego słowa. Tylko troszkę odsunie to w czasie. Jak mawiali starzy mądrzy górale z Antkiem na czele: „Co się odwlecze, to nie uciecze”.

Najpierw musi zdobyć adres administracji. Wczoraj dostrzegła na kamienicy

małą tabliczkę z nazwą firmy. Jedyna zadbane rzecz w całym budynku, pomyślała wtedy z przekąsem. Nie przyszło jej do głowy, by spisać dane. Nie pamięta nawet, czy zamieszczono coś poza nazwą, ale tyle jej wystarczy, by odnaleźć stronę z adresem.

– Kamienica, po raz trzeci – wymruczała, włączając pod prysznic.

Cel wyznaczony, Monique nie będzie się kręcić jak gówno w przerębli. Może nawet przestanie rozmyślać o nadciągającej Wielkanocy. Kiedy spędzała święta z rodzicami, bawiło ją, że ludzie robią tyle zamieszania z powodu paru słotnych dni. Tygodnie przygotowań, pichcenia, szorowania po to tylko, by nudzić się przy tych samych co zawsze potrawach. Jakby nie można było inaczej, po europejsku. „Czyli jak?” – zainteresował się wuj August. „Egzotyczny wyjazd na jedną z rajskich wysp, gdzie zawsze świeci słońce – tłumaczyła Monique. – Leżysz sobie pod parasolem z trzciny, donoszą ci drinki w skorupie z orzecha kokosowego, a ty... po prostu cieszysz się życiem”. „To jedź, przekonaj się sama, jak to jest patrzeć na bezchmurne niebo w lany poniedziałek” – poradził. Podjęła wyzwanie i następnej wiosny wykupiła tygodniowy pobyt w SPA. Dla siebie i Konrada, taki gest na początek ich romansu.

„Wielkanoc bez żuru, przesłodzonych mazurków i nerwowej paplaniny ciotki Haliny. Da się? Da się!” – powtarzała wujowi do telefonu. August życzył tylko, by korzystała do woli. Czwartego dnia skusiła się na zabieg olejowania włosów. Z pachnącą kokosem czupryną wybrała się nad morze pomedytować przy monotonnym szumie fal. Resztę wczasów spędziła w pokoju, z zimnym kompresem na poparzonej głowie. Strupy wyczesywała z włosów przez następny miesiąc. Święta Bożego Narodzenia przesiedzieli grzecznie w jej kawalerce na Pradze, oglądając po raz enty *Kevina samego w domu*. Obyło się bez poparzeń, ale i bez fajerwerków, nie licząc wybuchu petardy tuż pod balkonem sąsiadki z parteru. Wielkanoc dla odmiany spędzili u Konrada, konsumując pyszności dostarczone przez modną firmę cateringową gotującą według kuchni pięciu przemian. Rozpuszczając nad ranem kolejną smectę, Monique doceniła nudne, przesłodzone mazurki swojej matki. Mułą, ale nie przecyszczają. Pora wracać do Bukowiny, uznała wtedy.

Ale czasem to niemożliwe, nawet jeśli drzwi rodzinnego domu pozostają otwarte

na oścież.

– To tylko parę słotnych dni – rzuciła bez przekonania. – Zlecaj jak inne.

Wskoczyła we wczorajsze ciuchy i pomaszerowała na przystanek przy Kościuszki. Tym razem wzięła drobne, kupiła bilet w kiosku i czekała, z nudów licząc czerwone auta. Jeśli doliczy do dwudziestu, wróżyła, spędzą te święta razem z Augustem. Jak tylko zdobędzie jego nowy adres, wsiada w bus, pociąg, co tam trzeba, i jedzie, nie czekając na zaproszenie. Wuj robi zdziwioną minę, może pomarudzi dla zasady, zacytuje odpowiedni rozdział z Jana Kamyczka, ale przyjmie ją jak zwykle z fasonem. Doliczyła do dwudziestu pięciu, kiedy dostrzegła tramwaj leniwie toczący się po torach.

– Będzie dobrze – szepnęła, wskakując do drugiego wagonu.

Skasowała bilet, usiadła całkiem z tyłu, jak lubiła, i zaczęła rozmyślać, co powie wujowi, kiedy już się zobaczą. Nie będzie ukrywać własnej sytuacji, jemu nie musi ściemniać. Od upadku komuny miał do czynienia z kapryśnymi klientkami i ciągle się dopraszał o zaległe honoraria, przysięgając na grób matki sąsiada, że to już ostatnie takie zlecenie. Więc może mu śmiało powiedzieć. Wystarczy, że pokaże parę esemesów od Nadwornej, wuj w mig zrozumie i zaraz coś doradzi. Nie wprost, to nie w jego stylu. Kiedy zeszłej jesieni wyjawiała, że chciałyby robić za polskiego Clarksona, tyle że zamiast o drogich autach nawijałyby o fikuśnych szmatkach, wuj odkaszlnął, jakby coś utkwilo mu w gardle, i rzucił: „Clarkson? Ten fatalnie ostrzyżony człowiek z BBC? Trzeba przyznać, że ma parę celnych żarcików oraz kamień nazębny, który ignoruje podobnie jak cudzą biedę. Przydatna cecha w społeczeństwie klasowym. Chciałabyś go naśladować... Wiesz, jak długo hoduje się taki kamień?”. Tyle wystarczyło, by dała sobie spokój. Może wuj coś wymyśli, znajdzie wyjście choćby awaryjne? Zawsze miał nosa, umiał wyczuć sezon na storczyki, nawet jeśli w salonie wciąż trzymał staromodną anginkę.

Ciekawe, jakie kwiaty hoduje w swoim nowym domu, pomyślała, przeciskając się w stronę wyjścia.

– Monique! Co za spotkanie! – usłyszała nagle tuż za sobą.

Tę twarz już gdzieś widziała. Rude loki, piegi... Facet w beemce. Zatrąbił na nią,

bo ją poznał, a jej się zdawało, że to podryw. Siara do entej!

– Nie pamiętasz mnie.

– No pewnie, że pamiętam – skłamała. – Tylko że zaraz wysiadam i...

Drzwi tramwaju właśnie się otworzyły.

– Długo będziesz w Krakowie? Może się spotkamy? – rzucił wpatrzony w nią jak w obrazek. – Nic się nie zmieniłaś, zupełnie.

– Dzięki – bąknęła. dodając przepraszającym tonem: – wpadłam tylko na chwilę do wuja.

– Przykra sprawa – zasepił się rudy.

– Pani wychodzi czy będzie tak stać i tarasować? – warknął zażywny jegomość w opiętym prochowcu. Monique znała takie typy, dyskusja mijała się z celem.

– Sam widzisz – znacząco zerknęła na jegomościa. – Lecę.

Z wdziękiem wyskoczyła i na pocieszenie pomachała rudemu niczym aktualna królowa ludzkich serc. Żeby tylko sobie przypomnieć, gdzie się spotkali. W Paryżu? W telewizji? A może jeszcze na studiach? W liceum raczej nie, kumplowała się z tyloma chłopakami, ale żaden nie miał rudych włosów. Może jakiś cichy wielbiciel, przypomniawszy sobie znowu jego zachwycony wzrok. Obserwował ją z daleka, wreszcie po latach zebrał się na odwagę, by wyznać... Wracamy na ziemię, rozkazała samej sobie, zatrzymując się przed kamienicą. Zdyszana spojrzała na tabliczkę. „Budynek administruje firma Versal”.

– Na bogato – oceniła, wygrzebując z torby smartfon.

W mig odnalazła adres strony zrobionej z dużym, jakby to ująć, rozmachem. Fonty stylizowane na gotyk, imponujący wachlarz usług, począwszy od remontów zabytków, a skończywszy na przycinaniu żywopłotów w ogrodach francuskich, referencje jak z reklamy amerykańskich środków odchudzających, w tle zaś fotografia Wawelu z lotu ptaka. Brakowało natomiast adresu, podano jedynie telefon. Na początek wystarczy, pomyślała. Wybrała numer i wzięła głęboki oddech, czekając na połączenie.

– Słucham! – odezwał się szorstki męski głos. – Versal z tej strony!

– *Bonjour* – odezwała się Monique stosownie do sytuacji. – Czy mogę

rozmawiać z kierownikiem?

– W sprawie?

– Chodzi o lokatora spod ósemki. Może pan kojarzy tę kamienicę niedaleko Skałki. Mój wuj August Nocny zajmował mieszkanie pod numerem siedemnastym i chciałam się dowiedzieć...

– Szefowa już wyszła na inspekcję.

– Wróci dzisiaj?

– Jutro będzie, ale o której, nie wiadomo. Wielki Tydzień.

– A pan się nie orientuje, co z moim...

– Przez telefon postronnym osobom informacji nie udziela się.

– Jestem jedyną krewną – oznajmiła Monique stanowczo i na wyrost. – Właśnie przyjechałam z Paryża i zależy mi, żeby...

– O Kioto pani słyszała?

– Noo... – zawahała się Monique.

– Czyli że wszystko jasne. Pani przyjdzie do centrali, pani porozmawia z szefową i się dowie, do widzenia.

W słuchawce rozległo się kliknięcie.

– Francja-elegancja – podsumowała Monique.

Nawet nie zdążyła dopytać o adres. Może któryś z sąsiadów jej poda. Przy okazji Monique podpyta o wuja Augusta. Pchnęła skrzypiącą bramę i niemal zderzyła się z Brzytwą.

– Ty tutaj? – wykrztusiła wreszcie.

Jeszcze chwila, a Brzytwa zacznie wyskakiwać nawet z lodówki Aleksa.

– Pracuję niedaleko, więc pomyślałam, że zajrzę. Co dwie pary oczu, to nie jedna. – Zamrugła swoją.

Rzęsy kapąły od tuszu, a kreski... Takich kresek nie nosiła nawet Kleopatra grana przez królową kiczu, Liz Taylor. Może dlatego, że jej wizażysta nie używał tak grubego flamastra. Ustom też nie pożałowano błyszczczyka, kok sterczał dumnie niczym snop siana, ale niektórym typom z przesadą jest do twarzy, uznała Monique.

– Nie podałam ci adresu – zauważyła nagle.

– Dokładnie opisałaś budynek i wspomniałaś o zniszczonej robinii na rogu. Pokręciłam się i jestem.

– Rozmawiałam z człowiekiem z administracji – pochwaliła się Brzytwie. – Versal przez V. Strona zrobiona z podobną fantazją.

– Mówiłam! Im większy wypas, tym bardziej wali na klatce schodowej. Jak za Króla Słońce. Dowiedziałaś się czegoś o wuju?

– Nie udzielają informacji przez telefon. Facet zasłaniał się jakimś Kioto.

Które Monique kojarzy się wyłącznie z wyborną herbatą, a reszcie świata z międzynarodowym traktatem lekceważonym przez największych trucicieli środowiska.

– GIODO – poprawiła Brzytwa – Generalny Inspektor Ochrony Danych Osobowych.

– Przecież nie prosiłam o dane osobowe... Ale trzeba przyznać, że skrót bardzo ładnie brzmi.

Umilkła, szczypiąc zębami zadziorek przy serdecznym palcu.

– Coś nie gra? – zainteresowała się Brzytwa.

Monique pokręciła głową. Miałaby się przyznawać, jak jej głupio, że po raz pierwszy słyszy o tym całym GIODO? Nawet niekumaty koleś z Versalu okazał się lepiej zorientowany. Co za skucha!

– Muszę się spotkać z tą szefową osobiście. – Znowu wbiła wzrok w tabliczkę. – Nie podali nigdzie adresu.

– Kojarzę ich biuro. Dorabiam w tej samej kamienicy. Jak chcesz, możemy skoczyć od razu.

– Dziś nic się nie załatwi – odparła Monique spłoszonym głosem. – Szefowa już podobno wyszła na inspekcję. Pójdę jutro, a dziś...

Poklepała się po kieszeniach, szukając e-papierosa.

– Możesz zadzwonić do rodziców – podpowiedziała Brzytwa.

– Daj spokój, od lat nie są na bieżąco. Zerwali z wujem kontakty, kiedy tylko wyleciałam do Paryża. Mieli mu za złe, że to on mnie namówił. To znaczy nie było żadnych, wiesz, konkretnych działań z ich strony. Ojciec po prostu wykreślił

Augusta z listy osób, którym przesyłali kartki na święta.

Ciekawe, czy wuj cokolwiek zauważył, zastanawiała się przez chwilę. Zwykle nie czytywał żadnych kartek, nie sprawdzał nawet, od kogo i skąd je wysłano, rzucał tylko okiem na zdjęcie i kwitował z wyższością: „estetyczna katastrofa”.

– A jego była żona? – cisnęła Brzytwa.

– Ciotka Halina? Chyba żartujesz! Dostaje mdłości na samo imię „August”! Powtarza zaraz, że w jej życiu był tylko jeden mąż: Antek z Hali Gąsienicowej.

Może hektarów Antek nie ma, ale na wożeniu turystów do Morskiego grosz zarabia przedni, pije tylko za cudzesy i po powrocie z karczmy zasypia już w progu. Burd żadnych nie czyni, na ciotkę jeszcze bata nie podniósł; wystarczą mu konie. A że zechciał rozwódkę, w rodzinie zasłużył na miano dobrego chłopca. Po Auguście, lubił czasem wtrącić ojciec, każdy jest dobry.

– Nie trzeba kogoś lubić, żeby wiedzieć, co się u niego dzieje – zauważyła Brzytwa.

– Ale ciotka nawet nie wspomni o wuju! – upierała się Monique. – Za to po herbacie z prądem powtarza, że u boku Antka wreszcie żyje jak należy.

Wzdrygnęła się na wspomnienie ostatniej rocznicy ślubu, na którą dała się zaprosić. Stół uginający się od lokalnych trucizn, pieczony baran na ruszcie, sprośne żarty towarzyszące polewaniu wódki, góralska muzyka w najgorszym wydaniu oraz falbaniaste kreacje w pastelowych odcieniach. Takiego bezguścia nie widuje się nawet na Eurowizji, pomyślała Monique, udając, że śpiewa ze wszystkimi: „Po syrze się dobrze smyrze”. Najgorsze zostawiono na koniec, kiedy goście porządnie już popili. Antek pochwalił się wtedy nową sypialnią, urządzoną na okoliczność rocznicy. Podniecony klepał na zmianę nowe łoża z Kalwarii i małżonkę. Patrząc na ich czerwone twarze, na mokre koła pod pachami, Monique czuła się tak, jakby nazarła się oscypków i popiła ciepłym bimbrem. Nad ranem dopadły ją mdłości, ledwo dobiegła do łazienki. Od tamtej pory wymiguje się od rodzinnych wesel, chrzcin, Pierwszej Komunii oraz srebrnych godów. Zagląda jedynie na Wigilię, by zniknąć w Świętego Szczepana, bo jak powiadają w jej stronach: gość jak pstrąg, na trzeci dzień śmierdzi. A ona już dawno straciła status domownika. Jest tylko

gościem, przy którym nawet ojciec stara się mniej mlaskać.

– Nawet jeśli twojej ciotce się udało – podjęła Brzytwa – jest coś, co nie pozwala zapomnieć: urażona duma.

Tym trudniej będzie Monique dzwonić i poruszać czułe struny.

– Zastanowię się – obiecała pojednawczym tonem.

– Nie zadzwonisz.

– Zadzwonię, jeśli nic nie wskóram w administracji. A ty z kimś rozmawiałaś? – odbiła piłeczkę na pole Brzytwy.

– Zastukałam do mieszkania drzwi obok twojego wuja. Otworzył mi facet o wyglądzie radnego. Przedstawiłam się jako kuzynka Augusta, ten zaczął się kłaniać i przeproszać, że trzyma mnie w progu, ale ma właśnie remont, wszystko postawione na głowie. Chętnie się spotka, porozmawia w bardziej komfortowych warunkach, najlepiej po świętach, i nagle się pożegnał, mówiąc, że ma ważny telefon z urzędu.

– Drzwi po lewej? Kiedyś mieszkał tam wąsaty Toluś. Tak go nazywano w kamienicy, od Tolka Banana z serialu.

– Donosił?

– Podobno dzięki temu dostał przydział lokatorski w stanie wojennym. Ale tamten koleś w niczym nie przypominał radnego. Taki raczej siermiężny typ z wąsem, noszący przepocone swetry i tłustawe włosy zaczesane na bok. Brakowało mu paru zębów, za to nie brakowało kobiet. – Uśmiechnęła się z zażenowaniem. – Tak przynajmniej twierdził wujek.

1993

Obudziło ją żalosne zawodzenie wiatru. Poznała od razu: halny. W Bukowinie potrafił załatwić niejednego twardziela z ciupagą. Nie pomagała profilaktyka w postaci gęstej ziemniaczanki, nocami dochodziło do bijatyk, awantur, a nawet samobójstw. Dlatego zawczasu chowano sznury, bimber oraz tasaki, odkładano ważne rozmowy, by potem nie żałować, czekając w kolejce na pogotowiu. W górach

halny zbiera żniwo, ale żeby docierał aż tutaj? – irytowała się Monique, zwlekając się z łóżka. O śnie nie było już mowy, należało przeczekać, aż wycie przycichnie. Podreptała do salonu i nagle stanęła jak wryta na widok wuja. Balansował na drabinie, trzymając w dłoni litrowy słoik po ogórkach. Zanim zdążyła zapytać, co robi pod sufitem, przyłożył palec do ust, a ucho do słoja. Trwał tak parę minut, wreszcie zadał Monique pytanie retoryczne:

– Powiedz, ileż można?

Wzruszyła ramionami.

– Rozumiem pół godziny, ale żeby do rana?

– Przecież dopiero co wybiła północ.

Fuknął zirytowany jak zwykle, gdy nie chciał przyznać jej racji. Jeż przyparty do muru, pomyślała Monique. Zasiadła w jego fotelu i czekała na rozwój wydarzeń.

– Która kobieta wytrzymuje takie traktowanie – podjął znowu wuj. – Ekscesy!

– Może pomyliłeś sobie z wiatrem.

W odpowiedzi pacnął się w czoło i zaczął nasłuchiwać.

– To nie jest normalne – orzekł wreszcie, złącząc z drabiny. – Żeby tyle piłować, budząc przyzwoitych ludzi... co robić... co robić?

– Stopery? – rzuciła bez przekonania.

Przecież wuj i tak nie zmruży oka. Zemstę Haliny (tak nazywał wicher) znosił gorzej niż pełnię. Wtedy wystarczyło postawić szklankę wody na parapecie i szczelnie zasłonić okna. Na Halinę nie było żadnego sposobu. Męczyła aż do świtu.

– Ja bym próbowała porozmawiać – bąknęła Monique raczej do siebie.

– O czym? Że za głośno skrzypią mu sprężyny? Wyjdę na upierdliwca, który się czepia. – Wuj dostrzegł jej minę. – Zresztą już podjąłem próby.

Ach tak, przypomniała sobie, przywiedły burak zostawiony na wycieracze sąsiada. Niewielu skojarzyłoby to z nocnymi szaleństwami podczas halnego. Na pewno nie człowiek, który dokonał aneksji zydła.

– Przy okazji mógłbyś poprosić o zwrot...

– Zaraz coś mi się stanie! – jęknął August. – Myślisz, że chciałbym dotykać zydła? Nie wiadomo, kto i jak na nim siadał!

Monique milczała, zastanawiając się, jakim cudem wuj zasłużył na miano wyuzdanego perwersa. Czy coś umknęło jej uwagi? A może ciotce pomyliły się słowa... Może chciała powiedzieć, że jej mąż jest dziwakiem? Białym jednorożcem, który jakimś cudem zapędził się do zwykłego świata. Tak go właśnie postrzegła Monique, choć na ogół kojarzył jej się z postaciami granymi przez Louisa de Funèsa. Tyle że wuj niczego nie grał, złościł się całym sobą.

– Jeden mały burak...

Podniósł dłoń na znak, by już nic nie mówiła. Przez chwilę siedzieli naprzeciw siebie, wsłuchani w wycie wiatru (Monique) i rytmiczne odgłosy za ścianą (August).

– Z burakiem podjąłbym rozmowy – odezwał się nagle. – Bo do buraka można dotrzeć, nawet jeśli początkowo się ciska. Ale ten tam, za ścianą, należy do zupełnie innego gatunku. Przetrwą każdą transformację, jak karakony.

– Znaczą, że co? Nie jest homo sapiens? – zdziwiła się Monique.

Widziała sąsiada zaledwie dwa razy. Nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Ot, grubawy facet z wąsem, w tureckim swetrze, jakich pełno na bazarach. Facetów i swetrów. Monique bąknęła: „dzień dobry”, dygnąwszy niczym przedwojenna pensjonarka. Sąsiad odpowiedział, liżąc wzrokiem jej szczupłe łydki w bordowych rajstopach. Znikł w swoim mieszkaniu i zaraz uleciał Monique z pamięci. Gdyby spotkali się poza kamienicą, nie poznałaby go w tłumie innych zwykłych.

– Uważasz, że mamy za ścianą terminatora? – wyszeptała podekscytowana. – Wcielił się w kierowcę pekaesu, by nie budzić podejrzeń?

Wuj już miał sarknąć, kiedy nagle sobie uświadomił, że Monique ma trochę racji.

– Właśnie – mruknął do siebie. – Nie budzi podejrzeń, a powinien.

– Myślisz, że już kogoś załatwił?

– Na razie wykańcza najbliższego sąsiada – zniżył głos. – I całkiem nieźle mu to wychodzi.

*

– Spotkałam na schodach dziwną staruszkę – podjęła znowu Brzytwa. – Taskała węgiel zasapana, więc pytam, czy jej pomóc. Niby się zgodziła, ale całą drogę

patrzyła mi na ręce, jakbym miała odlecieć z pełnym wiadrem.

– Pytałaś o wuja?

– Nie chciałam jej płoszyć, więc tylko zagaiłam o remont pod siedemnastką, babka odburknęła, że to nie jej sprawa. „Lokatorom nie należy się wtrącać, bo tylko z tego kłopot”. Wtedy wyjawiałam, że szukam mieszkania do wynajęcia na dłużej. Staruszka zniżyła głos i mówi: „Wie pani, pustostanów tu nie brakuje, bo ludzie co i rusz znikają, ale z wynajmem to najlepiej do kuratorki. Ona tu wszystkim trzęsie i ten jej lowela...”. Nagle rozejrzała się nerwowo, wydarła mi wiadro, bąknęła: „Bóg zapłać”, i zwała do siebie. Trzecie piętro, w głębi korytarza.

– Dzwoniłam do niej, podeszła do drzwi, zerknęła przez judasz i po kontakcie. Miałaś więcej szczęścia.

– Powiedzmy. – Brzytwa zmrużyła oczy zamyślona. – Co robimy z resztą dnia?

Robimy? Monique czytała o takich przypadkach. Poznajesz fajną pannę na zwykłej imprezie, dobrze ci się gada, bawią was te same rzeczy i złoścą te same gęby w telewizji, więc dajesz się namówić na spacer, a potem do kina. Zaczynasz się zwierzać, ona świetnie ci doradza, dlatego wyjawiasz coraz więcej. Po miesiącu zna wszystkie twoje sekrety i słabostki, które od razu ci wybacza, po dwóch – dzielicie szafę, naczynia oraz kibel. Wszędzie łązicie razem, istne papużki nierozłączki. Sielanka trwa, dopóki nie spróbujesz umówić się z kimś innym. Wtedy się zaczyna: koszmar z ulicy Wiązów. Pół roku później policja znajduje twoje zmasakrowane zwłoki upchnięte w reklamówce z Biedronki.

– Mieszkałaś z kimś? – spytała niewinnym głosem.

Brzytwa zamrugnęła zdezorientowana.

– Lata temu z mężem – odparła wreszcie. – Na szczęście zwałam w porę. Nie nadaję się do takich... sobotnie zakupy w Carrefourze, niedzielne obiady przy serialu, sezonowe wizyty w Ikei, odkładanie na nowego volkswagena, grill u szwagrów, sylwester z jego znajomymi, wakacje *all inclusive* w Tunezji, wykupione zaraz po Nowym Roku. Można się udusić!

– Masz chyba jakichś przyjaciół? Poza Alekssem.

– A ty ilu ich masz? – zirytowała się Brzytwa.

– Ostatnio dosyć dużo. Te wszystkie klientki...

– Nie mów, że się przyjaźnisz z kimś, kto płaci ci za usługi!

Monique nie odpowiedziała, stropiona. Kiedyś, na początku, wierzyła, że taka więź jest możliwa. W końcu jak określić to, co łączyło ją z fryzjerką Anitą. Monique nikomu się tyle nie zwierzała, nawet wujowi. Wieczorami biegały razem na siłownię albo robiły sobie dzień dziecka w pobliskiej cukierni. Anita zawsze wcisnęła ją do grafiku, nawet jeśli pękał w szwach, Monique w zamian obdarowywała ją gratisami z imprez promocyjnych. Kiedy przeniosła się na Pragę, ich znajomość umarła śmiercią naturalną. Może zabrakło gratisów, by ją podtrzymać przy życiu.

– Nie przyjaźnię się – odparła Monique, nie omieszkując dodać, że jej klientki bardzo by tego chciały. Ale ona woli nie wchodzić w rolę płatnej kumpeli. Już rozumie, co czuła kiedyś Anita.

– To jak z tym popołudniem? – Brzytwa ponowiła pytanie.

– Czemu tak się wkręcasz...

– Pytałam tylko o jeden deszczowy dzień! A ty traktujesz to jak ofertę spędzenia razem reszty życia.

Monique przygryzła usta. Przed kimś innym próbowałaby ściemniać, ale Brzytwa, miała wrażenie, od razu wyłapie każde kłamstwo. Te oczyska przewiercają człowieka na wylot!

– Powiedz, czemu tak się interesujesz moim wujem – zmieniła temat.

– Może zbywa mi czasu. – Brzytwa mrugnęła. – Właśnie, à propos dziwnych sposobów jego zabijania, może dasz się wyciągnąć na mały protest? Przy okazji obejrzysz sobie magistrat.

– Mijałam tramwajem. Protest?

Monique widywała mnóstwo manifestacji, zwłaszcza w Paryżu. Nigdy nie czuła potrzeby, by dołączyć, nawet jeśli przemawiały do niej hasła protestujących. Miała wrażenie, że kiedy stanie w grupce krzykaczy, wszyscy będą się gapić właśnie na nią, wskazywać palcem i oceniać jej wygląd. Syndrom prowincji, z tego się nie wyrasta.

– Spotykamy się co miesiąc, by głośno tupnąć nogą – objaśniła Brzytwa. – Taki

ruch wyruchanych. Frankowicze, prekariusze, dziady kultury...

Niedoszłe celebrytki, drugorzędne stylistki i inne frajerki, zaśmiała się pod nosem Monique.

– W tym miesiącu chcemy podziękować włodarzom za bohaterską walkę ze smogiem. Dlatego wszyscy przyjdziemy w maskach, odwrócimy się tyłem do magistratu, zdejmujemy gacie i wypniemy dupska. A na koniec trochę powrzeszczymy.

– Myślisz, że was usłyszą? – prychnęła Monique.

Równie dobrze mogliby pokrzyczeć do Pana Boga. W gruncie rzeczy prezydent jest niewiele młodszy i tak samo głuchy na wołania swojego ludu.

– Chcemy tylko pokazać, że mamy jakikolwiek głos. Bo przez te wszystkie lata wielu z nas zaschło w gardle.

– Komu pokazać, skoro tamci mają dźwiękoszczelne okna?

– Sobie. Od tego się zaczyna.

No jasne, pokiwała głową Monique.

– A ty kiedy ostatnio krzyczałaś?

– Na kogo? Na siebie?

Wystarczy jej świadomość, że zaważyła. Że gówno, w którym tkwi, zawdzięcza wyłącznie sobie. Nikt inny nie jest winny, tylko ona.

Konrad tłumaczył kiedyś na wizji, co zapewnia zdrowie psychiczne oraz szeroko pojęty komfort. „Poczucie sprawstwa. Musisz uwierzyć, że to ty kreujesz własne życie, nikt inny. Sobie zawdzięczasz sukcesy i porażki. Masz wpływ! Powiedz to głośno: Mam wpływ!” Mam wpływ, mechanicznie powtórzyła Monique, bezwiednie bawiąc się pilotem. Nagle dotarło do niej, co to naprawdę znaczy, i poczuła się kijowo do entej.

– Możemy spotkać się jutro – odpuściła nagle Brzytwa.

– No dobra. Ale stanę z boku. Nigdy nie lubiłam spędów.

Zwłaszcza takich, gdzie ludzie chodzą się pokazać. Dlatego szerokim łukiem omija warszawskie manify, na których bywają jej dawne koleżanki ze stacji. A powinna, poradziła jej Iga, bo tak się buduje swoją markę w show-biznesie.

Talent, ciężka praca, wytrwałość i zarazem elastyczność – to wszystko się przydaje, ale nic nie zastąpi dobrego lansu.

– Długo to potrwa? – rzuciła, drepcząc krok za Brzytwą.

– Kwadransik, chyba że policji zachce się spisywać. Bez obaw, gapiom nic nie grozi – dodała.

Monique fuknęła. Sama lubi nazywać rzeczy po imieniu, ale usłyszeć taką uwagę na swój temat... czy gdyby wypowiedział ją ktoś bliski, czułaby się mniej urażona?

– Tu się rozdzielimy – orzekła Brzytwa, zwolniwszy. – Możesz postać niedaleko przystanku i udawać, że czekasz na tramwaj, z nudów pstrykając samejebki na tle zbuntowanych dup.

– Nie jestem fanką selfie. Po prostu postoję i popatrzę. Jak na prawdziwego gapia przystało.

Na placu Wszystkich Świętych kłębił się już spory tłum. Kobiety, mężczyźni, starsi, młodszy, rozmaicie ubrani, a wszyscy w takich samych antysmogowych maskach z napisem „Wstyd”. Na sygnał dany przez organizatorów stanęli na baczność, tyłem do okien magistratu. Rozległy się bębny. Ktoś wykrzyczał przez megafon krótki manifest do rządzących, zakończony podziękowaniem: „Za beztroskę w kwestii smogu! Za te wszystkie wycięte drzewa, zabudowane korytarze powietrzne oraz zniszczone skwery! Za tysiąc procent normy! Dziękujemy! Dziękujemy!”.

Zaczęto skandować. Monique pożałowała, że nie stoi razem z tłumem. Że zabrakło jej odwagi, a może i maski.

Nagle wszyscy umilkli, znowu zagrały werble niczym w cyrku przed wykonaniem salto mortale, protestujący spuścili spodnie lub spódnice, a następnie obnażyli pośladki i niemal jednocześnie wypięli je w stronę magistratu. Błysnęły flesze. Kościelne dzwony wybiły godzinę trzecią. Zagrała trąbka z kościoła Mariackiego. *Closing time*, pomyślała Monique. Ciekawe, czy ktokolwiek z urzędasów odważy się teraz wyjść z budynku. Raczej odczeka ten kwadransik.

– Może to jedyna przykrość, jaką im sprawiliście swoim flash mobem – rzuciła, kiedy było już po wszystkim. – Bo wstyd...

„W ich słowniku nie ma takiego terminu” – powtarzał wuj August.

– Dobrze i to, na początek – odparła Brzytwa ucieszona niczym dzieciak, któremu udała się psota.

Monique też uwielbia wygłupy, ale jej zapał gasi jedno pytanie: „Ile ty masz lat, kobieto? Dziesięć?”.

Wystarczy, by zadała je sobie sama, i po zawodach.

– Za miesiąc powtórka, a potem kto wie, kto wie. – Brzytwa zatarła dłonie.

„Psy szczekają, karawana jedzie dalej” – skwitowała Monique, czując jednocześnie, że zazdrości Brzytwie wiary. Ona już od dawna nie wierzy, że cokolwiek da się zmienić.

– Teraz obiadek – usłyszała. – Alek zaprasza.

Że też nic jej nie wspomniał o przyjeździe! Przynajmniej mocniej umalowałyby usta. Aleks lubił takie akcenty. Bordowa szminka, zbyt dużo tuszu na rzęsach, zbyt krótka spódnica, rajstopy udające pończochy, niby obciach, bazar i disco polo, ale z przymrużeniem oka. Pewnie zachwyca się stylem Brzytwy, pomyślała nie bez zazdrości Monique. Ciekawe, czy się spotykali, czy Brzytwa była tą trzecią, a może to raczej Monique... Dostyc wycieczek w czasie! Jest teraz z innym facetem. O którego wierność zupełnie się nie martwi, dziwne. Przecież Konrad ma więcej okazji, by zakręcić na boku. Telewizja wabi panny znacznie mocniej niż dawniej szkarłatny mundur.

– Więc Aleks przyleciał do kraju? – bąknęła. – Nic mi nie wspominał, że wraca.

– Tylko zadzwonił – uspokoiła ją Brzytwa. – Mamy iść na popas do jego baru. Zielony Ogórek na Kazimierzu. O tym ci chyba wspominał.

– No raczej, ale nie słuchałam jak zwykle.

Już lepiej wyjść na tę gorszą, niż znowu robić za frajerkę, którą oszukują kolejni narzeczeni.

– Co to za miejsce? Pewnie szemrane. Aleks uwielbiał dziwne klimaty – dodała zaraz, żeby Brzytwa nie wzięła jej za wredną zawistnicę. – Piliśmy w takich melinach, że wstyd wspominać.

– Znacząca zabawa była przednia: na ogół jest na odwrót: impreza do bani, za to

dużo przechwałek nazajutrz.

Kumple Konrada, przypomniała sobie zaraz. Potrafią zanudzić towarzystwo opowieściami, jak to na wyjeździe służbowym upalili się czeską trawą. Jeden gram na ośmiu facetów. Działo się, że ho, ho!

– No i jesteśmy – oznajmiła nagle Brzytwa, stając przed oszklonymi drzwiami. – Zbiłam na zapleczu niezłą górę naczyń. Aleksa bardzo to cieszyło, sądził, że w ten sposób szybciej spłaca dług.

– Musiał nabroić – odezwała się Monique, licząc, że Brzytwa rozwinie temat. Niestety.

– Polecam pierożki momo, tylko uważaj z sosem. Reanimowałam niejednego klienta.

– Chadzasz na obiady z klientami?

– Już nie ryzykuję niestrawności. – Lekko się uśmiechnęła, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w gliniany dzbanuszek. – Choć trzeba przyznać – podjęła po chwili – że niektórym zależało, by dotrzeć do prawdy. Tobie raczej zwisa.

A kto lata po kamienicy, wydzwania po sąsiadach, no kto?, uniosła się Monique, ale w głębi serca poczuła, że Brzytwa trafiła. W samo sedno.

– Trochę się boję spotkania – przyznała wreszcie. – Wuj bywa zgryźliwy, zwłaszcza kiedy ma powód.

A tych nie będzie mu brakować. Smog i brak widoków na przyszłość, kiepski program w telewizji. No i kot, którego miała zabrać do siebie.

– Czemu starzy wysłali cię akurat do niego? – spytała Brzytwa wprost. – Chcieli oszczędzić na stacji?

– Obląłam ustny na architekturę i liczyli, że wuj mi pomoże.

1993

– *Jak to sobie wyobrażają?* – zainteresował się August.

– *No bo wujek zna się...*

– *Na kostiumach – przytaknął. – Czasem dobiorę perfumy głównym postaciom, by*

nie było zgrzytów na scenie, ale, na Boga, nie tykam dekoracji! Owszem, zdarzało mi się wyrzucić z planu świecznik, który nie pasował do fularu, jednak nie można tego uznać za... rzecz jasna, byłbym świetnym scenografem – wtrącił zaraz – gdyby mi tylko zależało. Rozumiesz?

Nie zabrzmiało to jak pytanie, ale przytaknęła skwapliwie, uświadamiając sobie zaraz, że nawet nie wie, co wuj robi w teatrze. Ojciec żartował czasem, że August jest specjalistą od kurtyny. Wie, kiedy ją spuścić. Ale co to w praktyce oznaczało?

– Im wcale nie chodzi o moje liczne talenty – podjął po chwili, bawiąc się srebrną łyżeczką. – Prawda?

Nie musiała nic mówić, wystarczyło, że lekko zmarszczyła nos, przygryzając dolną wargę.

– Więc o co? – drążył. – Chcą, żebyś przy mnie wyrobiła sobie smak?

No, o tym nikt z rodziny Fortunów akurat nie pomyślał. Smak kojarzył się raczej z dobrze przyprawioną kwaśnicą, z oscypkiem dla turystów już mniej, a z gustem wcale. Co nie znaczy, że rodzice czuli się w tym względzie wybrakowani. Wręcz przeciwnie; przechadzając się po wysprzątanym na święta pokojach, mieli poczucie estetycznego spełnienia.

– A może chodzi o darmowe lekcje dobrych manier? – nie odpuszczał wuj.

Taka oferta uraziłaby matkę, wierną czytelniczkę „Ikony”. Ojciec zaś uznałby podobne nauki za niepotrzebne zawracanie dupy. „Gdy płonie chałupa, nie czas pieścić się z widelcem” – rzuciłby pewnie swoją ulubioną maksymę, radząc Monique, by rozejrzała się za gaśnicą. Gaśnica... wujek nie byłby zachwycony metaforą.

– O lekcje też – bąknęła, uciekając wzrokiem w bok – ale tacie chodziło bardziej o to... że... – odkaszlnęła zawstydzona. – no, że wujek ma kontakty na uczelni. Dojścia...

– Tak to określił? Kontakty? – August zaśmiał się, co zabrzmiało niczym kasznięcie. – Kiedyś używał mniej subtelnych słów. Sam już nie wiem, co wolę, nawet jeśli przestałem cenić autentyczność w wydaniu rodzinnym. Więc mój były szwagier ma nadzieję czerpać korzyści z moich... hmm... kontaktów. W niektórych kręgach nazywają to sutenerstwem.

Monique poczuła, jak purpurowieją jej policzki. Powinna teraz wstać, szybko spakować obie torby i wyjść, nie czekając do rana, aż puszczą emocje. Przecież ma jeszcze pieniądze na bilet. Ale czy o tej porze znajdzie jakiś kurs do Bukowiny? Znowu łapanie okazji przy wylotówce bywa ryzykowne. Wprawdzie Zośka z naprzeciwnika poznała w ten sposób męża Niemca, ale częściej można złapać kiłę. Wtedy trzeba jeździć po lekarzach aż do Tarnowa, żeby się nie rozniosło po okolicy. Założmy, że Monique uda się bezpiecznie dotrzeć do domu jeszcze przed północą. Zadzwoń do drzwi i co powie rodzicom? Że uciekając od wuja, broniła ich dobrego imienia? Już sobie wyobraża minę ojca. Najpierw ją wyśmieje, a potem oboje z matką stwierdzą, że nie była dość twarda, by przetrwać poza rodzinnym kłosem. Walkower już na samym początku? Świetnie, córcia! Nie ma sensu, żebyś siedziała po Krakowach, drenując kieszenie ojca. Zrobisz sobie w Sączu ekonomię, potem wciśniemy cię do jakiego urzędu... Bomba! – mruknęła. Posadka po starej znajomości, wygodny stołek, na którym przesiedzi bezpiecznie do emerytury, po godzinach założy rodzinę, zamieszka przy sąsiedniej ulicy w domu obłożonym kamykami niczym góralski kapelusz...

– Za chwilę zejdziesz ci skóra z kciuka – usłyszała.

Natychmiast wyjęła palec z ust, gorączkowo rozmyślając, jak się odciąć. Alexis z Dynastii, ta by wiedziała, jak wuja zgasić. Jednym zdaniem. Ale Monique dopiero się przyucza.

– To mój tata – wydusiła wreszcie.

– Niestety – przytaknął August.

– Ma swoje wady...

Brak wyżej wspomnianego smaku oraz manier, prostacki humor, niechęć do książek, lepszego mydła, a także prac domowych, no i przede wszystkim ogromny wąż w kieszeni. Pod względem skąpstwa Jan Fortuna mógłby śmiało rywalizować z serialowym Jasiem Fasolą.

– Mnóstwo wad – podkreśliła Monique, nie wdając się w szczegóły. – Ale jest moim tatą, rozumiesz?

Wuj lekko skinął głową.

– Cóż, rodziny się nie wybiera – skwitował, odkładając łyżeczkę. – Można od niej uciec albo jej bronić. Ty, jak widzę, potrafisz jedno i drugie. Brawo!

*

Wieczorem zadzwoniła do Aleksa. Musi się dowiedzieć czegoś o tej dziwnej kobiecie, która wdarła się w jej życie niczym burza. Tupie głośniejsz niż gestapo, wciska się w cudzą przestrzeń jak kot do pudełka, wymyśla żenujące rozrywki, a co gorsza, zadaje zbyt dużo pytań, sama zaś mówi szyfrem albo opowiada historie, w które trudno uwierzyć. Ojciec Kutas siejący dzieci gdzie popadnie? Siostra bliźniaczka, która bierze kąpiel w kapeluszach? Pożar, który uratował jej życie? Bajki wysane z palca, rozsierdziła się Monique, znowu wybierając numer Aleksa. Nie odebrał, wykpił się esemesem: „Lecę na regressing. Zaraz wyślą mnie trzy wieki wstecz, życz mi szczęśliwego powrotu”.

Ona też zaliczyła kilka sesji, ale nigdy nie odważyłaby się aż tak cofać w czasie. Bo nawet jeśli by się okazało, że w VIII wieku dowodziła oddziałem wikingów, co począć z taką wiedzą? Wykorzystać w rozmowach z klientkami? Która chciałaby mieć za stylistkę byłego łamikarka z rogami na hełmie?

Pojawiła się też inna obawa: że wśród przeszłych wcieleń Monique nie ma nikogo wartego uwagi. Żadnej Kleopatry ani Mozarta, tylko niepiśmienne praczki, chłopci pańszczyźniani, szeregowi pracownicy carskich kolei, bezzębny Janko Muzykant, a w najlepszym razie wiejska nauczycielka, która umiera na dyfteryt. „Dlatego wolę się skupić na obecnym wcieleniu” – wyjaśniła Konradowi na ich pierwszym spotkaniu. Zapytał, jaki dokładnie ma problem. „Palenie” – westchnęła, bawiąc się paczką r1. Zaproponował kilka seansów hipnozy wspomaganých przez terapię behawioralną. Po miesiącu Monique poczuła, że jest gotowa zerwać z nałogiem na zawsze. „Zero dymu” – powtarzała uradowana, buszując po galerii w poszukiwaniu ciucha, który podkreśliłby jej nowe, wolne od nikotyny ja. W witrynie sklepu na parterze dostrzegła intrygujący srebrzysty przedmiot, coś pomiędzy długopisem a miniwibratorem. Tego samego dnia zakupiła swój pierwszy e-papieros. Wtedy do niej dotarło, że z hipnozą jest zupełnie jak z życzeniami.

Trzeba ostrożnie dobierać słowa.

Nie powtórzyła serii, bo Konrad właśnie oznajmił, że pozbawiono go uprawnień. „Zemsta byłej żony” – mruknął, odwracając wzrok. Czy gdyby rozstali się w zgodzie, związek z Monique wyglądałby teraz inaczej? Czy w ogóle by zaistniał?

Po co to roztrząsać?, zganiła samą siebie. Mało ci zmartwień?

Najgorsze, że nie ma nic do roboty, co odwróciłoby jej uwagę od głupich myśli. Felieton wysłała mailem wczoraj w nocy, z rozpędu wzięła się do drugiego, ale w porę przypomniała sobie, że pisanie na zapas może sprowokować zakończenie współpracy ze „Światowidem”. Skończą się e-liquid i cytrusy. Zdenerwowana zamknęła dokument i zaczęła przeglądać internet, by odreagować napięcie. W trudnych chwilach najlepiej sprawdzały się głupawe filmy instruktażowe albo recenzje kosmetyków wygłaszane afektowanym głosem. Ale dziś Monique jest w takim nastroju, że nie rozbawi jej nawet ulubiony kanał Konrada: *Klub polskiego gentlemana*, z którego można się dowiedzieć, jak rozpalić kubańskie cygaro lub własny konar (bez użycia reklamowanych po dwudziestej drugiej wspomagaczy), jak warzyć piwo, a potem z wdziękiem je wypić, jak przyciąć sobie brodę, by nie wyglądać na muzułmanina, jak radzić sobie z pralką pod nieobecność matki, gdzie wtedy jadać schabowe i czym prasować koszule, wreszcie kiedy pora na pierwszą brzytwę.

– Właśnie teraz – rzekła grobowym głosem Monique, przeczesując zasoby YouTube’a.

Dziś wieczorem potrzebuje czegoś ekstra, na przykład... „Wyciskanie wągrów w Korei” – przeczytała tytuł filmu. Zaciekawiona wcisnęła „play” i czekała na akcję. Kamera właśnie zrobiła najazd na płaski żółtawy nos usiany kraterami. Zawisły nad nim dwie dłonie w rękawiczkach chirurgicznych, wzięły na cel dorodny zaskórnik i przystąpiły do działania. Lekko rozciągnęły tłustawą skórę, nagle rozległo się dziwne chrobotanie, a chwilę później na korytarzu zadudniły ciężkie kroki. Mówisz, masz, skwitowała zgryźliwie Monique. Wystarczy poprosić i brzytwa spada sama ci na podolek. Nic tylko się pochlastać.

– Tak myślałam! – usłyszała znajomy głos, jeszcze bardziej schrypnięty niż wczoraj – Wiedziałam, że cię tu znajdę: pod rozłożystą dracena Alka i z nosem

w kompie. Żeby nie było, też lubię tam siedzieć.

– Od razu mi ulżyło – mruknęła do siebie Monique.

– Miałam cię zaprosić na własne śmieci, ale znalazłabyś wymówkę. Więc góra przyszła do Mahometa – oznajmiła ucieszona. – Wzięłam trochę żarcia, bo wiem, jak się pichci na cudzej kuchence.

– Próbowalaś tu cokolwiek gotować?

– Nie byliśmy parą, jeśli o to ci chodzi. Ale mieszkałam u Alka całe lato, kiedy wywalili mnie z poprzedniej kamienicy.

– Tak nabroiłaś?

– Znalazł się właściciel. – Brzytwa zrobiła palcami znak cudzysłowu. – Oświadczył, że kamienica wymaga gruntownego remontu i na dzień dobry zakręcił wszystkim wodę. Ja tam tylko podnajmowałam dwa pokoje z ciemną kuchnią, więc specjalnie mnie nie obeszło, ale mój bliski... – urwała, szukając właściwego słowa na określenie łączących ich relacji. – Nazywał się Beret. Mieszkał w tej kamienicy od dziecka, razem z dziadkami. Jego starzy wynieśli się za miasto. On został jako pełnoprawny lokator. Nagle się okazało, że to oksymoron. Lokator w prywatnej kamienicy ma tylko płacić i niech nic go nie obchodzi.

– Zupełnie jak w mojej spółdzielni mieszkaniowej – przypomniało się Monique.

Kiedy zajrzała do biura w sprawie źle naliczonych opłat za wodę, poczuła się niczym świadek Jehowy, który przeszkadza ludziom pracy.

– W spółdzielni przeprowadza się jakieś remonty – zauważyła Brzytwa. – W kamienicy głównie te, na których zarobi zarządca. Jeśli nie opłaca mu się wymienić okna, to czekasz, marznąc kolejną zimę. Sama nic nie możesz wymienić, bo „to nie twoje”. Więc chodzisz po właścicielach, prosząc ich o zgodę, żebyś za własne pieniądze mogła naprawić nieszczelne okno albo wypaczone drzwi. W tej sytuacji najlepiej się odnajduje żulernia – dodała. – Za nic nie płaci i o nic nie zabiega. Uczciwy lokator, któremu zależy, by żyć w godnych warunkach, traci tylko nerwy, nie zyskując nic w zamian.

Jak wuj August, pomyślała Monique.

– Wiesz, ile Beret się naprosił, by dołożono na podwórku jeden kubeł na śmieci?

Dwa lata! Telefony, podania, skargi. Myślisz, że coś wskórał? – Brzytwa parsknęła. – Kiedy zakręcono nam wodę, przelała się czarna goryczy. Beret zwiózł wszystkie graty do domu starych i wyjechał na misję do Afganistanu. Teraz płacze do słuchawki, że nie tak to sobie wyobrażał. Bo tam, gdzie kończy się logika, zaczyna się Wojsko Polskie. Jakby wcześniej tego nie wiedział!

Zirytowana zaczęła trzaskać szafkami.

– Myślisz, że Augustowi mogła się przytrafić podobna historia? – próbowała odwrócić jej uwagę Monique. – To znaczy nie z wyjazdem na misję. Wuj jest zdeklarowanym pacyfistą. Twierdzi, że gdyby ludzi porządnie wychowano, nie byłoby potrzeby się zabijać.

Więc jego tresurę można by uznać za swoistą misję na rzecz pokoju, zaśmiała się pod nosem.

– W kamienicy twojego wuja dzieje się coś dziwnego. Słuchaj – ożywiła się Brzytwa – nie pamiętasz, czy tam są wydzielone mieszkania?

– Wuj mówił, że połowa kamienicy czeka na spadkobierców. Parę osób miało jakieś udziały. Sam też chciał kupić od sąsiadki z dołu, która myślała, żeby wyemigrować do Stanów.

Wziął nawet pożyczkę, niewielką i krótkoterminową, przypomniała sobie. Już prawie doszło do transakcji, kiedy nagle rynek zwariował. Kosmiczna inflacja, niemal jak w Berlinie po pierwszej wojnie. By spłacić kredyt, wuj wydał połowę oszczędności gromadzonych latami. „Tak stałem się milionerem” – powtarzał, kiedy wzięło go na opowiadki o czasach przełomu.

– Więc nie przeprowadzono podziału – orzekła Brzytwa, zasepiona.

Podział, udział, czym to się różni, zastanawiała się Monique, bębniąc palcami po ustach. Mogłaby dopytać, ale znowu wyjdzie na ignorantkę jak z tym całym Kioto czy Giotto. No proszę, nawet już nie pamięta skrótu.

– Przecież budynkiem opiekuje się kurator – próbowała uspokoić samą siebie. – Więc chyba nie dopuści do bezprawnej eksmisji?

Zaraz, a co mówił entuzjasta z pociągu? „Ci dopiero kombinują. Wystarczy, że dogada się taki z właścicielem albo szemranym spadkobiercą. Przewalili niejedną

kamienicę, zwłaszcza na Kazimierzu”. August też wspominał o przekrętach. Kiedy zimą zapytała go, jak mu się żyje w najmodniejszej dzielnicy Krakowa, odburknął: „Doskonale, w każdej kamienicy mały zakład produkcyjny. Wałki, wałki na okrągło”.

– *Merde!* – Wzburzona uderzyła dłońmi o uda.

– Co znowu? – Brzytwa uniosła głowę.

– August ma dzisiaj urodziny, a ja nie mogę się nawet do niego dodzwonić!

1994

– *Żadnych życzeń!* – zastrzegł August, klęcząc metr przed telewizorem. – *Ani kwiatów!*

– *To taki wyjątkowy dzień – próbowała go przekonać. – Moglibyśmy pójść do tej nowej knajpki na Kazimierzu.*

– *Singer? Tam siedzą sami studenci. Będą się przyglądać, oceniać i głośno szeptać, że jakiś podtatusiały pseudoartysta prowadzi się z młodymi skórkami. Wielkie dzięki za takie atrakcje!*

– *Przecież byliśmy w Singerze tydzień temu – przypomniała zdziwiona. – Wtedy ci nie przeszkadzało.*

Wręcz przeciwnie. Wuj wydawał się zadowolony, że swoim ubiorem (a może i towarzystwem Monique) wzbudza powszechne zainteresowanie.

– *Wtedy nie myślałem o urodzinach, a dziś... – westchnął teatralnie, pobijając samego de Funèsa. – Czterdzieści trzy lata! Jestem od ciebie dwa razy starszy!*

Dwa razy plus jakieś dziewiętnaście procent, wyliczyła szybko, ale zaraz ugryzła się w język. Pewnych rzeczy nie warto mówić na głos, są zbyt dosłowne. A jednorożce takie jak wuj, nawet śmiertelnie ranione, potrafią odpowiedzieć równie celnym ciosem.

– *Szaleliśmy w tylu miejscach. Zaścianek, Żaczek, Bücklein, Jaszczury – wyliczyła, celowo pomijając Feniksa i Dolce Vita, gdzie bawili rówieśnicy Augusta. – Nie przejmowałeś się wcale, że... no... że odstajesz. – Umilkła*

skonfundowana. „Odstajesz”. Wuj jej tego chyba nigdy nie wybaczy. – To znaczy, no wiesz, twoje ubrania w porównaniu ze zwykłymi ciuchami... są takie... no... zielone.

– Już nic nie musisz tłumaczyć – przerwał jej August zboląłym tonem. – Wszystko jasne. Dlatego nie chcę żadnych życzeń, które mi tylko uświadomią, że z każdym rokiem będę coraz bardziej odstawać.

Zaczął nerwowo przełączać kanały, wreszcie trafił na występ Ireny Santor.

– Oto coś dla mnie – oświadczył. – Recital, przedwojenne szlagiery, bujany fotel i filcowe kapcie w kratę. Oczywiście zielone!

Nawet nie śmiała zaprotestować, zbyt przerażona wizją nakreśloną przez wuja. Kaptcie w kratę, od tego przecież zaczął się upadek dziadka Fortuny, uświadomiła sobie zaraz. Choć wszyscy byli przekonani, że zawiniła zbyt niska emerytura.

– Może chociaż beczułki z rumem – spróbowała po raz ostatni.

Przełknął szybko ślinę, strzelając oczami na boki jak drobny złodziejaszek szykujący się do kradzieży w tramwaju, zaraz jednak oznajmił:

– Po czterdziestce bardzo pogarsza się metabolizm. Już nie mogę bezkarnie podjadać.

– Szkoda – westchnęła.

– Właściwie po co się starać? Niby wyglądam na młodszego o dekadę. – Zerknął na Monique, więc przytaknęła. – Ale pracodawcy i tak mnie już skreślili. Wczoraj dzwoniłem do nowej firmy. Pokazałem projekty, które w Hollywood kupiono by za miliony, a ci na to, że jestem w trudnym wieku. Za stary, żeby mnie zatrudnić na zlecenie jak studenta, a za młody, żeby mieć już świadczenia emerytalne. Ich zaś nie stać na płacenie etatu, bo nie będą konkurencyjni. Wolny rynek!

Więc stąd zły humor, zgadła Monique.

– Mógłbyś postarać się o rentę – podsunęła. – Powiesz, że cierpisz na ataki padaczki, jak Antek od ciotki Haliny, tak mu się ostatnio nasiliły, że ledwie bat może utrzymać.

– Mam iść drogą jakiegoś... wozaka? – zachnął się wuj. – Uważasz, że tak nisko upadłem? Już wolę szyc dla kapryśnych handlarz z Woli Justowskiej.

Monique zacisnęła usta. W jednej z „Ikon” przeczytała, że niektórzy tkwią

w marazmie, choć nowy system daje im tyle możliwości, by rozwinąć skrzydła. Nie chcą cieszyć się życiem, wolą bawić się w grę: „Tak, ale”. „Pracuję w okropnym miejscu” – zaczyna maruda, wręczając do zabawy przypadkową ofiarę. „Zmieniłbym, ale nie znam języka ani obsługi komputera, a dziś to wszędzie wymagane”. „To spróbuj zapisać się na lekcje” – proponuje rozmówca i zaraz słyszy: „Nie mam czasu ani pieniędzy. Nie mam też komputera”. Próbujesz podsunąć inne rozwiązanie, ale maruda nie chce rozwiązań. Chce zostać tu, gdzie jest, mruknęła zirytowana: w kosmicznej czarnej dziurze. Oczywiście w czasopiśmie użyto innego zwrotu, ale Monique jest zbyt znużona gierkami, by silić się na elegancję.

– No trudno. – Westchnąwszy równie ciężko jak wuj, sięgnęła po swoją ulubioną książkę: Jak oni mają się ubierać Jana Kamyczka i Barbary Hoff. – Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Żadnych życzeń!

W środę, w dzień urodzin Augusta, w całym mieszkaniu zapanowała iście grobowa atmosfera. Gdyby Monique miała więcej przekory, zanuciłaby Marsz pogrzebowy. Ale widząc bladą twarz wuja, jego podsinione oczy, odpuściła. W gruncie rzeczy ma rację, przyznała. Nawet Michael Hutchence, który świetnie się trzyma, powtarza, że boi się dożyć czterdziestki. Wuj już ją przekroczył trzy lata temu. I tak dziw, że jeszcze zagląda do studenckich klubów. Ona w tym wieku raczej sobie daruje. Będzie znudzona i zblazowana, obrzydliwie bogata, może nawet sławna, a na pewno zadbana i ciągle atrakcyjna, ale już za stara na wszystko, co fajne: paradowanie w bikini, tańce na stole w Singerze, studenckie imprezy i szalone randki z gwiazdami rocka. Michael też będzie stary, uświadomiła sobie z przykrością. Pięć dych to dopiero kanał! Dlatego muszą się sprężyć, by zaliczyć wszystkie atrakcje, zanim wkroczą w strefę cienia.

Popołudnie przesiedzieli w milczeniu, oglądając Śmiechu warte i głupawe seriale. Koło szóstej Monique wyszła do kuchni obrać ziemniaki do kefiru. Nieśmiało zapytała wuja, czy coś przekąsi. Tylko pokręcił głową, więc wycofała się do kuchni. Skończyła właśnie zmywać, kiedy zaterkotał telefon. Wuj natychmiast chwycił za słuchawkę i zaczął rozmawiać przyciszonym głosem. Monique ostentacyjnie zamknęła drzwi od kuchni, by pokazać, że nie ma najmniejszego zamiaru podsłuchiwać. Nerwowo nucąc melodię z Dynastii, zaparzyła ulubioną herbatę wuja,

wyszperęła jego ulubione krakersy. Kiedy skończył rozmawiać, wniosła imbryk do pokoju. Postawiła przed wujem jego ulubioną filiżankę w szmaragdowe listki bluszczu.

– Kto dzwonił? – Czują, że August czeka na to pytanie.

– Pierre, żeby złożyć mi życzenia urodzinowe. Patrz – westchnął. – On jeden pamiętał.

Wtorek

Za pięć dwunasta zapukała do drzwi Versalu. Zawsze będzie mogła powiedzieć Brzytwie, że była tu przed południem, jak obiecywała.

– Wejść! – rozległ się piskliwy kobiecy głos.

Monique nacisnęła wytartą klamkę i znalazła się w mrocznym pomieszczeniu z okienkiem wychodzącym na wewnętrzne podwórze. Przede wszystkim bądź miła, udzieliła sobie złotej rady. „Czego nie załatwisz po dobroci, tego nie załatwisz wcale” – mawiała jej matka, wydzierając się na ojca z powodu nieskoszonego trawnika.

– Dzień dobry – zaczęła Monique, rozglądając się za czymś, co mogłaby głośno skomplementować i w ten sposób przełamać pierwsze lody.

Nagle zza monitora wyłonił się różowy pudel. Podobną fryzurę Monique widziała po raz ostatni w liceum, u żony woźnego, i już wtedy nie budziła jej zachwyty. Ale dziś, z braku innych atrakcji... tylko co dokładnie pochwalić, żeby brzmiało w miarę wiarygodnie? Odcień płukanki? Siłę skrętu? Nawiązania do kultury afro? Zanim Monique podjęła decyzję, właścicielka pudła odezwała się pierwsza.

– Słucham! – szczeęknęła. – Pani z jaką sprawą?

– Jestem bliską krewną Augusta Nocnego. Przyjechałam właśnie z Paryża i chciałabym porozmawiać z zarządcą.

– To ja – pochwaliła się kobieta, a następnie, by dodać sobie powagi, zacisnęła usta w kurzy kuper.

– Bardzo się cieszę – skłamała Monique. – Bo jak dzwoniłam wczoraj, to pan,

który odebrał...

– Wojtek nie jest zorientowany, ażeby udzielać informacji przez telefon.

Więc po co go w ogóle odbiera? Wuj nazwałby to uprawianiem sztuki dla sztuki.

– Na szczęście pani się orientuje. – Posłała tamtej przymilny uśmiech.

– Zależy.

– Chciałabym się dowiedzieć, o co chodzi z tym mieszkaniem. Siedemnastka – przypomniała na wszelki wypadek.

Administratorka zaczęła wertować jakieś papiery.

– Która to kamienica? Mamy pod sobą tyle posesji, że można się pogubić – westchnęła.

Monique podała adres i cierpliwie czekała, aż właścicielka pudła sprawdzi coś w dokumentach.

– No tak, siedemnastka. – Tamta znalazła wreszcie właściwą rubryczkę. – Tu pisze, że na dzień dzisiejszy lokal został objęty w posiadanie przez pełnoprawnych właścicieli.

– Jak rozumiem, pan Nocny przekazał... – Monique nie zdążyła dodać „klucze”, bo administratorka weszła jej w słowo.

– Nie mógł przekazać jako lokator. Rodzinie nic się nie należy – podkreśliła. – Ale jak pani szuka czegoś pod wynajem, to ewentualnie mogę się rozejrzeć.

Zrobiła znaczącą przerwę.

– Dziękuję. Chciałabym najpierw porozmawiać z nowymi właścicielami.

– A proszę panią bardzo. Pan Pałka przebywa na obiekcie.

– Toluś? – Monique niemal krzyknęła. – Myślałam, że jest lokatorem.

– Tu mam napisane, że dysponuje udziałem. Zostało zadecydowane przy obecności kuratora, że może wejść na mieszkanie po śmierci najemcy.

Zadecydowane, powtórzyła mechanicznie Monique. Zadecydowane po śmierci. Po czyjej śmierci?

– Jak to możliwe? – wyszeptała wreszcie.

– Procedury. Lokal nie może stać wiecznie pusty. Skoro poprzedni lokator nie żyje. – Administratorka obrzuciła ją obrażonym spojrzeniem. – Dziwne, że pani jako

rodzinie nic nie wiadomo.

– Byłam... przebywałam za granicą – plątała się Monique. – Kiedy to się stało? I na co wuj...

– Nie jestem lekarzem, ażeby znać przyczyny. Wiem tylko – znowu zajrzała do dokumentów – że mieszkanie zwolniło się w miesiącu lutym. W połowie – dorzuciła łagodniejszym tonem.

– Co z kotem? – wyrwało się Monique.

– Do obowiązków zarządcy nie przynależy interesowanie się inwentarzem domowym. Coś jeszcze?

Monique pokręciła głową, podziękowała za wiadomość i wyszła z sutereny. Maszerowała wzdłuż Wisły, nie zważając na siekący deszcz ani wiatr. Zwolniła dopiero na moście Legionów. To tu, przypomniała sobie nagle, August łapał zachody słońca.

Tamtej mroźnej zimy zastała go opartego o balustradę, gdy celował obiektywem w tarczę unoszącą się niczym balon nad rzeczką Wilgą. Już, już prawie mu się udało, kiedy ogromne chmurzysko zasłoniło połowę nieba. „Może byś wpadł do nas na święta?” – spytała Monique z nonszalancją godną hrabiny. „Twoi rodzice nie muszą się odwdzięczać” – odburknął. „To nie tak – wypaliła urażona. – To ja chciałam, żebyś przyjechał do Bukowiny. No bo... głupio siedzieć w Wigilię samemu”. „Kwestia wprawy” – odparł. Powoli odkręcił obiektyw, owinął w irchową szmatkę i delikatnie umieścił w torbie fotograficznej. Wreszcie zerknął na Monique. „Słońce zachodzi dokładnie tam – wskazał dłonią kamienny mostek nad rzeczką – tylko do Szczepana. Potem przesuwają się w prawo i już nie ma tego efektu, jakby Wilgą spływało czyste złoto. Dziesięć lat tak stoję i teraz nie mogę odpuścić. Rozumiesz?” Tylko się uśmiechnęła, nie wnikając, czemu dotąd mu się nie udało. Smog, przekleństwo tego miasta, odparłby zirytowany, że znowu musi jej tłumaczyć tak oczywiste sprawy. Nie było sensu pytać, dlaczego August wciąż próbuje. Dlaczego każdego roku w święta stoi na moście, czekając na przebłysk słońca. Każdy ma taką tradycję, na jaką sobie zasłużył.

Nazajutrz Monique pojechała pokaesem do rodziców. August chciał ją

odprowadzić na dworzec, ale odburknęła hardo, że trafi sama. Pokiwał głową i wrócił na swój ulubiony fotel. „Wesołych” – szepnęła, wymykając się z mieszkania. To były pierwsze rodzinne święta, podczas których czuła się nieswojo. Drażniło ją mlaskanie ojca, fałszywe ciotki Haliny i lepkie żarciki Antka. A jednak zwlekała z wyjazdem aż do ostatniego dnia roku. Pojawiła się u wuja w południe. Zastała go w tym samym zielonym fotelu, z kieliszkiem porto w dłoni. „Nie żałuj” – rzuciła. Czego, nie musiał pytać.

Noc sylwestrową spędzili w Teatrze Bückleina. Potem, już w Paryżu, Monique obiecywała przez telefon, że będą razem witać nowy, lepszy rok. Wróci, na pewno. Nie podała tylko, w którym wieku. Teraz już na wszystko za późno. Bücklein zamknięty. Koniec.

– Monique?!

Hanna, zgadła natychmiast. Jedynie szwagierka Renaty rzuca się na znajomych, jakby witała zwycięzcę Formuły 1. Brakuje tylko szampana, wuwuzeli i confetti, mruknęła do siebie Monique, rozciągając usta w sztucznym uśmiechu.

– Jak miło – bąknęła, pozwalając się wyczałować.

– To chyba telepatia! – entuzjasmowała się Hanna. – Od wczoraj biegam po butikach i ciągle o tobie myślę! Zadaję sobie te same pytania. „Czy Monique pochwaliby taki zestaw? Czy to dobry odcień jej zdaniem? Jakie doradziłyby mi dodatki? I jaki makijaż?” Wracam właśnie z Galerii Kazimierz, patrzę i kogo widzę? Ściągnęłam cię myślami.

Wszystko jasne. Monique znalazła się przy moście tylko po to, by służyć jednej z klientek fachową radą, życzliwym okiem i ciepłym uśmiechem.

– Zobacz, co kupiłam! – Hanna wyłuskała z dna torby kremową tunikę przecieraną tu i ówdzie na stare złoto.

Taki sam odcień jak na butach Brzytwy, oceniła Monique, i w zasadzie na tym koniec podobieństw. Za jeden rękaw tuniki można by kupić cały jej outfit wraz z kolczykami oraz torbą karmy dla gołębi.

– Myślisz, że będzie pasować? No, będzie czy nie będzie?

Do czego, powinna zapytać Hannę, ale nagle do niej dotarło, że guzik ją to

obchodzi. Guzik z pętelką!

– Będzie – odparła zdawkowo.

– Ale co lepsze na Paschę? – drążyła Hanna. – Narzucić na zamszową spódnicę z frędzlami czy raczej wybrać karmelowe dzwony boho? A może złociste legginsy... pamiętasz, te od Versacego?

Jakby Monique miała obowiązek pamiętać każdą szmatkę w jej przepastnej garderobie. Niestety pamięta, choć wcale tego nie chce.

– Załóż spodnie – odparła profesjonalnym tonem. – Zbyt wiele złota pasuje tylko choinkom.

Albo Brzytwie, jej nic nie poprawi notowań. Takie twarze doceniają wyłącznie wizjonerzy mody, reszta społeczeństwa raczej ich nie lubi. Bywa, że ktoś przesądny splunie. Ale Hanna ze swoją buzią księżniczki nie ma takich problemów. Na jej widok ludzie się rozpromieniają, zwłaszcza w galeriach.

– A powiedz mi, w jakim kolorze widziałabyś mnie na wiosnę. Żółty jest taki przereklamowany – westchnęła Hanna.

Czy Monique powinna teraz napomknąć, że straciła wuja? Żeby usłyszeć krzepiący cytat z Coelho?

– Pistacjowy – orzekła, mrużąc oczy. – Pięknie podkreśli odcień twoich włosów.

To już wszystko? Czy sługa może się oddalić?

– A powiedzmy, taki zielony groszek albo jadeit? Też dobrze? – upewniła się Hanna i ucieszona dodała: – Jesteś wspaniała. Zawsze powtarzam to Renacie.

– Bez przesady – zaproponowała Monique. – Muszę już iść, bo mam ważne...

– Ja tak samo! – Hanna weszła jej w słowo. – Mążonek czeka na Rynku, wygłodniały, a my tu sobie urządzamy pogaduchy. – Nerwowo zachichotała. – Podsumowując: z kolorów najlepszy zielony groszek, a do tuniki dzwony boho?

– I nie szalej z biżuterią. Zegarek wystarczy.

– Cudownie było cię spotkać! – zapiszczała na pożegnanie Hanna. – Odezwę się po długim weekendzie!

Wcisnęła Monique jakiś zwitek i uradowana pobiegła przed siebie, podskakując niczym gimnazjalistka. Dopiero kiedy znikła na placu Wolnica, Monique sięgnęła

do kieszeni. Wiedziała, co tam znajdzie. Pięć dyszek, najszybciej zarobione pieniądze.

– I najgorszy rodzaj dziadostwa. Pozwolić, by inni traktowali cię jak dziada.

Powinna pobiec za Hanną i rzucić jej banknotem w twarz. Powinna, ale nie mogła ruszyć się z miejsca. Więc stała jak wryta, czując, jak wzbiera w niej złość, na wszystko, nawet na zły biomet. Musi pozbyć się balastu, inaczej zaraz eksploduje! Skostniałą dłonią wyjęła z kieszeni telefon, przetarła szalem wilgotny ekran, próbując się połączyć. Niestety. „Pieprzony postęp” – syknęła, ogrzewając kciuk w ustach. Spróbowała znowu, ciągle nic. Zirytowana wytarła do sucha koniuszek języka i dotknęła ekranu. Cisza. „Jeszcze chwila i wrzucę cię do wody” – posłała komórce ostrzeżenie. Człowiek może umrzeć na zawał, zanim się do kogoś dodzwoni!

– Monika? – usłyszała nagle śpiewny głos ciotki Haliny. – Ty do mnie czy ojciec znowu nie odbiera?

– Do ciebie.

– Serial zaraz mam – ostrzegła ciotka. – Po reklamach. *Szalona miłość*, ostatnie pięć minut, najważniejsze.

Nie ma co owijać w bawełnę, uznała Monique. Szkoda czasu ich obu.

– Wiedziałaś o wuju? – rzuciła, odchrząknąwszy. – Że umarł?

Ciotka sapnęła, jakby ktoś jej przypomniał o wstydlwym incydencie z podstawówki.

– No umarł, sercowy był, to i co się dziwić.

– Kto ci powiedział?

– A bo to ważne? Wieści zawsze się rozchodzą, im gorsze, tym szybciej.

Więc ciotce też szkoda wuja, też za nim tęskni. Myśl ta sprawiła Monique pewną ulgę.

– Siekierkowa, z naprzeciwka – podjęła ciotka – tarabaniła już na drugi dzień. Od razu cap za słuchawkę i rzuca z taką jakąś satysfakcją: „Halina, ty się napij wódki, bo Gutek umarł. Jak stał, umarł, w progu waszego mieszkania”.

– Byłaś na pogrzebie?

– Niby czego tam miałam szukać? Tych lat, co mi Gutek zmarnował? Siedem, a co jeden to gorszy. Zresztą mogłam się domyślić już na weselu. Bimbru nie chciał się napić jak normalne chłopy. Kpił z wodzireja, krzywym okiem patrzył na suknie drухen. Mamusia od razu mówiła: kiepsko ci, córuś, będzie, bo z takim ani do tańca, ani do rózańca, ani w gości. Podróży poślubnej to i nawet żal wspominać. Tylko muzea i ruiny, ruiny i muzea. Piniędzy na to poszło, że hej! Wiesz, ile by za to można kupić cudeniek? Kozuch turecki, cepeliowski kilim na ścianę, porządny serwis ze złotym szlaczkiem, długo by wymieniać, ale po co. – Ciotka westchnęła ciężko. – Kiedyśmy zjechali do chałupy, dopiero się zaczęły hocki-klocki.

Monique przestała słuchać. Towarzystwo w gorzkich żalach po człowieku, który dopiero co odszedł... pokręciła głową, wpatrzona w mostek nad Wilgą.

– Siedem gorzkich lat – dobiegł ją zbolący głos ciotki – a ten na koniec wziął i złożył papiery w sądzie. „Nie będziesz się ze mną męczyć” – mówi po powrocie. Taki troskliwy!

Nic człowieka nie złości bardziej niż gówniany związek, który ktoś za niego kończy, pomyślała Monique, niechętnie wracając pamięcią do ostatniego lata w Paryżu.

1999

Upały zaczęły się w czerwcu, wyganiając znajomych Monique za miasto. Pakując w pośpiechu torby vuittonki, zapomnieli ją zaprosić do siebie. Może uważają, że dysponuje własną miejscówką w Deauville, usprawiedliwiła ich natychmiast. Przecież przed odjazdem ktoś nawet rzucił: „Widzimy się na miejscu”. Tym bardziej nie wypada się wpraszać, uznała, szukając zacienionego ogródka. Musi poradzić sobie sama z nadmiarem wolnego czasu i niewyobrażalnym wręcz skwarem. Na początek zamówi mrożoną kawę z lodami, potem zaś poszuka... w chwili tak głębokiej zadumy dostrzegł ją Jean-Luc, czterdziestoletni biznesmen z Tuluzy. Wpadł do stolicy oficjalnie w interesach, a prywatnie – odpocząć od rodzinnego szczęścia. Powiadają, że drugie małżeństwo cieszy bardziej niż pierwsze, ale nikt nie wspomina, ileż to kosztuje zachodu. Pozyskaną energią można by oświetlić małe

alpejskie miasteczko. Nic dziwnego, że Jean-Luc odwiedzał Paryż co pół roku, by w przytulnym apartamenciku nieopodal Pól Elizejskich podładować wyczerpane baterijki. Nie szukał towarzystwa, wręcz przeciwnie: stojąc przed lustrem, zarzekał się, że tym razem żadnych kobiet. Tylko on i butelka zacnego armaniaku. Odsapnie, zasili co trzeba i może znowu odkryje sens życia, zagubiony wśród dziecięcych zabawek. Niestety tuż przed przełomowym momentem jego uwagę rozpraszały detale. Czyjeś blond włosy, wyjątkowo zgrabne nogi lub wielce obiecujący uśmiech. Jean-Luc natychmiast zapominał o złożonych przysięgach i zdawał się na instynkt. Trzeba przyznać – niezawodny; biznesmen nigdy nie dostał kosza. Także i tym razem miał fart. Monique wprawdzie wolałaby kogoś mniej owłosionego, kto dorównywałby jej wzrostem, ale z braku ofert zgodziła się na wspólny wieczór z tuluskim trollem. Po trzeciej nudnawej kolacji wyładowali w jego apartamenciku. Obyło się bez fajerwerków. Przynajmniej klimatyzacja działa bez zarzutu, a wino jest porządnie schłodzone, pocieszała się Monique. No i będzie mieć wytłumaczenie, dlaczego nie pojawiła się w Deauville. Gorący (dzięki aurze) romans z nieznanym z Tuluzy... brzmi nieźle, szepnęła, starając się omijać wzrokiem plecy Jean-Luca, pokryte gęstą skręconą sierścią. Istny dywan, ale tamtego lata Monique czuła się zbyt osamotniona, by grymasić... Tylko do jesieni, ani chwili dłużej, obiecała sobie i natychmiast sięgnęła po kieliszek.

Jean-Luc okazał się szybszy, w sierpniu wyjechał, oddając do dyspozycji Monique klucze oraz świetnie zaopatrzone barek. Całując ją na pożegnanie, napomknął, by uważała na cudo zdobiące jego salonik. Przytaknęła, nie zwracając sobie głowy pytaniami, o który gadżet chodzi. W mieszkaniu było ich tak wiele, a każdy tak niezwykle cenny, jeśli wierzyć przechwałkom właściciela, że Monique nie ruszała niczego poza alkoholem. Nawet Jean-Luca dotykała ostrożnie niczym cacko z porcelany, choć z innego zgoła powodu.

Wpadł miesiąc później, nachmurzony niczym niebo nad Paryżem. Po suto zakropionej kolacji odzyskał humor, nawet werwę. Szykuje się powtórka z lata, pomyślała Monique, tłumiąc ziewnięcie. Tylko do pierwszych mrozów, potem wraca do siebie definitywnie, orzekła, patrząc, jak Jean-Luc klęka na dywanie. Przez minutę przeczesywał go palcami, pieszczotliwie, jak jej się zdawało. „Co to jest?” –

zapytał nagle, wskazując niewielką plamkę lekko odcinającą się na morelowym tle. „Prosiłem, żebyś uważała – wycodził zdenerwowany. – Ten dywan kosztował dwanaście tysięcy franków”. Miała ochotę zażartować, że podobny kupiłby na Podhalu za ułamek tej ceny, ale Jean-Luc nie dał jej dojść do słowa. Coraz bardziej podnosząc głos, oznajmił Monique, że nie mogą być dłużej razem. „Kto lekceważy ten dywan, lekceważy mnie samego” – oznajmił, a tego się nie wybacza nawet własnej żonie. Można znieść brak miłości, brak smaku, nawet brak ochoty, ale nie brak szacunku. „W tej sytuacji najlepszym wyjściem jest...” – Owłosioną dłonią wskazał Monique przedpokój. Bez słowa sięgnęła po torbę, zbyt oburzona posądzeniem o brak smaku, by się tłumaczyć. W milczeniu zebrała to, co leżało pod ręką, zapominając o markowych kosmetykach w łazience. Wsunęła trampki na gołe stopy, nawet nie wiążąc sznurówek, i z wysoko uniesioną głową opuściła mieszkanie, zamykając drzwi jak zwykle. Trzaskanie nie miało żadnego sensu. Bo i co w ten sposób mogłaby przekazać trollowi?

Dopiero po przebiegnięciu dwóch przecznic Monique uświadomiła sobie, że niczego nie rozlała na dywan. Stała zdyszana, zastanawiając się, czy nie wrócić do apartamentu i nie wykrzyczeć byłemu już kochankowi prawdy. A jeśli jej nie otworzy... „Nigdy nie tłumacz, że nie jesteś wielbłądem – niemal usłyszała głos Augusta. – Bo wyjdiesz na lamę”.

*

Minęło kilka miesięcy, zanim opowiedziała wujowi o dywanie Jean-Luca, oczywiście darując im obojgu żenujących szczegółów. August wysłuchał bez słowa, wreszcie oznajmił z wyższością: „Dywany! – I zaraz dodał: – Tu, w kraju, też nie masz czego szukać. Trwa wielkie pranie mózgów”. Nie zapytała, co ma na myśli, a dziś za późno. Już o niczym się nie dowie.

– Koniec, koniec, koniec – powtarzała niczym automat, maszerując w marznącym deszczu. Zatrzymała się dopiero na Tureckiej, przed bramą pokrytą kilkoma warstwami farby olejnej. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że ścisła w dłoni włączzonego e-papierosa.

– Zapomniałaś numeru?

Zadarła głowę i dostrzegła w oknie imponujący kok Brzytwy. Pewnie tamta znowu karmi gołębice.

– Myślałam, czy cię nie uprzedzić, zanim wejdziesz.

– Nie wygłupiaj się, tylko wskakuj.

„Wskakuj” – tak ją kiedyś witali znajomi z Paryża. W Bukowinie Monique musi się zapowiadać; szkolne koleżanki nie chcą być przyłapane w spranym szlafroku przez kogoś, kto się ociera o gwiazdy TVN-u. Co prawda ostatnio Monique nie ma ku temu okazji, ale do koleżanek jeszcze to nie dotarło. Dlatego chcą mieć czas, by wszystko dopiąć na ostatni guzik. Niektóre próbują nawet diety cud, która na ogół kończy się założeniem wyszczuplających majtek. Wreszcie gotowe, z efektownym hełmem prosto od fryzjera czekają na Monique w reprezentacyjnym pokoju. Gdyby wpadła bez uprzedzenia, nikt by jej nie otworzył.

To samo w Warszawie, choć z całkiem innych powodów. Jej znajome są tak umęczone prozą życia, że wieczorem pragną tylko zalec w pieleszach i uprawiać switching lub kręcić w głowie własne filmy na temat byłych. Sama Monique też ma dość kontaktów, więc nawet dzwoni coraz rzadziej, także do wuja. A teraz już po wszystkim. Już nigdy nie usłyszy jego zirytowanego głosu: „Przeszkadzasz? Jestem równie zajęty jak port lotniczy w Radomiu”.

– Byłaś w administracji? – dopytywała Brzytwa, stojąc w progu.

– Zadzwoiłam nawet do ciotki Haliny. Jak było do przewidzenia, dostała nakrętki, a na koniec strzeliła focha, że jej nie odwiedzam.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, uświadomiła sobie zaraz. Powoli zdjęła buty, nie zważając na protesty Brzytwy, i w samych skarpetkach podreptała do kuchni.

– Pretensje! – podjęła rozdrażnionym tonem. – Ale spróbuj tam wpaść bez zapowiedzi. Okazuje się, że zawsze jesteś nie w porę.

Ciotka uśmiecha się przepraszająco, wycierając dłonie w stylonowy fartuch, wreszcie biegnie zaparzyć zwietrzałego liptona, wyklada na talerzyk resztki herbatników z dyskontu i namawia do konsumpcji. Monique sięga po najbardziej

ukruszone ciasteczko, nadgryza...

– Wtedy do pokoju zagląda Antek w tym swoim przepoconym serdaku i bawiąc się bacikiem, pyta, czy zostanie coś dla niego.

– To uczucie – podchwyciła Brzytwa – kiedy w gościach kosztujesz nalewki, a pan domu sprawdza, ile zostało w butelce. Potem zerka na twój kieliszek i robi taki grymas, że masz ochotę zwrócić mu wszystko z procentami. No dobra. – Uderzyła dłońmi o szczupłe uda. – Pochwal się newsem.

– Wuj umarł, na serce.

Tylko proszę, proszę, nie dopytuj, jak się czuję, zaklinała w myślach Brzytwę.

– Kiedy umarł?

– Ponad miesiąc temu, jeszcze w lutym. Podobno upadł w progu mieszkania, tak mi przekazała jego była żona. Miałaś rację z tą dumą. Ciotka nie wybaczyła Augustowi nawet tego, że umarł.

„Ja mu tam źle nie życzę, bo to grzech – wycedziła pod koniec rozmowy Halina – ale dla takich... przyszykowano właściwe miejsce w kotle z wrzącą siarką”.

– Co ci powiedzieli w Versalu?

Monique wzruszyła ramionami.

– No, że umarł. Że jego mieszkanie dostał pełnoprawny właściciel. To znaczy „objął w posiadanie przy obecności kuratora” – zacytowała. – Dziwna konstrukcja podobnie jak fryzura zarządczyni. Różowy pudel.

Na cholerę opowiada Brzytwie o takich pierdołach! Czy odcień płukanki ma jakiegokolwiek znaczenie? Po tym, co stało się Augustowi? A jednak, czuła, że ten róż, ten odpustowy róż na włosach baby z Versalu będzie jej się zawsze kojarzył ze śmiercią wuja. Za każdym razem, kiedy Monique dostrzeże w tłumie amarantowe loki, coś ściśnie ją za gardło.

– Czyli pozamiatane – odezwała się Brzytwa cicho.

– Nawet nie zdążyłam się pożegnać.

Jeszcze do niej nie dociera, że wuj nie żyje. Nie uciekł za miasto na weekend, nie zszedł na chwilę do piwnicy, nie wybrał się na objazdówkę po Burgundii. Odszedł na zawsze i już nie wróci.

– Jak tu pusto – rzuciła, wpatrzona w zielonkawe ściany.

Ich odcień skojarzył jej się z czymś przykrym, co widziała lata temu. Ach, twarz wuja, wtedy, w ogródku... wzięła sinawą bladość za objaw kaca. A to serce.

– Co z kotem?

– Administratorka powiedziała, że nie ma obowiązku się interesować czy jakoś tak. – Monique przygryzła kciuk. – Jak to robisz, że prawie nie masz rzeczy?

Ona obrosła w tyle niepotrzebnych przedmiotów. Powinna połowę wyrzucić, ale co w zamian?

Brzytwa rzuciła jej uważne spojrzenie.

– Pytałaś o jego meble, rzeczy osobiste?

– To już chyba bez znaczenia. Przecież August nie miał żadnych spadkobierców. Żył sam.

Bez dzieci, bez przyjaciół, nie licząc jednego z Francji. Przedziwna to była relacja, przypomniała sobie Monique. August, obrażony na Pierre'a, nigdy do niego nie dzwonił. Telefon odbierał tylko dlatego, że nie miał funkcji wyświetlania numeru. Jeśli Monique podniosła słuchawkę, kazał informować, że go nie ma. Dopiero przed samym jej wyjazdem do Paryża znowu podali sobie ręce na zgodę. Czy Pierre już wie o śmierci wuja? Złe wieści szybko się roznoszą, ale nie zawsze docierają tam gdzie trzeba.

– Sekcji pewnie nie zrobiono?

„Na chuj drążyć temat” – tak odburknęłyby połowa jej warszawskich znajomych, ale Monique nigdy nie nabrała wprawy w rzucaniu mięsem. Owszem, w przedszkolu kręciły ją brzydkie wyrazy, zwłaszcza w wykonaniu ubóstwianego wtedy dziadka. Ale szybko wyrosła z obu fascynacji (po odkryciu dokonanym w kurniku) i przed Pierwszą Komunią postawiła na szeroko rozumianą estetykę. Dziś klnie na głos jedynie w stanie najwyższego wzburzenia, na co dzień używa francuskiego *merde*. Może bije po nosie tak samo jak swojskie „gówno”, ale dla ucha brzmi znacznie przyjemniej.

– Słuchaj – orzekła stanowczym jak na siebie głosem. – August zmarł na serce. Mieszkanie legalnie przejął właściciel, a rzeczy, cóż... nawet jeśli przepadły, nie

było ich znowu tak wiele. Przynajmniej jeśli wierzyć ciotce.

„Wiedziałam, że źle skończy – rzuciła nagle Halina, zapominając o tym, że właśnie ucieka jej ostatnie pięć minut serialu. – Jak tylko August odesłał mi poleconym obrączkę, od razu sobie pomyślałam: nie umie uszanować niczego, kiedyś dostanie za swoje. Nędza z bidą i mizериą. Będzie wyprzedawać książka po książce, widelec po widelcu. Wreszcie skończy samotnie jak ten burek. Nikt nie poda mu wody. No i patrz, wszystko się spełniło”.

– Wyprzedawał rzeczy – powtórzyła Monique. – Dlaczego?

Nie wiesz? Naprawdę się nie domyślasz?

– Kiedy z nim rozmawiałam – podjęła znowu, mechanicznie obracając w palcach e-papierosa – w Trzech Króli, gadaliśmy jak zawsze o głupotach, tylko nie o tym, że ma jakieś problemy. Ani jednym słowem.

Trzymał fason, akurat ty powinnaś to rozumieć.

– Baba z Versalu wspomniała ci może, kto jest kuratorem?

– Nie była zbyt rozmowna, może dlatego, że ledwo składa zdania. I w ogóle jakaś taka niekumata. Musiała sprawdzić w papierach, co z tym mieszkaniem po wuju. Wiesz, ciągle do mnie nie dociera, że go tam nie ma.

Brzytwa tylko się uśmiechnęła. Jakby wiedziała, przyszło do głowy Monique.

– Wiedziałaś, że umarł?

Brzytwa nie odparła od razu. Sięgnęła do szafki wiszącej nad zlewem i wyjęła pełną butelkę.

– Prezent od ostatniego klienta. Najwyższy czas ją otworzyć.

„Courvoisier” – przeczytała Monique i aż zapiekło ją w gardle.

1993

Nareszcie impreza, cieszyła się Monique, patrząc, jak wuj krząta się po salonie. Odkurzył już dywan, pochował w szufladach kruche figurki Kuzniecowa, wytarty stolik litościwie zakrył serwetą w zielonkawie motyle, do miseczek nasypał peweksowskich fistaszków. Otworzył nawet puszki oliwek i karczochów trzymanyh

na specjalne okazje.

– Ktoś nas odwiedzi? – nie wytrzymała, sięgając po orzeszek.

Bez słowa wyjął z przepastnej biblioteki tomiszcze poświęcone preraphaelitom. Ułożył je na stoliku pod secesyjną lampką z barwionego na szmaragdowo szkła. Wreszcie wskazał Monique nazwisko autora wydrukowane złotymi kapitalikami. Profesor... a ona myślała, że wreszcie będzie się tu działo. Tańce, swawole, hulanki, może nawet zakazany absynt, po którym miewa się przedziwne jazdy. Wuj dostrzegł jej rozczarowanie i uniósłszy wysoko brwi, z godnością oznajmił:

– To bardzo ważna persona. Dlatego, Bonobo, nie możesz dać plamy.

– Mogę w ogóle nie wychodzić. Posiedzę w zielonym pokoju – mruknęła cicho, już żałując tych pyszności, które ją ominą. Zwłaszcza karczochów. – Zostanę, poczytam sobie i nie będę ci przeszkadzać w rozmowie z bardzo ważną personą.

Wuj milczał zajęty przetrząsaniem barku. Wreszcie namierzył właściwą butelkę.

– Courvoisier! – rzucił tonem marszanda, który z dumą prezentuje światu odnalezioną właśnie dzieło Rubensa.

Nagle dostrzegł, ile zostało na dnie. Posłał Monique takie spojrzenie, że omal nie zakrztusiła się orzeszkiem.

– Ale to nie ja! – wydusiła. – Bo... no bo kiedy powiedziałeś, że mocne alkohole są do bani...

– Ciszej! Właśnie myślę. Profesor obiecał zajrzeć o dziewiątej. – Wuj zerknął na swojego wysłużonego wostoka. – Jest prawie ósma. Doliczając kwadrans akademicki... mamy godzinę z górką. Do kuchni! – rozkazał.

Zerwała się z fotela, w jednej chwili.

– To, co tu zobaczysz... – Przetrzęsał szafkę z przyprawami. – Nikomu ani słowa! Tajne łamane przez poufne, rozumiesz?

Skinęła głową tak energicznie, że loki zakryły jej pół twarzy.

– Sprawa jest delikatna – powiedział głosem zniżonym niemal do szeptu. – Można śmiało rzec: gardłowa. Musisz naprawdę się postarać, inaczej leżymy. Oboje!

Monique poczuła się tak, jakby sam król pasował ją na rycerza i zaraz miał wysłać na niebezpieczną misję. Więc jednak coś się będzie działo!

– Dobra, mamy już zaprawę do koniaku – wyliczał – w lodówce dwie różne wódki. Nieco rumu do herbaty. Wreszcie podstawa, czyli starka. Tylko gdzie ja ją mogłem...

– Dziadek ukrywał bimber między brudnymi skarpetami, a tata przelewał spiryt do słoja po...

– Oszczędź mi tych rewelacji. Jesteśmy w cywilizowanym domu – przypomniał wuj. – Alkohole trzyma się wyłącznie... bieliźniarka!

– Ja przyniosę. Od razu wezmę tego kurwazjera.

Wuj wzniósł oczy ku niebu. Nie zdążył nawet krzyknąć, żeby była ostrożna. Wróciła zdyszana, dumnie dzierżąc w dłoniach obie butelki. Z namaszczeniem przelał resztkę wyborowego koniaku, napełniając do trzech czwartych kieliszek, i podał Monique do skosztowania.

– Nie musi ci smakować – burknął, patrząc, jak się krzywi. – Ważne, żebyś dokładnie odtworzyła bukiet.

– Ty nie możesz?

Sapnął zirytowany i wcisnął jej w dłonie blender. Zrozumiała: wuj nie udźwignąłby porażki. Dlatego wybrał Monique, by mieć na kogo zrzucić całą winę. W razie czego... Klapy nie będzie, postanowiła, energicznie mieszając starkę z wódką. Dolała zaprawy, skosztowała i aż nią wstrząsnęło. Gorsze od dziadkowego bimbru, oceniła, ale jeśli doda się parę kropli rumu... ciepło, coraz cieplej.

– Nadal czegoś brakuje – przyznała, smakując kolejną wersję.

Aromatycznej nutki, którą czuła niedawno w łazience. Co to było... wanilia? Fougere... białe piżmo... francuskie perfumy! Te, których wuj używa od wielkiego dzwonu. Stoją na toaletce, przypomniała sobie i wybiegła do sypialni Augusta. Kiedy wróciła, na jej widok wuj zbladł niczym ściana.

– Nie masz szacunku dla żadnych świętości – wyszeptał.

– Parę kropli – zapewniła. – Wisienka na torcie, bez której zabraknie...

– Nie chcę na to patrzeć. – Osunął się na fotel i przymknął podkrążone oczy.

Monique wróciła do pracy, bez przerwy sprawdzając, czy zmierza we właściwym kierunku.

– Chyba mamy – oznajmiła podekscytowana. Zegar u sąsiada właśnie wybijał dziewiątą. – Sprawdź, porównaj, nie musisz dziękować.

Wuj ostrożnie skosztował po łyżeczce.

– Niby identyczne... – zawahał się, czy warto bardziej się odsłaniać. – Jak wiesz, świetnie znam się na winach, ale...

– Myślałam, że na wszystkim – udała zdziwienie, z nonszalancją sięgając po kieliszek oryginału.

Opróżniła go jednym łykiem, bo i nie było czego zostawiać. Nagle zrobiło jej się dziwnie... stan nieważkości, jakiego nie czuła od ósmej klasy, gdy dziadek oswajał ją z samogonem. Trzymając się za głowę, wylądowała na sofie. Wuj August ucinał tu sobie drzemki po nocy zarwanej z powodu halnego. Mawiał wtedy, że idzie rozłożyć amerykankę. Nie było w tym krzty frywolności, a ostrzeżenie, że Monique ma od teraz chodzić na palcach, inaczej coś mu się stanie. Co dokładnie, nigdy nie wyjawiono, dlatego na wszelki wypadek Monique chowała się w dawnej pracowni (której wspaniałomyślnie jej użyczył na czas pobytu) i przeglądała albumy z angielskim malarstwem. Tak poznała sztukę Thomasa Gainsborougha, Williama Turnera, a przy okazji znalazła niepozorną książeczkę Jak oni mają się ubierać, przez którą coraz częściej myśli, czy nie zmienić kierunku studiów. Studiów, których nawet nie zaczęła. Niby łatwiej zrobić to teraz, niż przerywać w połowie, a jednak na myśl, że mogłaby porzucić architekturę, którą wymarzyli sobie jej rodzice... z wrażenia Monique zaczęła chichotać.

– Czy ty się aby nie upiłaś? – dobiegł ją zdenerwowany głos, jakby zza ściany. – Rany boskie! Monika! Zaraz będzie tu profesor!

– Mam nadzieję, że myje ręce – wykrztusiła i odleciała.

Nazajutrz ocknęła się z głową tak ciężką, jakby nalano jej do uszu ołowiu. Półprzytomna dowlokła się do łazienki, by spłacić bogom daninę za zabawę, której nie było. A inni piją bezkarnie, taka to sprawiedliwość, westchnęła.

– Pierwszy pokłon sedesowi! Należałoby to uczcić – oznajmił wuj stanowczo zbyt głośno, wręczając jej kryształową szklanicę niczym zwycięski puchar. Znowu alkohol? Monique natychmiast pochyliła się nad muszlą.

– *Nigdy więcej – wycharczała, otarłszy załzawione oczy.*

– *Najczęściej łamana obietnica.*

Monique uznała, że musi zmienić temat, inaczej znowu się pokłoni. Nie zdążyła; bogowie wzięli, co nie swoje, jak zwykle nie rzucając nic w zamian. Chętnie pochlipałaby z tego powodu, ale świadomość, że jej upadkowi przygląda się książę dobrego smaku, można rzec, współczesny Petroniusz i zarazem żandarm, że widzi ją w tak upokarzającym momencie, podaje swoją chusteczkę z inicjałami... gorszy jest tylko ból głowy. I przez kogo tak cierpi? Przez snoba, który ceni wyłącznie metki?

– *No i co? Przyszedł? – bąknęła, odgarniając loki przyklepione do mokrego czoła.*

Wuj skinął głową i zaczął pogwizdywać. Nerwowo czy raczej z satysfakcją? Trudno zgadnąć.

– *Poznał się? – odważyła się wreszcie zapytać.*

– *Można tak powiedzieć. – Lekko się uśmiechnął i uniósł prawą brew. – Stwierdził, że tego smaku nigdy się nie zapomina.*

– *To znaczy...*

– *Zdałaś egzamin, małpko! Na piątkę z plusem!*

*

– *Dlaczego mi nie powiedziałaś? – wykrztusiła Monique.*

– *Bo nie umiem – odparła Brzytwa. – Już nie potrafię przekazywać złych wieści. Może wyczerpałam limit przez ostatnie lata.*

– *Więc teraz wyręczasz się innymi. Całkiem wygodne.*

Podstawiła Brzytwie pod nos pusty kieliszek. Nie dlatego, że koniak jej posmakował. W porównaniu z domową nalewką Aleksa wydał się banalny niczym perfumy z Sephory. Ale w obecnym nastroju Monique nie pogardziłaby nawet wodą brzożową.

Brzytwa napełniła szkło, jak zwykle lejąc trochę po stole.

– *Chciałam z tobą iść do Versalu – przypomniała.*

– *Ale odmówiłam. Musiało ci ulżyć, co? Jeszcze jeden beztroski wieczór bez złych wieści.*

– Dla kogo beztroski?

Monique zamrugwała. Zupełnie jak matka złapana za słówko, przyszło jej do głowy. Matka! Do niej też przydałoby się tyrknać. Jutro? Nie ma co odkładać, popędziła samą siebie. Teraz jest ta właściwa chwila! Sięgnęła po telefon i znieruchomiła. Świadomość, że intymnej rozmowie ma się przysłuchiwać ktoś niemal obcy... to tak, jakby Brzytwa przyłapała ją na pierdzeniu.

– Czy mogłabym zadzwonić... – odchrząknęła. – To znaczy nie obrazisz się, jeśli cię zostawię?

– Le salon do twojej dyspozycji, silwuple.

Monique podziękowała bladym uśmiechem. Podreptała do pokoju, starannie zamknęła za sobą drzwi i wreszcie wybrała numer rodziców. Wiedziała, że odbierze matka. Ojciec był zbyt zajęty (koszenie trawy, chrupanie suchych bułek, rozgrywki drugiej ligi) i, do czego nigdy się nie przyznał, trząśł worem, że usłyszy złe wieści. Dlatego wolał się jak zwykle schować za własną żoną.

– August nie żyje, wiedziałaś? – rzuciła zamiast powitania. W jej rodzinnym domu nie tracono czasu na grzecznościowe wstępy.

– Bożeż ty mój! Jednak go zabili? – zmartwiła się matka. – Jeszcze sezon i nie zostanie żaden sensowny aktor.

„Postać, mamó, postać” – powinna poprawić, ale nagle zabrakło jej energii. Znowu tłumaczyć, że aktor nie jest swoją rolą? Przecież niejeden w to wierzy, próbując czynić cuda niczym papież.

– Ja mówiłam o wujku – odezwała się Monique, machając nerwowo stopą. August nazywał to „szyciem na akord”. Robił przy tym taką minę, jakby przyłapał ją na dłubaniu w nosie.

– Umarł? Niemożliwe! Przecież gadaliśmy z Antosiem ledwie tydzień temu.

– Nie mówię o twoim bracie – sprostowała, ale matka była już gdzie indziej. W bajkowej krainie swojego dzieciństwa.

– Śnieg tam leży pod lasem, a na jeziorze lód taki, że jeszcze by i na łyżwach pojeździł. Z dziećmiakami od Małeszków to ci dopiero były harce! Dziw, żeśmy się nie połamali do cna! – W głosie matki pojawił się znajomy zaśpiew. Scenicznego „ł”

mógłby jej pozazdrościć sam Eugeniusz Bodo.

– Za najstarszego z Małeszków miałaś wyjść za mąż – przypomniała Monique, zanim zrobiła to matka. – Tyle że popijał.

– Jak wszyscy. Wspaniały chłopak, z urody podobny do młodego Gregory’ego Pecka.

– Nawet do Presleya, zależy, na które zdjęcie patrzeć – dodała, przeskakując na inny temat. – Chodziło mi o byłego męża Haliny. Augusta.

– Gutek, trzeba było tak od razu. Jakiż on tam i wujek.

Z pewnych funkcji się nie wyrasta. Były prezydent nadal jest prezydentem.

– Wiedzieliście, że umarł.

– Z końcem zimy – przytaknęła matka, nie zważając na pretensję w głosie Monique. – Okropna śmierć, niczym grom z jasnego nieba.

– Jaka jest dobra?

– No... kiedy masz czas zadysponować majątkiem, przebaczyć komu i trzeba, wypowiadać się księdzu, wreszcie zostawić list pożegnalny.

– Co takiego byś w nim napisała? – wybuchła Monique zupełnie jak za licealnych czasów i natychmiast wrócił jej stary akcent. – Jakieś cenne myśli dla potomnych?

Ludziom się wydaje, że na koniec wykrzeszą z siebie drugiego Lwa Tołstoja. Potem dziecko czyta kwieciste zdania na stypie i wstydzi się przed sąsiadami.

– Chcesz mnie już i uśmiercić, że tak dopytujesz się?

Uśmiercić? A kto by wzbudzał tyle emocji? Owszem, matka wkurwia nie mniej od Augusta, ale na tym chyba polega bliskość.

– Mogliście mi powiedzieć – nie odpuszczała Monique. – Dzwoniłam na Dzień Kobiet i ani pary z ust.

– Ja to nawet i chciałam – broniła się matka – ale stary mówi, żeby ci nie zawracać gitary. Masz tam i swoje sprawy, pracę, której trzeba pilnować, bo czas trudny.

– Pilnuję. Klientek przybywa niczym grzybów po deszczu – skłamała jak zwykle.

– No widzisz, dziecko. Zresztą co by ci dało wiedzieć wcześniej. Na pogrzeb

i tak byś nie zdążyła.

Tego akurat Monique wcale nie żałuje. Zaliczyła już parę rodzinnych imprez z udziałem nieboszczyków wystawionych w otwartej trumnie. Do dziś pamięta trupi zaduch w pokoju, lustro zasłonięte czarną krepą, spuchnięte dłonie dziadka i muchy bezczelnie łązące po woskowej twarzy zmarłego, a w tle monotonną melorecytację tajemnicy bolesnej. Bez bimbru nie sposób tego przetrwać, tłumaczy mieszcuchom spragnionym nie swoich tradycji. Nie dowierzają, więc ma ochotę zaproponować, by latem zostawili na stole filet z indyka suto przybrany liliami i odczekali kilka dni. „Aromat podobny...” – mogłaby dodać od niechcienia, ale zaraz sobie przypomina, że ją też kręcą cudze ceremonie. Romskie wesela, głośne stypy na Bałkanach, spalanie zwłok w świętym mieście Waranasi. Egzotyka, która pozwala zapomnieć, że wszystko dzieje się naprawdę.

– Na pogrzeb bym nie poszła – przyznała. – Wolę pamiętać wuja żywego.

Tak żywego, że ciągle trudno uwierzyć w jego śmierć.

– Też bym nie jechała – odezwała się matka. – Bo trochę wstyd, że należał kiedyś do rodziny, a teraz obcy płaci za jego pogrzeb.

Obcy? Ciotka napomknęła, że pochówkiem zajęli się koledzy z teatru.

– Wieniec przysłali. Dobrze i to – westchnęła matka – w dzisiejszych czasach.

Stare nie były lepsze, pomyślała Monique. Wuj opowiadał jej kiedyś, że po śmierci Gabrieli Zapolskiej żaden z teatrów grających jej sztuki nie chciał się dołożyć do budowy pomnika. „*Moralność pani Dulskiej*, wersja *de luxe*” – podsumował.

– Więc kto pokrył koszty?

– Ten z Paryża. – Matka nigdy nie wymawiała jego imienia. – Sam nie mógł przylecieć, bo podobno schorowany, pełnomocnika wysłał, żeby dopilnował. No i dobrze, bo to jest od cholery załatwiania! W ZUS-ie, u księdza, w urzędzie dowód zdać, w firmie pogrzebowej też samo się nie wybierze – ciągnęła, nie zważając na niecierpliwe sapnięcia córki. – Człowiek spłakany, chciałby się schować w szafie i sam nie żyć, a tu trzeba wieńce obstalować, trumnę wybrać właściwą, ubranie w szafie znaleźć. Roboty potąd! Czasem to sobie i myślę, że zmarli powinni znikać.

Wracam z majówki, patrzę, starego nie ma. Zaglądam do jego szafy, pusto, i już wiem, że w czyścicu dawne grzechy odpracowuje. Mogę się skupić na prawdziwej żałobie, a nie po urzędach biegać.

– Właśnie, co u taty? – udała zainteresowanie Monique.

– Starego nie znasz? Ostatnio szarpnął się na dron i testuje za chałupą. Furkotanie takie, że idzie zwariować. Chyba już wolę, jak chrupie suche buły, nawet jeśli protezę ściera.

– Tata zawsze rzucał się na nowe zabawki – przypomniała matce. – Są gorsze pasje, na przykład przesiadywanie po karczmach.

Na szczęście dla rodziny Jan Fortuna nie miał głowy do picia. Wolał odłożyć tych parę groszy na nowy gadżet, którym mógłby się pochwalić przed sąsiadami. Pierwszy w okolicy sprawił sobie kostkę Rubika, komputer Atari oraz quada, na którym omal nie roztrzaskał kości udowej. Rzucał się na każdą nowinkę, nie bacząc na to, że przepłaca. Tylko wtedy wewnętrzne dziecko Jana wygrywało z węzem w jego kieszeni.

– Zabawki! Żeby i na tym się kończyło! – westchnęła matka. – Jasiek już rozpowiada sąsiadom, że interesa będzie robił. Pizza na telefon, z domowym oscypkiem dostarczana dronem.

Bannery na płocie już mu nie wystarczą, zaśmiała się Monique, starając się nie wizualizować sobie ogródka rodziców. Zamiast drzewek owocowych okropne tuje i reklama wielkości szopy. Estetyczna makabra. Świadomość, że podobne bannery są u wszystkich sąsiadów, wcale nie przynosi ulgi, wręcz przeciwnie. Wjeżdżając do Bukowiny, Monique ma uczucie, jakby za karę trafiła do Chinatown.

– Jaki był August?

Sama nie lubiła takich pytań. Bo jak tu streścić człowieka w paru zdaniach?

– Po co to i grzebać. Człowieka nie ma, bronić się nie może. – Matka umilkła na chwilę, deliberując nad czymś.

– Choć dla mnie to on się i podobał – wyjawiała ściszym głosem. – Delikatny był, na zdrowiu zapadał, ale cudzych bamboszy by nie tknął. Wolał na bosaka chodzić i katar złapać. Barachła nie cierpiał, jak i ja. Żadnego dziadostwa.

Żadnego dziadostwa, powtórzyła Monique i poczuła na policzkach ciężkie, gorące łyzy.

1994

– *Nie musisz dziękować – łaskawie orzekł August, kładąc ciemną czekoladę nadziewaną migdałami. Tuż przed jej nosem.*

Szybko przełknęła ślinę i bez słowa odsunęła od siebie tabliczkę.

– *Prawdziwa – kusił – w przeciwieństwie do tamtego dziadostwa: polo-cockty w złotych papierkach.*

– *Nie wiem, nie dane mi było spróbować – mruknęła, pijąc do sceny w Jubilacie.*

Na dziale słodyczy podpłynęła do nich pięknie wymalowana hostessa, kusząc pralinkami prosto z serca Belgii. „Deluxe, po promocyjnej cenie” – podsunęła im pod nos pełną tacę. Monique zerknęła pytająco na Augusta. W odpowiedzi zmarszczył brwi i nie patrząc na hostesę, oznajmił, że bardzo źle trawi oksymorony. A kto mu kazał jeść czekoladki, złościła się Monique, niechętnie wspinając się za wujem po drewnianych schodach kamienicy. To ona chciała skosztować, a on, ten centuś z dzielnicy lujów, pożałował jej nawet tak drobnej przyjemności.

– *Całkiem za darmo – mruzczała do siebie, kiedy już znaleźli się w kuchni.*

– *Nie ma darmowych przekąsek, Bonobo! – zagrzemiał. – Wszystko wliczone w cenę. Choć nie zawsze płaci klient.*

– *No to w czym problem?*

Nie odpowiedział, zajęty szperaniem w pudle pełnym zagranicznych metek. Wreszcie znalazł tę właściwą, z napisem „Armani”, i pogwizdując, zaczął nawlekać igłę.

– *Hostessa była taka uprzejma – podjęła znowu, uderzając od innej strony. – Elegancka i w ogóle.*

Monique tak właśnie wyobrażała sobie lepszy świat, gdzie ludzie pachną rexoną, buty w przeciwieństwie do twarzy zawsze się błyszczą, szminka trzyma się na ustach cały dzień, a loki wyglądają jak tydzień po trwałej. Gdyby ją wtedy zapytano, co

chciałyby robić w życiu, odparłaby bez wahania: pozować z tacą pełną pyszności i z promiennym uśmiechem, wprowadzając ludzi w zachwyt albo zakłopotanie...

– Ona umiała się zachować – ciągnęła – tylko my... jak te dzikusy...

– Kto ci bronił spróbować? Masz strusi żołądek, strawisz nawet sznurówki. Trzeba było brać z tacy, garściami, a nie pytać o zgodę.

– Tak po prostu? Zjeść za darmo i nie kupić?

– Widzisz! – nie krył satysfakcji.

Myśli, że przyparł ją do muru? To zaraz zobaczy!

– Niby nie trawisz tych, no... oksymoronów, niby uciekasz od dziadostwa. A to? – wskazała palcem metkę.

– Oryginalny armani. Przywieziony prosto z Mediolanu.

– Doszywasz go do starej ruskiej czapki.

– Kaszkietu – poprawił, nie tracąc rezonu.

– Czy takie udawanki nie są przypadkiem dziadostwem?

August odłożył igłę i lekko się uśmiechnął.

– Jeśli oszukujesz siebie – wyjaśnił. – Wierzysz, że głupia metka robi z ciebie kogoś lepszego.

– A ty...

– Uważasz, że majstruję przy kaszkiecie, żeby podnieść sobie samoocenę? – Posłał jej rozbawione spojrzenie.

– Już wyższej mieć się nie da – szepnęła, bardzo cichutko. Ucho wuja miało zadziwiające właściwości. Ze strumienia rozmaitych przekazów wychwytywało te, które nie powinny do niego dotrzeć.

– Słyszałem!

Speszona przygryzła paznokieć kciuka.

– No to czemu je przyszywasz? – drążyła.

– Dla sztuki. Ludzie są takimi snobami. – Wzniósł oczy do nieba. – Szczególnie w teatrze.

Po rozmowie z matką zajrzała do łazienki sprawdzić, czy ma zapuchnięte powieki. Opłukała je delikatnie zimną wodą, by nie rozetrzeć tuszu. Oczy lekko się szklą, ale jeśli usiądzie przy samym oknie, pod światło, Brzytwa niczego nie zauważy.

– Wiedzieli – mruknęła, z przesadną irytacją, by odwrócić jej uwagę. – Ciotka im wychłapała, ale mnie ani słowa. Wyobrażasz sobie?

– Może próbowali cię chronić.

Monique tylko sapnęła.

„Wiesz, wujku, co to znaczy być środkową? – wypaliła kiedyś rozzłoszczona. – Drugą dziewczynką z rzędu, więc nie musisz już przecierać szlaku, a jednocześnie czujesz, że to nie na ciebie czekali, tylko na syna. I ten syn się pojawia. Wiesz, jakie to uczucie?” August odparł, że jako samolubny jedynak nawet nie próbuje sobie tego wyobrazić. „Dostajesz masę wolności i niemodne ciuchy po starszej siostrze” – rzuciła wtedy.

Jako środkowa była najmniej pilnowana, najbardziej niezależna i najszybciej poszła „na swoje”. Nawet jeśli dopadały ją kłopoty, nie zawracała nimi głowy rodzicom. Przez lata ich nauczyła, że świetnie sobie radzi. Rodzeństwo wołało myśleć, że Monique ma kosmiczny fuks. „W czepku urodzona – powtarzano przy stole, kręcąc nosem na prezenty. – Inni się naharują, wymarzną, żeby swoje zarobić, a ty jak ten motylek”. Monique próbowała wyjaśnić, że od kuchni wszystko wygląda inaczej. Antek, mąż ciotki, zaraz wchodził jej w słowo: „Ty wis, kielo jo sie muse batem nalonacyć, coby se postawić taki koniak? Kielo ceprow napchać do fasiağa?”. Koniec tematu, uznała, i tego się trzyma.

– Co robimy? – dobiegł ją niski głos Brzytwy.

– Powinnam chyba pójść na cmentarz.

Umilkła, włączając e-papierosa. Zaciągnęła się kilka razy, zamyślona.

Może to nie jest taki zły pomysł z tym cmentarzem. Odda Augustowi ostatni pokłon i kiedy wreszcie zobaczy jego grób, uwierzy, że to wszystko dzieje się naprawdę. Bo chwilami ma wrażenie, że doszło do koszarnej pomyłki.

– August tego by sobie życzył... chyba – bąknęła.

August nienawidził cmentarzy, przypomniała sobie nagle. Tolerował tylko te na

obrazach Caspara Davida Friedricha, inne omijał szerokim łukiem, nawet w Zaduszki. Powtarzał, że się jeszcze napatrzy na ten cały sakrokitcz w najgorszym wydaniu. „Te gipsowe anioły, krwawiące serca z mosiądzu, płyta, na której zmieściłby się samolot, i horrendalne znicze z plastiku. Od samego ich zapachu robi się słabo” – oświadczył i wyszedł zaczerpnąć tchu na balkonie. Teraz sam leży przywalony ciężką płytą z granitu, uświadomiła sobie Monique i aż pociemniało jej w oczach.

– Cmentarz poczeka – odparła Brzytwa, bębniąc palcami po nosie.

Monique dostrzegła, że są przykurczone, jakby ścisnęły niewidoczną mandarynkę. Dziwne, tyle razy wpatrywała się w dłonie Brzytwy i nie zwróciła uwagi na jej palce.

– Ta ręka... – zaczęła drżącym głosem.

Brzytwa przestała bębnić.

– Ach, to! Głupi wypadek, jeszcze w szkole. Choć Alek uważa, że było inaczej.

Faktycznie, kiedy rozmawiali ostatnim razem, wspomniał Monique o jakimś złamaniu.

– Uważa, że to jego sprawka?

Brzytwa przytaknęła.

– Próbowałam mu tłumaczyć, że nie ma żadnych długów. Nigdy ich nie miał.

Pieprzone sumienie – gryzie nie wtedy, kiedy powinno. Gdyby chapsnęło Monique we właściwym momencie, może dziś piłaby z wujem herbatę.

– Żeby cokolwiek mi powiedział – wyszeptała wpatrzona w blat stołu. – Tyle jest teraz nowych lekarstw, terapii, medycyna idzie cały czas do przodu.

Mówił, uświadomiła sobie nagle, tyle że się nie obnosił. Można wściekać się na kiepski smak rządzących, ale zwierzać się z tego, co naprawdę boli, to nie w stylu Augusta.

– Jesteście tacy do siebie podobni – zauważyła nagle Brzytwa.

– Bo byliśmy, mimo tych wszystkich różnic.

Żadne z nich nie przyznałoby się nikomu do biedy. Trzymało fason do końca. Do końca!

– Mówiłam o Aleksie. Też wierzy, że to on rozdaje cudze karty. Nie widzi, że talię ściska kto inny.

– Nie twierdzę, że sama bym uratowała wuja! – broniła się Monique.

Ale przynajmniej podjęłaby jakieś próby. Spędziliby z Augustem więcej czasu i nie czułaby się jak teraz: cholernie winna.

– Słuchaj, poznałabyś go po takim czasie?

– Augusta? W trumnie? – przeraziła się Monique.

– W jakiej znowu trumnie?

Więc zdaniem Brzytwy jednak nie umarł? Ktoś coś przekręcił? Administratorka źle odczytała w papierach? W sercu Monique zatliła się maleńka iskierka nadziei. I zaraz zgasła.

– Chodziło mi o Tolusia – wyjaśniła Brzytwa. – Ale przecież nie czytasz w myślach.

Czego nie mogą jej wybaczyć niektóre klientki. „Tuba to znaczy tulipan – oznajmiła zirytowana Renata, rysując dłońmi wymarzony kształt sukienki wizytowej. – Myślałam, kochana, że się domyślisz”. W takich chwilach należy iść w zaparte i kłamać, kłamać, kłamać: „Wiedziałam od początku, ale tuba jest bardziej sexy. Twoim biodrom nie potrzeba maskownicy”. Niestety, Monique ostatnio ściemnia z coraz mniejszym zaangażowaniem. Syndrom wypalenia czy raczej mizantropia?

– Jesteś tam? – Brzytwa pociągnęła ją lekko za rękaw.

– Myślałam o robocie – wyjaśniła Monique, tłumiąc wzdrygnięcie. Że też inni muszą jej dotykać. Wystarczyłoby przecież klasnąć lub zagwizdać.

– Chcę jeszcze raz porozmawiać z nowym właścicielem siedemnastki. Mogłabyś zerknąć i potwierdzić, czy to na pewno Toluś.

– Przecież w administracji...

– W administracji lubią się mylić, przekręcać daty, adresy, nazwiska. Do mojego chrzestnego przez trzy lata pisali na adres sąsiadki. Chrzestny słał podania, nawet skargi... ginęły wśród papierzysk.

– W Versalu też mieli niezły bajzel – przyznała Monique, starając się nie wracać

pamięcią do tamtej okropnej godziny.

– Dlatego zależy mi, żebyś zerknęła na nowego właściciela. Chyba że nie czujesz się na siłach.

Litość, tego tylko brakowało. Choć wuj bardzo ją sobie cenił. „Zakochanie – tłumaczył kiedyś – sprawia, że człowiek jest zdolny do najgorszych zagrywek, ale litość (tu smętnie się uśmiechnął) uratowała niejedno pieskie życie”.

– Załatwmy to jak najszybciej – zdecydowała Monique. – Za kilka dni Wielkanoc i chcę już wrócić...

Do czego? Do kawalerki, której wciąż nie potrafi nazwać domem, a może do odnowionej willi rodziców, której domem już nie nazywa? Matka znowu ją zapraszała, Monique niemal się zgodziła, na chwilę zapominając, że nie stać jej na prezenty, których nikt od niej nie oczekuje. Rozczulona chwilą bliskości niemal obiecała, że pojawi się po rezurekcji, i nagle wyobraziła sobie, jak zasiada w morelowej jadalni rodziców. Zajmuje jak zwykle miejsce na rogu stołu, nie bacząc na przesady, co Antek rozumie po swojemu i nie waha się ogłosić. „Rog w tyłu rokak babie już nie ckliwy, kie i tak o ślubie ni ma co godać. Cheba ze cud. Ale w nasej rodzinie limit cudów wycerpano” – przypomina jak zwykle, poklepując po udzie tę, której się udało. Wszyscy chichoczą, więc Monique też udaje rozbawioną, by nie odstawać od reszty. Dziobie widelczykiem przesłodzony mazurek, zerka na taras i tęskni za dawnymi widokami. Ale przesłoniły je bannery zwisające z każdego płotu. W domu też wszystko uległo zmianie. Spaczone okna, na których Dziadek Mróz miał co zmalować, zastąpiły superszczelne z PCV, drewniane meble z duszą i kornikiem – obciachowy zestaw z ratanu, na miejscu obłożonego kamieniami paleniska ustawiono kominek przypominający ogromne akwarium, a zamiast fiołków w glinianych doniczkach – rząd sztywnych storczyków na parapecie z imitacji marmuru. Widząc swoje odbicie w szybie witryny, Monique znowu uświadamia sobie upływ czasu i ma ochotę uciec. Tylko dokąd? Podróże po świecie jej nie bawią, może dlatego, że widziała modne zakątki z niewłaściwej perspektywy. Trudno docenić ocean, w którym nie można się wykąpać, bo siódmą godzinę asystujesz przy zdjęciach do głównianego katalogu bielizny. „To tak, jakbyś patrzyła na pyszne torty i nie mogła spróbować nawet kęsa” – tłumaczyła koleżance spoza

branży. „Wiem, co to znaczy być na diecie” – odparła z przejęciem tamta. Nie ma sensu się uskarżać, postanowiła wtedy Monique, pocieszając się, że w swojej pracy może przynajmniej najeść oczy.

Wyższa szkoła udręki, sapnęła, wdrapując się na znajome schody.

– Ja będę mówić – uspokajała ją Brzytwa. – Ty się tylko przyjrzyj facetowi.

Odczekała chwilę i wreszcie wcisnęła dzwonek. Otworzył. Nie nosił już wąsów ani swetra w tureckie wzory, ale Monique poznała go natychmiast. On jej wcale. Powinna uznać to za komplement, a jednak poczuła lekkie ukłucie. Czas mija i Monique już nigdy nie będzie tamtą roześmianą nastolatką. Znikły gdzieś dołeczki w policzkach, pojawiły się kurze łapki, tylko patrzeć, jak jej sprężysty dotąd brzuch zacznie się rozlewać niczym ciasto naleśnikowe. Czas wrócić na pilates, postanowiła.

– Panie w jakiej sprawie? – zapytał uprzejmie.

– Myśmy już rozmawiali parę dni temu. Jestem kuzynką Augusta – przypomniała mu Brzytwa, wskazując brodą sąsiednie drzwi.

– Ach, rzeczywiście! Gapa ze mnie. – Przepraszająco się uśmiechnął i dodał na usprawiedliwienie: – To był zwariowany dzień. Nadzwyczajne zebranie w magistracie. Ten smog nas wykończy! – Sposepniał. – Przykra sprawa z pani wujkiem. Taki żywotny człowiek, tyle miał planów i nagle w jednej chwili... wszystko przekreślone. Może gdyby ktoś zadzwonił po pomoc, niestety... Szkoda człowieka – bąknął cicho, zapatrzony niewidzącym wzrokiem w balustradę.

– Nie wie pan, co się stało z kotem? – dołączyła do rozmowy Monique.

Dopiero teraz na nią popatrzył.

– Zuzia? Przepadła jak kamień w wodę. Pytałem o nią w okolicy, bo bym się zajął z sąsiedzkiej życzliwości. Lubię zwierzątka – zapewnił. – No ale co zrobić, skoro zniknęła.

Więc takie imię wybrał jej August. Zuzia, urocze, nawet jeśli średnio pasuje do przestraszonego dachowca. Monique wolałaby raczej... właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiała. Tamtej gorącej wiosny zbyt wiele się działo, by wymyślić sensowne imię. Po prawdzie nie zerknęła nawet do książeczki zdrowia, nie było

kiedy. Przekazała ją wujowi wraz z transporterem i przez te wszystkie miesiące nie zadała sobie trudu, by zapytać, jak nazwał kota. Wstyd do entej!

– Koty lubią wracać, nawet te wywiezione kilkanaście kilometrów od domu – zauważyła Brzytwa.

– Właśnie – podchwycił skwapliwie. – Może Zuzia wpadła pod auto. Była w szoku. Ech, jak sobie pomyślę...

Westchnął, ukradkiem zerkając na drobną gimnazjalistkę, która właśnie zbiegała po schodach. Déjà vu, skwitowała Monique i znowu zrobiło jej się przykro. Ona zbiega równie szybko i ma zgrabniejsze nogi, a jednak to już nie to samo.

– Nie chcemy przeszkadzać – odezwała się Brzytwa – mam dosłownie parę pytań.

– Oczywiście. Proszę, śmiało! – zachęcił, nie ruszając się z wycieraczki.

– Chodzi o klucze. Udostępniła je kuratorka? Bo chyba nie August? Nie przyjaźniliście się na tyle, by wymieniać się swoimi gerdami – mrugnęła.

– Aż tak to nie! – odpowiedział z łobuzerskim uśmiechem. – Lubiliśmy się, owszem, ale bez poufałości. Jak to było z tym kluczem... – Potarł czoło, próbując sobie przypomnieć szczegóły. – Właśnie. Wpadłem do Versalu, żeby się dowiedzieć, co z opłatami za wodę. Zgadaliśmy się o śmierci Augusta. Pani Stasia, administratorka, zdradziła, że lokal stoi pusty, marnieje. Mogłaby go podnając choćby studentom, ale pamięta, że mnie brakuje metrażu. Pomyślałem chwilę i wziąłem. Lepiej tak, niż miałyby porastać grzybem jak inne pustostany.

– Przynajmniej ktoś go ogrzeje – zgodziła się Brzytwa. – Więc kiedy weszliście do siedemnastki, niczego nie było w środku? Pytam, bo wuj miał cenne albumy. Niektóre z XIX wieku. Myślałam, że je odzyskam... chociaż taka pamiątka.

– Nie było żadnych książek. Parę rozwalających się szaf, pęknięte lustro, stare lampy, nic więcej.

– Ktoś się włamał i wykradł? – drażyła Brzytwa. – Może trzeba zgłosić na policję?

– Żadnego włamania! Mieszkanie opróżnili pracownicy administracji – wyjaśnił. – Takie są procedury po śmierci lokatora. Powiadamia się ewentualnych

spadkobierców, a potem sprząta.

– Naturalnie – skinęła głową Brzytwa, nie ujawniając, czy ją powiadomiono. – Niestety przyjechałam już po pogrzebie.

– August musiał wyzbyć się rzeczy dużo wcześniej – próbował ją pocieszyć.

– Nic panu nie zdradził? – wyrwało się Monique. – Przecież się kumplowaliście.

– Nikomu nie wspominał, nawet rodzinie. – Rzucił Brzytwie znaczące spojrzenie. – Jeszcze jakieś pytania?

– To chyba wszystko. – Brzytwa się uśmiechnęła i na koniec dodała: – W kamienicy nie mieszka żaden właściciel?

– Wszyscy trzej przebywają za granicą.

– Nieciekawa sytuacja, jeśli chciałoby się zrobić grubszy remont.

– Czekamy z tym na spadkobierców części nieobjętej. – Zerknął na swój złoty zegarek. – Panie wybaczą, ale mam ważne spotkanie w urzędzie miasta, więc jeśli to wszystko...

Jeszcze raz się uklonił i znikł w swoim mieszkaniu.

– Toluś – wyszeptała Monique, kiedy znalazły się na parterze.

Brzytwa nie wydała się zdziwiona, raczej czymś zafrasowana.

– Bardzo miły. Mówi dokładnie to, co chciałoby się usłyszeć. – Spojrzała na Monique. – Coś nie tak?

– Muszę odsapnąć. Sama! – Uniosła rękę na znak, by o nic nie wypytywać.

Szarpnęła do siebie ciężkie wrota i wybiegła z kamienicy. Gnała bulwarami pod wiatr, nie bacząc na śnieżycę. Minęła plac zabaw, kosze do segregacji odpadków. Dwadzieścia lat temu nikt by nie pomyślał o takim wynalazku. Kiedy po powrocie z Paryża wspomniała o sortowaniu, kumple z uczelni ryknęli śmiechem. „To jest postęp? Ludziom z Zachodu w dupach się przewraca! Za chwilę będą jedli własne śmieci!” A jednak postępu nie da się zatrzymać. Pojawiły się nowe kosze, nowe podjazdy dla inwalidów, nowe galerie handlowe, polityczna poprawność i... jednocześnie mowa nienawiści. Chamstwo, arogancja, wulgaryzmy sypiące się zewsząd. Nic dziwnego, że serce wuja nie wytrzymało.

– Cholerny Don Kichot – szepnęła, ocierając rękawem mokrą twarz.

Jak dobrze, że pada, ludzie nie dostrzegają, że płacze, bo wszystko zlewa się w jedno. Łzy, krople deszczu... Ludzie mają swoje własne sprawy, zbeształa samą siebie, i znowu przyśpieszyła kroku. Przebiegła obok metalowego straszidła zwanego smokiem, potem skręciła w Bernardyńską, by zwolnić na Plantach. To tu obrzucali się śnieżkami, przypomniała sobie. Wuj był taki zdyszany, ale Monique nie przyszło do głowy, że cierpi na cokolwiek. No chyba że narastającą mizantropię uznać za chorobę. Zresztą, jeśli nawet zaczęłaby dopytywać, czy to cokolwiek by zmieniło? Karty zawsze ściska kto inny, powtórzyła za Brzytwą, zapatrzona w budynek po przeciwnej stronie ulicy. Dopiero po chwili do niej dotarło, że kiedyś było tam słynne kino Wanda. Na jego miejscu otworzono supermarket. „Po co komu filmowe uczyty, jeśli może się nażreć tanim bekonem” – skwitował zmianę wuj August i już nigdy nie wrócił do tematu. Za to bardzo się przejął, kiedy zamknięto małe kino Pasaż, ze skrzypiącymi fotelami krytymi bordowym aksamitem i z tęgą, wiecznie naburmuszoną bileterką, dzierżącą w dłoni latarkę, której światłem wskazywała spóźnialskim miejsce. Pasaż miał zdaniem wuja ogromną zaletę: świecił pustkami. Na wcześniejszych seansach stanowili z Monique całą widownię. „Jak Elvis Presley – powtarzał wtedy August, zacierając zmarznięte dłonie. – Można się skupić na prawdziwej sztuce, a nie na tym, że w czwartym rzędzie komuś zachciało się paluszka”. Po zamknięciu Pasażu przestał chodzić do kina. Owszem, podjął próby, ale rozpraszało go wszystko: chrupanie popcornu i jego wątpliwy aromat, rozmowy, chichoty, a już najbardziej migające światełka komórek. Na jednym z seansów zaczął upominać rozbawioną grupkę trzydziestolatków. „Kazali mi zwracać za bilet, bo niby przeszkadzam! – relacjonował rozsierdzony. – Ja przeszkadzam, wyobrażasz sobie?” „Możesz sobie odbić i straszyć w kinach” – zwróciła się do wuja, niemal słysząc jego wyniosłą odpowiedź: „Człowiek noszący szlafroki z adamaszku nie bawi się w takie rzeczy. Straszyć, też mi rozrywka!”.

Maszerowała Grodzką zaskoczona ilością dziewczyn reklamujących kluby nocne. Niektóre kręciły w dłoniach różowe parasolki, by przyciągnąć uwagę turystów, inne wciskały mężczyznom zniżkowe ulotki na alkohol wraz z obietnicą nieziemskich uciech. A tuż obok najstarszy kościół Krakowa, pomyślała. „Miasto papieża, tradycji i tajlandzkich rozrywek, tu wszystko da się pogodzić” – ironizował

wuj. Kiedy zainteresowała się, czy kiedykolwiek odwiedził podobny lokal, z godnością odparł, że nie jest radnym. „Zaraz dopatryłbym się nieprawidłowości i domagał zamknięcia” – wyjaśnił. „Czy jest takie miejsce, gdzie ich nie widzisz?” – korciło ją, by zapytać, ale w gruncie rzeczy znała odpowiedź: jego salon.

Przebieła Rynek i znalazła się na Szewskiej, gdzie jadal z wujem lody sułtańskie suto polane rumem, a kiedy ich zabrakło – hiszpana, niewielką bezę przełożoną bitą śmietaną. Na końcu uliczki znajdowała się słynna restauracja U Zalipianek o ścianach malowanych w ludowe wzory. Przed laty Monique miała ochotę wejść do środka, ale brakowało jej śmiałości, wuj zaś nie dawał się namówić nawet na espresso. Omijał lokal, nazywając go eksportową wydmuszką. „Nie jesteśmy turystami, by aż tyle płacić za namiastkę kawy” – buczał, a Monique od razu robiło się przyjemnie, że docenia również jej smak. Tylko raz pozwoliła sobie na pytanie, jak smakowała owa namiastka. Wuj fuknął, a potem obraził się na całe dwie godziny.

Zerknęła do środka przez brudne szyby. Pusto. Umarła kolejna legenda.

– Zamknęli, za karę – usłyszała tuż za sobą.

Zdziwiona odwróciła głowę. Rudy, do trzech razy sztuka. To miasto jest stanowczo zbyt ciasne, wszyscy tu na siebie wpadają, bez przerwy, przypomniała sobie słowa wuja.

– Za karę? – Uniosła brwi.

– Prezydent, jaśnie umiłowany Jacek, pałaszował tu latem kwaśnicę na żeberkach. Nie dotarł nawet do połowy, bo z sufitu spadł mu do talerza kawał tynku. Chlapnęło Jackowi na brodę i na ulubioną koszulę od Armaniego. Więc sama rozumiesz.

– Szkoda. To był kultowy lokal.

– Prima aprilis – oznajmił nagle, ucieszony. – Fakty są takie, że Zalipianki dobił koszmarny czynsz. Ale kto go podnosił i czy jadał tu żeberka...

– Przecież pierwszego jest jutro – zauważyła Monique.

– Jutro możemy się nie spotkać, dlatego pozwoliłem sobie na falstart. Nadal mnie nie poznajesz – nie wydawał się rozczarowany.

Posłała mu uśmiech Mony Lizy. Lepsze to, niż się tłumaczyć.

– Ty się nic nie zmieniałaś. Zjawiskowa jak zawsze. To nie jest prima aprilis – zapewnił.

Skoro jego zdaniem wygląda tak samo, poznali się najdalej pięć lat temu, skostatowała. Ale gdzie to było? W telewizji? Możliwe, zaliczyła wtedy tyle imprezek, a po nich afterków w cudzych mieszkaniach... Ale dlaczego nie pamięta rudego? Przecież nie była aż tak zrobiona. Wciągało się, owszem, na koszt i na zdrowie aktualnego króla melanżu, ale Monique zawsze brała najmniejszą kreseczkę, bo nie lubi objadać innych, no i ma delikatne śluzówki. Nawet gdyby przesadziła, po kokainie film się nie urywa, nabiera kolorów i, jakby to ująć, głębi. Więc pamiętałaby każdy szczegół w 3D. A kojarzy tylko rozmazaną plamę rudych włosów. Może facet był zbyt nieśmiały, by zagadać, i zerkał na nią, kryjąc się za filarem. Co prawda Monique nie pamięta żadnych filarów, choć potrafiłaby wymienić inne elementy wyposażenia. Łoża wodne, wanny na lwich łapach, dwupoziomowe salony... Zaraz, a może koleś wszystko sobie ubrdał? Może widział ją w telewizji i zwariował na jej punkcie? Czyżby dorobiła się pierwszego wielbiciela?

Pewne dziewczyny są wprost stworzone, by je adorować. Małomówne, wyniosłe, tajemniczo uśmiechnięte, potrafią rzucić mężczyźnie takie spojrzenie, że niemal każdy czuje niepokój, który myli z fascynacją. Niedostępne księżniczki. Wzdycha do nich pół szkoły, z woźnym na czele. Po trzecim roku studiów dają się wreszcie podbić lokalnemu królowi pizzy, zostawiając sobie u boku paru wiernych giermków, by mieć wsparcie w czasie małżeńskich nawałnic. Bywa, że najwierniejszy doznaje zaszczytu bycia ostatnim portem.

Otóż Monique nigdy nie należała do drużyny księżniczek. Wybuchwała zbyt głośnym śmiechem nawet z wulgarnych żartów, a zamiast trzymać chłopaków na dystans, wydurniała się razem z nimi. No i zdarzało jej się za dużo paplać. Trudno się zadurzyć w szczerym Maćku, nawet jeśli przypomina gwiazdkę modnego serialu. Ale może ten tutaj ma specyficzne preferencje. Więc raczej psychofan, nie wielbiciel. Z braku laku też może być.

– Kiedy wracasz do Warszawy? – zapytał.

– Powinam była wczoraj, ale sprawy się skomplikowały. – Umilkła, zastanawiając się, skąd rudy wie o tym, że mieszka w Warszawie. Pewnie tam się właśnie poznali. Ot i cały sekret.

– Gdybyś zmieniła zdanie – przez chwilę bazgrał coś na karteluszkę wygrzebanym z kieszeni – zadzwoń. Jak zechcesz sobie przypomnieć, skąd się znamy.

– Czasem lepiej nie pamiętać – zażartowała, przyjmując karteczkę. Te dłonie, pokryte rudawymi piegami. Już gdzieś widziała podobne. Boże! Chyba nie na sobie! To by dopiero była skucha.

– Możesz zadzwonić o każdej porze – oznajmił, nie odrywając od niej oczu.

Wuj August też miał zielone tęczówki, ale nie była to przejrzysta zieleń południowych mórz, raczej jesienny potok niosący zbutwiałe liście dębu. „Baba z urzędu napisała, że są piwne” – ciskał się, podstawiając jej pod nos swój dowód osobisty. Na widok zdjęcia Monique parsknęła śmiechem. Czupurny kogucik, tylko patrzeć, aż zapieje. Gdzie teraz leży jego dowód?, pomyślała nagle. Czy przecięto go w urzędzie jak nieaktualną kartę biblioteczną? Znowu poczuła drapanie w gardle.

– Muszę lecieć. Ważne spotkanie – rzuciła nieco zbyt ostrym tonem.

– Zawsze byłaś rozrywana. Bankiety, imprezy, wpływowi ludzie.

Gdyby tak było, czy siedziałyby w tym smutnym mieście, gapiąc się przez cudze okna na obce niebo?

– Zadzwonię – mrugnęła. Jeśli zmieni zdanie, rudy zrozumie, że to primaaprilisowy falstart.

Środa

– Jak tak można? – jęknęła Monique, chowając się pod ciężką kapą haftowaną w lilie.

Skoro nie otwiera po szóstym dzwonku, to znaczy, że jej nie ma dla gości. Więc po kiego licha alarmować całą klatkę? Zwlokła się wreszcie z fotela i poczłapała na korytarz.

– Dzięki Alkowi za ten dzwonek! – oznajmiła Brzytwa. – Obudziłby nawet trupa.

– Nie spałam, jeśli o to ci chodzi – burknęła Monique, starannie zamknąwszy drzwi. – Zapomniałaś kluczy?

– Zostały tutaj. – Brzytwa, nie zdejmując buciorów, pomaszzerowała do kuchni i wskazała spory pęk na parapecie. – Sieję, gdzie popadnie. Jak mój stary, tyle że on się ograniczał do plemni...

– Może powinnaś nosić klucz na szyi – weszła jej w słowo Monique. – Herbaty?

– Ja zrobię, a ty... Słuchaj, może ja przeszkadzam.

– Spoko – skłamała. – Po prostu siedzę sobie.

– Po prostu – powtórzyła Brzytwa. – Też straciłam kogoś ważnego. Rok temu.

Nie będziemy rozwijać tematu!, zdenerwowała się Monique.

– Koszmarny ten dzwonek! – mruknęła.

Gdzieś już podobny słyszała. No przecież u wuja. Dlatego tak się złościł, kiedy ktoś go wciskał bez powodu. Dzwonek, powtórzyła, czując, że otwiera właściwą szufladkę.

– Czy wiesz, wujku, ile trzeba spalać dwa kieliszki wina? Grając na skrzypcach bite dwie godziny – podzieliła się wiedzą z Jak oni mają się ubierać. – A lody czekoladowe? Piłować pięćdziesiąt pięć minut.

– Też na skrzypcach? – spytał, zrzucając kapcie.

Zasiadł po turecku, przymknął sinawe powieki i wziął głęboki oddech. Monique zrozumiała: wujowi nie należy przeszkadzać, bo medytuje, by uzyskać kosmiczny dystans do tragedii zwanej życiem. Innymi słowy, trawi ruskie pierogi. Podreptała do kuchni i przeglądała rozdział o dietach. Szybko znalazła coś dla siebie: dietę ryżowo-kompotową. Nie trzeba się ograniczać ani liczyć kalorii i, co najważniejsze, nie trzeba się zmuszać do jedzenia sera, cieszyła się Monique, sprawdzając w szafce na dole, czy wuj przechowuje jakiś ryż. Już jutro mogłaby zacząć od śniadania. Dużo kompotu z jabłek, potem ryż, potem kompot i znowu ryż... Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Dokładnie trzy razy. August zerwał się z fotela jak oparzony i pognął na korytarz. Szarpnął drzwi, ale na klatce nie było już nikogo.

– Cholerny łobuz! Wydzwania od tygodnia – rozsierdził się, nerwowo krążąc po salonie. – Kiedy go dorwę, nie ręczę za siebie!

Przez chwilę korciło ją, żeby przypomnieć wujowi o kosmicznym dystansie, ale uznała, że nie warto. Po co ściągać na siebie gniew, na który zasłużył kto inny?

Wrócili do swoich zajęć – August do medytacji, a Monique do lektury. Ledwo rzuciła wzrokiem na tabelkę z prawidłową wagą, kiedy dzwonek znowu zabrzączał. Wuj odczekał chwilę, a potem na paluszkach przemknął do przedpokoju. Zastygł tuż obok drzwi, nieruchomy niczym wieszak na parasole. Nie czekał długo, po paru minutach znowu zadzwoniono. Wuj błyskawicznie otworzył drzwi i jednym zręcznym ruchem capnął dowcipnisia za rękaw. Istny aligator, pomyślała Monique, nie bez uznania.

– Ale ja, psze pana, już naprawdę nie bedem! – zapiszczała ofiara.

– Zgadza się, nie będziesz! – huknął wuj, wciągając chłopca do pokoju.

Miał może z jedenaście lat i bladą twarz usianą piegami. Mleczna droga, przyszło Monique do głowy. Mleczna droga w absolutnej rozsypce.

– Siadaj – syknął August tak straszliwym głosem, że chłopak aż się skulił.

– Psze pana, ja już bedem taki grzeczny, że normalnie...

– Oczywiście.

Z szuflady wyjął nóż, który ostrzył parę dni temu.

– No bez przesady! – krzyknęła Monique. – Młody nie zrobił nic strasznego.

Ona wymyślała z braćmi gorsze zabawy, na przykład strzelanie pestkami wiśni w przechodniów. Wybierali nieznajomych, by nie narażać się na słuszny gniew sąsiadów. Wystarczyło im, że Magda, najstarsza z całej trójki, zebrała od BułECKI niezłe wciiry za kradzież paru pomidorów. Nawet nie patrzył, że dziewczucha, lał równo po jednym i drugim pośladku. Woleli nie ryzykować, dlatego pestki trafiały wyłącznie w obcych szukających noclegu u konkurencji.

– Każdy się kiedyś głupio bawił – nie odpuszczała.

– Ja nie! – oznajmił wuj oburzony, że ktoś mógłby go podejrzewać o podobne zabawy.

– Psze pana, jak moi starzy się dowiedzą... – Chłopak sięgnął po ostatnią deskę ratunku. Czy raczej brzytwę.

– Dowiedzą? – Wuj zaśmiał się diabolicznie i wyjął kolejne noże. – A kto im powie? Może ty?

Monique przerażona przełknęła ślinę. Pomyśleć, że przemieszkała pół roku z szaleńcem. Jadła z tych samych talerzy, używała tych samych sztucców, które teraz...

– Usiądź prosto, nie będę się powtarzać.

Natychmiast się wyprostowali. Oboje.

– Dostaniesz lekcję – zaczął wuj. – Przy okazji sprawdzimy, czego się nauczyła nasza... paryżanka.

Postawił przed nią kilka talerzy, w tym deserowy.

– Proszę, rozłóż je jak do kolacji we dwoje.

Drżącymi dłońmi nakryła do stołu. Nie odezwała się przy tym ani słowem. Niech wuj widzi, co ona myśli na temat podobnych metod wychowawczych. Żandarm z krakowskiego Kazimierza!

– Niemal dobrze – ocenił August, lekko poprawiając ułożenie łyżeczki do deseru.

Wyjaśnił, do czego służą poszczególne sztucce, odczekał chwilę i powoli je zebrał.

– Skup się – zwrócił się do zasmarkanego piegusa. – Jeśli odtworzysz układ i przypomnisz nam zastosowanie wszystkich naczyń oraz sztucców, być może zjesz kolację z rodzicami. W innym razie będę zmuszony...

Nie musiał kończyć. Chłopak natychmiast chwycił za talerze. Bezczel złapałby raczej za największy z noży i utorował sobie drogę na klatkę, pomyślała Monique.

– Do czego służy ten widelczyk? – zapytał wuj.

– Do ryb, psze pana, a tamten do ciast z kremem – dodał piegus, sam od siebie. – A ten nożyk przydaje się do sera. Żółtego, nie twarożku.

Rękawem sfilcowanego swetra otarł zasmarkany nos i wrócił do wyliczania pozostałych sztucców. Skończył, stając na baczność i czekając na werdykt.

– Możesz wyjść – oznajmił wreszcie wuj. – I pamiętaj, od dziś koniec z nękaniami mieszkańców tej kamienicy.

Zanim dopowiedział zdanie, chłopaka już nie było. Zadzwonił tydzień później o tej samej porze.

*

Więc to był Kevin. Trudno się dziwić, że go nie poznała. Wtedy był piegowatym chudzielcem o podkrążonych oczach, którymi... gapił się na nią tak samo: jak na święty obrazek. Pewne fascynacje nie znikają, uśmiechnęła się Monique, wizualizując sobie ulubiony plakat Michaela Hutchence'a. Nadal przechowuje go w „Teczce skarbów”, gdzie trzyma również zasuszoną czterolistną koniczynę od Aleksa, parę fotek ze studniówki, z jakimś Piotrkim czy Andrzejem obciętym na Mickiewicza, i wreszcie perełkę – swojego pierwszego „Vogue'a”, którego podarował jej wuj August. Numer marcowy, ze zdjęciem Kate Moss na okładce. Wtedy po raz pierwszy uświadomiła sobie łączące je podobieństwo. Do tej pory sądziła raczej, że (dzięki pofarbowanym na kasztanowo lokom) przypomina Julię Roberts. Patrząc na modelkę, zrozumiała, że łączy je coś więcej niż makijaż czy fryzura. Gdyby tylko mniej się malować; okładkowa Kate miała twarz niemal sauté i jasne włosy zaczesane do tyłu w koński ogon. „Myślisz, że powinnam wrócić do

blond?” – zapytała wuja. „Myślisz, że dlatego wydawałem tyle pieniędzy na «Vogue’a»? Żeby zasugerować ci zmianę stylu?” – odparł na poły rozbawiony, na poły zirytowany. „Więc dlaczego?” – odważyła się zapytać wieczorem. „Potraktuj to jak szczepionkę przed wyjazdem do egzotycznego kraju” – rzucił.

– Spotkałam wczoraj starego kumpla – odezwała się, zerkając zza firan na zakorkowane Aleje. – Właściwie to znajomy wuja Augusta. Ja byłam na wylocie, Kevin poniekąd zajął moje miejsce przy stole.

„Każdego można zastąpić” – mawiał August, ale w zupełnie innych okolicznościach przyrody. Kiedy przed laty pytała o chłopaka, odpowiadał zdawkowo, że czasem wpada na darmową zupę. „Choć twierdzi, że na lekcje kultury, mały spryciarz”. Po przyjeździe do Warszawy przestała dopytywać. Może była zbyt skupiona na wrywaniu kawałka torcika dla siebie, a może chciała pokazać wujowi, że nie jest zazdrosna. Ma dystans do tego, z kim August spędza senne niedzielne popołudnia.

– Jest tam kto? – Brzytwa zastukała w fornirowany blat ławy.

– Dał mi numer telefonu – wróciła do opowieści Monique. – Poprzednim razem wspomniał o Auguście. Wpadliśmy na siebie w tramwaju, zamieniliśmy parę zdań w otwartych drzwiach. Kiedy napomknęłam, że idę do wuja, Kevin rzucił: „Przykra sprawa”.

Jest rozczarowany, że nici ze spotkania, myślała wtedy. Pępek wszechświata! Zawsze w centrum cudzej uwagi.

– Kevin musiał wiedzieć o śmierci Augusta – ciągnęła. – Tak, zadzwonię, jak tylko znajdę karteluszek z jego numerem.

Co może okazać się trudne; w jej kieszeniach nazbierało się papierków. Skasowane bilety, złotka po czekoladkach, chusteczki, istny śmietnik jak całe jej życie.

– Może ja sprawdzę? – zaofiarowała się Brzytwa. – A ty idź do łazienki zrobić się na bóstwo.

Już je przypomina z tą zarzuconą na głowę kapą art déco. Matka Boska od siedmiu boleści. Ale czego oczekiwać u progu czterdziestki i po przepłakany

poranku? Że będzie wyglądać niczym Afrodyta? Lepiej raczej nie będzie, stwierdziła, gapiąc się w lustro. Kończyła tuszować rzęsy, kiedy rozdzwonił się telefon. „Czuj, czuj, czuwaj”. Nie wybiegła z łazienki, by go odebrać. Bo i co takiego mogłaby usłyszeć od Konrada? Że tęskni? Że wróci wcześniej? Że zaprasza ją do rodziców na Wielkanoc? Niemożliwe; nadal nie pogodzili się z rozwodem jedyne go syna i wciąż trzymają jego ślubne zdjęcie na telewizorze. „Oprawione w złociste ramki – wyjawiał Konrad, by zaraz dodać: – To ludzie starej daty. Bardzo poważnie traktują wszelkie umowy. Nawet cywilne”. Nie ma więc szans, by uznali Monique za członka rodziny. Jakby kiedykolwiek o tym marzyła: wpasować się w cudzy wzorek. Wystarczy jej rodzinna makatka z Bukowiny. Oczywiście ta stara, dziergana jeszcze z dziadkami. Kiedy Monique wyciąga ją od święta z archiwum pamięci, uśmiecha się zażenowana i jednocześnie tęskni, nawet za cierpkim zapachem oscypków. Że też nie da się cofnąć czasu. Można tylko poudawać, westchnęła, wklepując w powieki korektor przeciwzmarszczkowy. Choć tyle. Wyszczrzyła się do lustra i wyszła z łazienki.

– Dzwonił twój facet.

– W zasadzie narzeczony.

Po cholere mówią takie rzeczy! Żeby pokazać, że nie jest ostatnia? Że ma kogoś, i to z telewizji? Akurat na Brzytwie robi to wrażenie. W mieszkaniu nie trzyma nawet radia.

– Prosił, żebyś oddzwoniła, jak najszybciej – rzuciła zajęta krojeniem czerstwego chleba, który został Monique jeszcze z niedzieli.

– Jak brzmiał?

– Jak kaznodzieja, który pragnie przekazać Dobrą Nowinę.

– W liceum był harcerzem.

Brzytwa lekko się skrzywiła.

– Drużynowi – mruknęła do siebie. – Ludzie tysiąca zasad. Zajębiści niczym jarmużowe smoothie.

Jeszcze wczoraj rano Monique próbowałaby ją ciągnąć za język, ale dziś ma wylane. Tak by to określiły jej dawne koleżanki ze śniadaniówki. „Mam wylane” –

oznajmiały, patrząc zobojętniałym wzrokiem na byłego męża w objęciach modnej celebrytki. Monique gratulowała im dystansu, po cichu zazdrozcząc dobrego psychiatry. Dziś już wie, że nie było czego: zazdrościć ani gratulować.

– Zadzwonisz? – usłyszała.

– Nie jestem w nastroju. Wysłuchiwanie dobrej nowiny po tym, co się stało...

– Myślałam o Kevinie! – sprostowała Brzytwa, piłując nożem grubaśną kromkę. – Twoje rozmowy z osobistym zastępowym, w zasadzie narzeczonym, niezbyt mnie obchodzą.

Kiedy ktoś trafi w punkt, jej młodszy koledzy styliści odburkują: „Spadów foch”, ale Monique nie potrafi ostentacyjnie się obrażać. Zwykle w takich chwilach kpi z samej siebie. „Cała ja – oznajmia, trzepiąc rzęsami. – Roztargniona, wygodnicka, ogólnie krejzi”. Czasem dorzuca anegdotkę, w której wychodzi na głupiego Jasia z bajki, co to fuksem zdobył pękaty garniec złota. Ale dziś nie ma ochoty na żadne wygłupy.

– Znalazłaś numer telefonu?

– W twoim wypchanym portfelu. Tylu kart członkowskich nie widziałam nawet u burmistrza Rabki. Naprawdę z nich korzystasz?

Monique pokręciła głową. Więc po co, u licha, je gromadzi? Żeby mieć złudzenie przynależności do klubu? Budować więź z marką? Co to właściwie znaczy? Świąteczne życzenia i prezenty, za które sama sobie płaci?

– Może ja pokroję – zaproponowała, starając się nie patrzeć na dłoń Brzytwy. Bezskutecznie. Przykurczone palce przyciągały wzrok niczym żalosne fiutki na plaży nudystów.

– Spoko, dam radę – odparła Brzytwa. – Lepiej w tym czasie zadzwoń.

– Gdzie ten numer? – poddała się Monique.

Brzytwa bez słowa przesunęła karteczkę w jej kierunku.

– Nie musisz – rzuciła.

No jasne, żadnej presji.

– Chcę – odparła Monique.

Po prawdzie wcale nie ma ochoty rozmawiać z kimkolwiek poza wujem, ale tej

rozmowy już nie odbędzie. Już nigdy, przenigdy do niego nie zadzwoni. A gdyby tak spróbować? Raz jeden, ostatni... Drżącym kciukiem wybrała numer Augusta, czekając na znajomy komunikat. „Abonent poza zasięgiem”. Nagle w słuchawce rozległo się kliknięcie.

– Jezus Maria – wyszeptała, przyciskając dłoń do dudniącego serca.

– Na ogół wystarczy „dzień dobry”, ale tak też nieźle brzmi.

Ten wesołkowaty głos już gdzieś słyszała. Całkiem niedawno. Wczoraj?

– Kevin?!

– Więc sobie mnie przypomniłaś! Bo ja ciebie od razu, tam, na Krakowskiej. Nic a nic się nie zmieniłaś!

Akurat! Tamtej odległej wiosny Monique miała diastemę (zwaną swojsko furtką), makijaż wampirzycy, a na głowie burzę loków ufarbowanych basmą, nie miała za to czterdziestki na karku, licówek na zębach ani paryskiego stylu.

– Fajnie, że dzwonicz – podjął. – Co prawda nie na mój numer, ale człowiek nie powinien zanadto grymasić.

– Skąd masz telefon Augusta? – wykrztusiła wreszcie.

– Zabrałem po jego śmierci. Wiem, co sobie teraz myślisz. Że poszedłem w ślady starego. Ale ja działałem legalnie.

August wspomniał kiedyś, że Kevin miał pod górkę już na starcie. „Wybrał niewłaściwego bociana” – wyjawiał innym razem, dodając, że z dzieciństwa spędzonego w melinie trudno wyrosnąć.

– W sumie nieważne, jak przejąłeś telefon.

– Właśnie ważne. Musisz wiedzieć, że nie jestem Gawędą seniorem. Przeszedłem długą drogę, by się uwolnić od rodzinnej legendy, dlatego...

– Wierzę – weszła mu w słowo. – Jak to się stało, że dziś odebrałeś? Dzwoniłam od tygodnia i ciągle włączał się automat.

– Wreszcie naładowałem baterię. Powinienem zgłosić u operatora, że abonent nie żyje, ale Piotruś, znaczy Pierre, nadal liczy, że zadzwonią jacyś znajomi. Na pogrzebie było ich tak niewielu.

– Znasz się z Pierre'em? Byliście na pogrzebie Augusta? Wiesz, gdzie go

pochowano?! – zasypała Kevina pytaniami.

– Jestem pełnomocnikiem Pierre’a i jego dawnym sąsiadem, zlecił mi, żebym zajął się imprezą.

Nazywać tak pochówek? Dosyć dziwne. Kevin zrozumiał jej milczenie, bo zaraz zapewnił, że wszystko odbyło się jak należy.

– Wieńce jak młyńskie koła, grajek z trąbką, wzruszony ksiądz proboszcz. Słowem: rozmach. Choć ja na miejscu Pierre’a... – Odchrząknął. – Opowiem ci wszystko, kiedy się spotkamy, bo przez telefon to trochę ryzykowne. Niby nie nagrywają, a potem nagle wychodzą jakieś taśmy. W każdym razie Pierre nie żałował grosza.

Cóż, nigdy nie był chytry, przyznała uczciwie Monique, tyle że nie miał z czego nalewać. Bo z pustego nie potrafi nawet Salomon, a co dopiero nieśmiały doktor historii sztuki.

1994

– Paszporty wydane, zaliczka na wycieczkę z Orbisu wpłacona, i nagle na rozprawie Halina oznajmiła, że chce rozwodu z orzeczeniem o winie. August od razu się zgodził, ale wiesz, jakie są nasze sądy. – Pierre umilkł. – Więc pojechałem sam. Może i dobrze się stało. Kto wie, jak August zniósłby utratę złudzeń.

Monique milczała, mozolnie pokonując kolejne piętra. Jeszcze jesienią skakała z radości na samą myśl, że zamieszka na trzecim piętrze. Teraz czeka ją piąte, poddasze z widokiem na zachód. Postęp? Więc dlaczego się nie cieszy? Bo jest zbyt niewyspana czy raczej znużona podróżą? Autokar do Paryża przetrzymano na granicy, przetrzepując dokładnie bagaże wścazy niespełniających unijnych standardów. Celnicy skonfiskowali parę kartonów papierosów i metrowe pęto wiejskiej kiełbasy (resztę wędlin zjedzono w pośpiechu tuż przed kontrolą), na koniec spryskali koła autokaru płynem dezynfekującym i łaskawie pozwolili jechać dalej. Kierowca próbował nadrobić opóźnienie, ale i tak przyjechali na Place de la Concorde parę godzin po czasie. Monique wysiadła jako ostatnia. Stała między torbami, poprawiła zmierzwiłone włosy i wreszcie narzuciła na ramiona płaszczyk od

wuja. Po nim Pierre ma ją poznać, tak ustalili z Augustem. Podbiegł natychmiast: wysoki facet w niemodnych okularach. Ściskając jego spracowaną dłoń, pomyślała, że tak mógłby wyglądać Yves Saint Laurent, gdyby zamiast haute couture zajął się badaniem średniowiecznych fresków w prowincjonalnych klasztorach i raczej nie odniósł spektakularnych sukcesów. Obrzucił ją zatroskanym spojrzeniem, wreszcie zamówił taksówkę. Usiadła z tyłu, zbyt znużona, by podziwiać mijane po drodze zabytki. Gdyby miała jakikolwiek wybór, wołałaby się gapić na trawiastozielone, aksamitne zasłony w salonie wuja. Ale skoro August wysłał ją w szeroki świat, ona musi trzymać fason...

– No to jesteście. – Pierre otworzył szeroko drzwi i puścił ją przodem.

Owionęło ją gorące powietrze. Jak w szklarni ciotki Haliny, pomyślała, wpatrzona w puste, dawno niemalowane ściany. Zerknęła na przydeptaną podłogę ze zwykłych klepek. Zdejmować buty?

– W żadnym razie – uprzedził jej pytanie. – Czuj się jak w domu Augusta.

– Nie będzie łatwo – odparła niby żartem. Zrozumiał to po swojemu.

– Zdaję sobie sprawę. – Przytaknął tak bolesnym głosem, że Monique poczuła jeszcze większą tęsknotę za tamtym mieszkaniem, które zostawiła w Krakowie. Ale ani przez moment nie pomyślała, że mogłaby wrócić, nawet jeśli obiecywali sobie z wujem, że razem spędzą sylwestra.

– Woda. Gazowana. – Pierre wskazał syfon, jakiego nie widywała już nigdzie, nawet w garażu ojca. Syfony odeszły w zapomnienie razem z saturatorami i magnetofonem Grundig.

Ciekawe, gdzie napełnia naboje, zastanawiała się Monique, siadając na cepeliowskim zydelku. Skąd Pierre wziął ceratę w rumianki? Podobna płowiała na stole w altanie dziadków. Tę z kuchni letniej wyrzuciła ciotka Halina nazajutrz po pogrzebie babci.

– Łazienka jest naprzeciw – przypomniał sobie nagle. – Odłożyłem czysty ręcznik na pralce.

Monique wstała niczym automat. Tego właśnie jej trzeba: zimnej wody oraz odrobiny samotności, żeby choć na chwilę zapomnieć o salonie Pierre'a. Bywała już

w dziwniejszych wnętrzach, ale czegoś takiego nie widziała od czasów zerówki. Jakby ktoś przeniósł ją wehikułem czasu do wczesnych lat osiemdziesiątych. Niby powinna poczuć roztkliwienie, ale wpatrzona w lakierowaną ławę przykrytą góralskim kilimem czuła wyłącznie rezygnację.

Kiedy wróciła odświeżona do kuchni, Pierre właśnie otwierał wino. Bez pytania napełnił dwa kieliszki i przesunął jeden w jej kierunku. Stuknęli się w milczeniu. Toast nie ma sensu, stwierdziła Monique, pijąc do dna. Niczym samogon, przemknęło jej przez głowę.

– August byłby wstrząśnięty – zachichotała.

– Ale nie zmieszany – podchwycił Pierre i równie szybko opróżnił swój kieliszek. Rozlał kolejne. Kiedy dopili całą butelkę, rozsiadł się wygodniej na krześle i rzucił. – Teraz już wiesz, dlaczego nie mogłem go zaprosić.

Żadne z nich nie użyło słowa „bieda”.

– Myśli, że Zachód uderzył ci do głowy. Że zapomniałeś o starym kraju i... – o nim, który wciąż czeka, udając, że ma to w nosie.

– Może lepiej tak, niż miałyby mnie uważać za dziada – westchnął. – Nie wiem, jak by to przeżył.

Nie zapytała, czy kiedykolwiek zaprosi wuja. Bo w gruncie rzeczy znała odpowiedź.

*

Znowu wdrapywały się na wyślizgane schody. Od Annasza do Kajfasza. Ileż jeszcze takich wycieczek i po co?, zastanawiała się Monique. Nagle stanął jej przed oczyma łaciaty wypłosz z żałośnie cienkim ogonkiem. Tak go zapamiętała: przestraszonego bidusia o wąskim pyszczku sfinksa i miodowych oczach, które mrużył z powodu fleszy. Nie uciekał z jej kolan; podano mu „pacyfikatory”, by nie przeszkadzał w czasie pięciu minut swojej wątpliwej sławy. Jak wygląda dzisiaj? Czy jeszcze żyje? Co komu przyjdzie z takich pytań, mruknęła wpatrzona w wytartą kłamkę. Brzytwa zapukała kilka razy, za każdym coraz mocniej, wreszcie pociągnęła Monique za rękaw. Usiadły na schodach, czekając na rozwój wydarzeń. Po minucie

w zamku zazgrzytał klucz.

– Panie w jakiej sprawie?

– Jestem kuzynką pana Nocnego. Rozmawialiśmy niedawno – próbowała przypomnieć Monique.

– Mam już garnki, dziękuję. Byłam na takim spotkaniu dla emerytek, z darmowym kabaretem. Pojawił się nawet pan Kiepski, chwilę pożartował i zaraz pokazał nam wspaniałe rzeczy z nierdzewnej stali. Jak o nich mówił, jak je zachwalał! Boziuniu, cóż to za aktor! – westchnęła staruszka. – Własną matkę umiałby sprzedać i odkupić za pół ceny, zanimby się nieboraczka domyśliła. Zupełnie jak Gruda z góry.

– My nie chcemy niczego wciskać – wtrąciła się do rozmowy Brzytwa. – Żadnej akwizycji.

– Dzięki Bogu! Ten komplet będę spłacać do dziewięćdziesiątki. Obym tylko dożyła, bo wstyd wnukom zostawiać takie obciążenie.

Wstydzi się, jak zwykle, nie ten, który powinien, westchnęła Monique. Ciekawe, czy garnki dotrwią do końca spłaty.

– Więc panie mówią, że o co się rozchodzi?

– Chcemy tylko porozmawiać o Augustcie i jego kotce Zuzi. Choćby przez drzwi – dodała szybko Brzytwa.

Podziałało. Staruszka wreszcie odhaczyła łańcuszek.

– Tyle tych zboczeńców się włóczy – tłumaczyła, szurając zniszczonymi kapciami. – Każdy chce zamienić tylko kilka słów, a potem rodzina znajduje w tapczanie krwawą miazgę. Panie pewnie słyszały o tym potworze, co własnego ojca ze skóry obdarł, uszył sobie maskę i tak paradował po klubach. Ja wszystko rozumiem, niejednemu chłopu by się należało, za to, co wyczynia przy sobocie po robocie. Ale co innego fantazjować, a co innego tak z nożem na rodzinę. Ojciec to ojciec.

Rosyjski Buffalo Bill, studiował w Polsce medycynę, August opowiadał o nim Monique, podekscytowany, że w grodzie smoka wreszcie się dzieje.

– August umarł w progu i tam znaleźli go sąsiedzi? – Brzytwa przejęła głos.

– Że jak? – Staruszka nadstawiła ucha.

– Umarł w progu!

– Wrócił skądś, drzwi otworzył i wtedy, pani kochana, jak krzyknął. Na całą kamienicę! Mnie aż krew ścięło w żyłach. Różne rzeczy słyszałam, bo i bomby, i strzelaninę, ale czegoś takiego... – Pokręciła głową. – No a potem dopiero się zaczęło. Ci, wie pani skąd – zniżyła głos – niczego nie uszanowali. Wynosili wiadrami i buch do kosza. Papiery to tak latały w powietrzu. Jak spłoszone gołębie!

– Podobno w mieszkaniu nie było rzeczy – zdziwiła się Monique. – Wuj wyprzedał...

Staruszka tylko pokręciła głową.

– Biedak jeszcze nie ostygł w grobie, a ci z Versalu od razu do środka. Jak w wojnę – przypomniała sobie nagle. – Szarańcza nie ludzie. Ile kobiet zmarnowali, ile dzieciaków natłukli...

– Straszne czasy – zgodziła się Brzytwa.

Lekko musnęła przedramienia staruszki. Ta natychmiast cofnęła rękę jak oparzona. August reagował identycznie. Nie znosił czułych gestów, cmoknięć w policzek, poufałego poklepywania, nawet koleżeńskiego uścisku dłoni. Raz, na samym początku wspólnego mieszkania, Monique lekko dotknęła go po ramieniu. Drgnął tak, że o mało nie wylał kawy, która stygła na oparciu fotela. Kiedy odzyskał równowagę i dystans, wyjaśnił Monique, że trącają się tylko krowy w oborze. „Nie mają, biedaczki, wyboru, podobnie jak ludzie w zapchanym pekaesie, ale cywilizowani mieszkańcy...” – nie musiał kończyć, zrozumiała: żadnych głasków. Wuj nie lubił nawet, gdy siadała obok niego na parkowej ławce, od razu przesuwiał się na drugi kraniec. Zupełnie inaczej niż ojciec Monique. Zadowolony sadowił się na wersalce i rozkładał łapska niczym ukrzyżowany Jezus. Nie zrażało go, że siedzący obok ludzie próbują odzyskać dystans, wręcz przeciwnie. Lubiał wbijać się w przestrzeń innych, stawać im na drodze, trącać i poklepywać, a po wódce – obłapiać wszystkie kuzynki. Człowiek ośmiornica, mawiano ze śmiechem. Monique zupełnie się w niego nie wdała. Nigdy nie siada na środku kanapy i zawsze trzyma ręce przy sobie.

– Kiedyś wspomniała pani o zdjęciu kotka – wtrąciła się do rozmowy.

– Kto takie rzeczy rozpowiada? – przestraszyła się nagle staruszka. – Wszystkich już podsłuchują, strach wychodzić na klatkę.

– Koleżance się przyśniło – uspokoiła ją Brzytwa. – August przekazał, że ocaliła pani jakieś zdjęcie. Kotki Zuzi?

– Naprawdę? To taki dobry człowiek. Niełatwy, wiadomo, ale co łatwe, to po diable – zaśmiała się, natychmiast poważniejąc. Jakby coś jej nie pasowało.

– Możemy je zobaczyć?

– Ale co?

– To zdjęcie, o którym wspominał.

– Mogę więcej – oznajmiła tajemniczym głosem.

Wyszła z pokoju. Przez chwilę nasłuchiwały, jak krząta się po kuchni. Wreszcie przydreptała, dzierżąc w drżących dłoniach kasetkę. Wyjęła zdjęcie wielkości pocztówki i wręczyła je Brzytwie.

– August z Zuzią, nierozłączni jak Pat i Pataszon.

Monique zerknęła. Żandarm, istny żandarm, dumny i blady, jakby przed chwilą otrzymał cenny puchar. A jej się zdawało, że jest zły o przeciągające się „tymczasem”. Że chętnie oddałby kota, tak jak zrobiła to ona...

– Mam też świadectwo szkolne – pochwaliła się staruszka, pokazując Monique przyżółkły papierek.

Bez czerwonego paska. Trójka z wuefu, mogła się tego domyślić.

– I wreszcie zdjęcie ze świętym mikołajem. Tyle się udało zebrać. Reszta zamokła od deszczu albo Gruda zasikał, bo leje gdzie popadnie. Już żadnego opamiętania nie ma, odkąd zabrakło pana Augusta. Gdybym nie czekała do wieczora – westchnęła staruszka. – Ale trochu wstyd było tak grzebać za dnia w cudzej historii. Zdjęcia wybierać. Więc odczekałam, aż się ściemniło, i wzięłam, co suche, jeszcze nie zdeptane. Poza pamiątką Pierwszej Komunii. Jest ślad buta, ale wstyd było zostawiać, żeby niszczało między obierkami...

Monique nie słuchała, wpatrzona w przedszkolne zdjęcie wuja z mikołajem, oficjalnie przemianowanym na Dziadka Mroza. Reszta atrybutów pozostała

niezmieniona: zakręcona biskupia laska (w tej roli kij od miotły spryskany złotozolem), śnieżnobiała broda, na którą zeszło niejedno opakowanie waty, i kardynałka złożona z cienkiej tektury. Mikołaj jak Mikołaj, szalu większego nie ma, oceniła, za to August... patykowate nogi w grubych rajtuzach, jasne loczki szczesane na bok, fikuśne wdzianko w drobną kratkę, dziewczęce brewki. Istny genderowy aniołek, gdyby nie mina. Chłopczyk na zdjęciu nie był obrażony ani przejęty obecnością groźnego brodacza. Był ponad. Królowa Tatr, pomyślała Monique. Mocno przygryzła paznokcieć kciuka. Zabolalo, i o to chodzi. Nie wypada się rozklejać w gościach.

– Więc tamtego dnia August wyszedł sam, a Zuzia została w domu? – dobiegł ją głos Brzytwy.

Staruszka przez chwilę międlila protezą policzek, strzelając oczyma na boki. Wreszcie się przemogła i oznajmiła:

– Jej tam wcale nie było.

*

Po drodze minęły sporą barkę z basenem na pokładzie.

– Możecie tu latem popływać, fajnie – zauważyła Monique bezbarwnym głosem.

– Na sucho? – parsknęła Brzytwa. – Chyba po halucynogenach. Basen od lat stoi pusty. Tak zwany projekt „Plaża” dofinansowany z funduszy unijnych.

Może urzędnicy uznali, że wystarczy wody: w Wiśle. A może zabrakło płynności gdzie indziej. „Nie przenoście nam stolicy do Krakowa, mamy tu wszystko – rozsierdził się August. – Mamy cwaniaków, partaczy, chamów, złodziei i głupotę, która aż boli”. Nienawidził tej piosenki, przedrzeźniał wykonawców, fałszując bardziej niż żandarm Cruchot udający zakonnicę z chóru. Szydził z tekstu, wyśmiewał każde zdanie, poza jednym wyjątkiem. „I odmiennym jakby rytmem u nas ludziom bije serce”. Monique nigdy nie zaciekawilo, dlaczego ten właśnie kawałek wuj pomija milczeniem. Może nawet do niej nie dotarło, aż do teraz. Głucha, głucha i ślepa, wyrzuciła ze złością. Tylko tyle może: wściekać się na siebie. Lepsze to, niż popłakiwać w kącie. „Złość to znakomity napęd do działania –

przekonywał swoją publiczność Konrad. – Trzeba tylko wiedzieć, jak ją zamienić na pierwszorzędne paliwo. A zatem na początek, moje drogie...” – Monique wyłączyła telewizor, bo nagle do niej dotarło, że Konrad odwiedza jej mieszkanie tylko w takiej, jakby to ująć, postaci. Kiedyś nie wychodził z jej orientalnego łoża, nie przeszkadzały mu nawet złociste poduchy, a dziś nie wychodzi z ekranu. Rutyna lub, jak kto woli, mała stabilizacja. Rozległa się znajoma melodyjka.

– O wilku mowa – szepnęła do siebie, odbierając po piątym sygnale.

– Słońce, miałaś zaraz zadzwonić. Chyba że koleżanka zapomniała przekazać.

– Przekazała od razu, tylko że...

I co miałyby powiedzieć Konradowi. Że jest ostatnią osobą, z którą chciałyby rozmawiać? „Szczerość rozwaliła niejednen związek” – powtarzała jej matka, zaraz wytykając ojcu, że znowu zapuścił brzuch.

– Bardzo miła osoba – rzucił uprzejmie. – Nie przejmuje się formami.

– Jest anarchistką – zmyśliła na poczekaniu Monique.

Ludzie burzący porządek świata budzili niepokój Konrada. Uważał, że wszelkie zmiany należy wprowadzać stopniowo, malusieńkimi kroczkami. Wtedy nikogo nie bola.

– Dzwonię w ważnej sprawie – zignorował jej prowokację i nieproszony rozwinął temat. – W stacji trochę się dzieje. Nowi właściciele przyjrzeni się ramówce, poleciało parę nazwisk – zniżył głos. – Zrobiło się miejsce...

Więc swoją szansę dostaną panny znane wyłącznie z kręcenia lodów. Może do łask wróci pogodynka, która wypadła z obiegu przez głupi żarcik o niskich facetach w wielkich terenówkach. Wszystko wróci do normy, pomyślała Monique bez żalu.

– A ty? – okazała stosowne zainteresowanie.

– Nic mi nie grozi. Oglądalność rośnie, na Pudelku jeszcze się nie czepiają. Inna sprawa, że nie daję im powodów.

Człowiek bez skazy, pomyślała. Nie pije, nie pali, nie słodzi herbaty.

– Ale to jeszcze nie wszystko – ekscytował się Konrad. – Otóż, wyobraź sobie, przewietrzono szuflady i znaleziono projekty złożone kilka lat temu. Uznano, że twój ma największy potencjał, i chcą nakręcić...

– Który projekt?

Złożyła z dziesięć różnych, każdy napisany pod wpływem tak zwanej weny, zaraz po imprezie firmowej.

– Ten o minimalizmie.

Kiedy o nim pisała cztery lata temu, temat był zupełnie obcy dyrekcji. „Zachęcać ludzi, żeby wyzbywali się rzeczy, zamiast je kupować? To się nie sprzeda!” – oznajmił na wstępie programowy, a jego sekretarka przytaknęła zbyt skwapliwie, dodając: „Jak tu zrobić lokowanie produktu?”. Nie pomogła argumentacja, że kiedy widzowie pozbędą się rzeczy, nabiorą apetytu na nowe. „To jak z dietą: zawsze nadchodzi czas obżarstwa”. Ale korporacyjni decydenci nigdy nie myślą tak długofalowo. Liczy się zysk tu i teraz. Projekt trafił więc do szuflady na czarną godzinę.

– Nie boją się już słowa „recykling”? – zdziwiła się Monique.

Poprzednim rządzącym kojarzył się z chodniczkiem krzywo wydzierganym z podartych pończoch. Kryzysowa partanina.

– Znaleźli nawet product placement. Środki czystości. Te wszystkie zakamarki w garderobach trzeba porządnie wyszorować.

– Brawo – odparła. Gdyby nie telefon trzymany w dłoni, chętnie dorzuciłaby oklaski.

– W piątek chcą cię zaprosić na rozmowę i po świętach miałabyś zdjęcia próbne. Będą dzwonić, ale chciałem być pierwszy. Kochanie, zawsze ci powtarzałem, że masz potencjał. Ogromny. Trzeba tylko wytrwale walczyć.

Walka nie jest tu potrzebna. Wystarczy, że ktoś przewietrzy szuflady, pomyślała Monique.

– Chciałem zapytać, kiedy wrócisz do Warszawy. Powinnaś jak najprędzej. Choćby dzisiaj.

– Może być trudno. Ten wujek, do którego...

– Nie będzie cię chyba zatrzymywał w obliczu takiej okazji! – przerwał jej Konrad.

– Nie będzie, bo umarł.

W słuchawce zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Strasznie współczuję – podjął zmienionym głosem. – To takie okropne stracić członka rodziny.

Drużynowy i w dodatku aktor, pomyślała nagle. W obu rolach znakomity.

– Powiedz mi, kochanie, jak się teraz czujesz?

– Wprost, kurwa, wspaniale!

Cisnęła telefon do torby, by zaraz go wyjąć, bo przyszedł esemes:

– „Wiem, jak ci trudno, ale nie marnuj TAKIEJ szansy” – przeczytała na głos. – Tylko nie pytaj, dlaczego z nim jestem. I dlaczego nazywam go narzeczonym.

Też tego nie wiem, uświadomiła sobie z przykrością. Jakby po wizycie w Versalu wszystko straciło sens. Nie, nie nazwałaby tego żałobą, w jej wypasionym słowniku nie ma takiego terminu.

– Już nie zadaję podobnych pytań, za dużo się naoglądałam badziewia. – Brzytwa uśmiechnęła się do siebie. – Gdybyśmy kochali tylko tych koleśków, którzy na to zasługują...

Miłość, prychnęła Monique, nie ma z tym wiele wspólnego. Owszem, na początku pojawiło się zauroczenie, a nawet coś jeszcze: kojące poczucie bezpieczeństwa. Konrad wydawał się inny od mężczyzn, których spotykała w pracy. Przede wszystkim miał sprecyzowaną orientację. Miał też kręgosłup, którego tak brakowało jej poprzednim facetom. Na ogół dopasowywali zasady do czynów, Konrad robił odwrotnie: starał się żyć zgodnie z zasadami. Już podczas terapii uznała, że to porządny człowiek. Uczciwy, niezbyt zabawny, nieśmiały i absolutnie zagubiony, również w kwestii mody. Takich właśnie lubiła, showmani w modnych ciuchach zwykle ją drażnili (pomijając krótki czas fascynacji Michael'em Hutchence'em). Dwa lata temu włączyła telewizor i ze zdziwieniem odkryła, że jest w związku z wypindrzoną showmanem. Kiedy nastąpiła przemiana, tego Monique nie umiałyby określić.

– Dobra ta nowina? – zainteresowała się Brzytwa.

– Chcą mnie zaprosić na rozmowy o moim starym nowym programie. Pokazywałabym ludziom, jak oczyścić przestrzeń ze wszystkiego, co zbędne. Jak

przerabiać niemodne gadżety na coś przydatnego albo komu je oddawać, by nie trafiły na wysypisko. Recykling, upcykling, minimalizm, a w tle – zrobiła znaczącą pauzę – lokowanie produktu. Środki czyszczące wiodącej marki.

– W telewizji nie ma pustych przebiegów.

Jakby Monique tego nie wiedziała. A jednak pomysł, by faszerować program reklamowym dziadostwem, nie poprawił jej nastroju. Podobnie jak świadomość, że nie ma innych opcji.

– Podobno mam się stawić w piątek. – Westchnęła. – Będą dzwonić dziś albo jutro.

Powinna się cieszyć. Kiedyś tak jej zależało, by wrócić do ramówki. Zyskałaby nowe klientki, lepiej płatne felietony na błyszczącym papierze, znowu zapraszano by ją na rozmaite bankiety. Byłoby jak dawniej. No, prawie...

– Co robimy? – dopytywała Brzytwa, przytupując z zimna. – Może podskoczysz ze mną w jedno miejsce? Rano dostałam zlecenie i... – zerknęła na swój elektroniczny zegarek.

Podobny Monique dostała na Pierwszą Komunię od ciotki Haliny. Co znaczy, że wuj też się dołożył, może nawet sam wybrał prezent. Czy przyjechał wtedy do Bukowiny? Zupełnie tego nie pamięta. Pamięta natomiast Wigilię, którą spędzili wszyscy razem. Jedyną, na którą August przyjechał z Krakowa. Potem odmawiał wizyt, wolał chwytać zachody słońca. Ciekawe, czy wreszcie mu się udało, i co znalazł sobie w zamian, rozmyślała Monique. Nagle dostrzegła minę Brzytwy.

– Chodźmy – zgodziła się od razu. – Dowiem się, gdzie pracujesz.

Bo Aleks nie wspominał, a i Monique zabrakło śmiałości, by drążyć temat. Co innego ciotka Halina, ta na dzień dobry pyta letników o stanowisko i wysokość pensji. Może dlatego nigdy nie wracają.

– To jedna z wielu fuch – oznajmiła Brzytwa, wygrzebując z przepastnej torby dwa złociste jabłka.

Większe wręczyła Monique. Chrupały wpatrzone w śmieci niesione przez rzekę. Augustowi udało się jeszcze załapać na kąpiele w Wiśle. Z roztkliwieniem wspominał piaskową plażę niedaleko Wawelu. Monique ledwie słuchała, popatrując

na *Śmiechu warte*. Cudze dzieciństwo zupełnie jej nie interesowało, za bardzo tkwiła jeszcze we własnym. Jednocześnie nigdy nie czuła się równie dorosła jak tamtej wiosny. Nawet w Paryżu, kiedy nie chcąc obciążać dłużej Pierre'a, zaczęła żyć na własny rachunek. Robiła niemal wszystko, począwszy od zmywania garów, a kończąc na pracy hostessy w ekskluzywnych klubach. Spełnione marzenia – nic nie smakuje równie gorzko.

– Daleko idziemy?

– To ten blok. – Brzytwa wskazała budynek za hotelem Forum. – Właścicielka woli określenie „apartamentowiec”. Chciałaby dostać za swoje pieniądze coś ekstra poza niskim sufitem.

– Będziesz tam sprzątać?

– Poniekąd – odparła Brzytwa.

Więc Monique mogłaby pomóc i na przykład równiutko poskładać ubrania. Nic tak nie koi zszarganych nerwów jak porządki w cudzej garderobie. Na samą myśl poczuła ożywienie. Te wszystkie półki i szuflady... dosyć wzniety, wydała sobie rozkaz.

– Mogę ci pomóc – rzuciła od niechcienia, kiedy znalazły się na klatce schodowej. – Szybciej zejdzie.

– To żadna robota. Zresztą zaraz zobaczysz.

Otworzyła solidne przeciwwłamaniowe drzwi. W progu przywitał ich naburmuszony rudy pers.

– Maurycy – przedstawiła. – Czeka ją samotne święta, dlatego mam zapewnić mu rozrywki.

Monique przyklękła i powoli zbliżyła dłoń do kota. Maurycy syknął ostrzegawczo, wpatrując się w nią agrestowymi oczyma.

– Wkurzony!

– Też byś była, siedząc godzinami w pustym mieszkaniu. Z nudów wylizuje sobie łapki, dlatego właśnie mnie zatrudniono.

– Żebyś dostarczyła mu wrażeń?

– Karmy wszelkiego rodzaju.

– Więc tak zarabiasz na życie?

– Robiąc za opiekunów, bo ci prawdziwi są zbyt zajęci ważnymi sprawami. Wyprowadzam buldożki hipsterów, żeby mogli pomedytować na leżakach. – Wskazała widok roztaczający się za oknem: kawałek bulwarów zagarniętych pod ogródek dla Forum Przestrzenie. – Karmię żółwie zagubionych, by w tym czasie mogli odnaleźć sens życia na vipassanie. Głaszczę króliki, których właściciele wybyli do aśramu Ammy, żeby wymienić z półżywą świętą uzdrawiające uściski. Czyszczę akwaria nurkom eksplorującym głębie swojej podświadomości i przy okazji ginące rafy. Da się z tego utrzymać – dorzuciła niepytana – ale wiary w człowieka nie przybywa.

– Vipassana. Konrad zaliczył coś takiego – przypomniało się Monique.

Dziesięć dni medytacji w ciszy. Nie wolno mu było używać telefonu, z nikim rozmawiać ani nawet porozumiewać się wzrokiem. „Cała uwaga ma być zwrócona do środka” – tłumaczył. Przez chwilę korciło ją, by zapytać, co to w nim zmieni. Ale nie chciała wyjść na zazdrośnicę.

– Jeśli lubisz zwierzaki, to chyba przyjemne zajęcie.

– Niekoniecznie, zwłaszcza kiedy widzisz, do kogo trafiły – rzuciła Maurycemu kauczukową piłeczkę z napisem „Happy kitty”.

– Przynajmniej ma jakiś komfort życia, a Zuzia wegetuje teraz nie wiadomo gdzie.

Mówi jak jej własny ojciec. Kiedy matka zaczynała narzekać, przypominał, że inni mają gorzej. Głodują gdzieś w Afryce, umierają na malarię, giną w fabrykach diamentów. „Więc jak? Mam się i nachapać za tych biedaczysków, którym nie starcza nawet kromki chleba?” – irytowała się matka. „Ty nie musisz, ale ja nabrałem apetytu” – odpowiadał i grzebał w chlebaku. Rozlegało się okropne trzeszczenie. „Znowu sucha bułka” – jęczała Monique. Nawet dziś na samo wspomnienie przechodzą ją ciarki, a jednocześnie tęskni.

– Nie myślałaś o własnym kocie? – spytała Brzytwę.

– Moje życie jest jednym wielkim tymczasem. Więc tymczasem ptaki. Nikt tak nie rozumie potrzeby wolności.

– Prowizorka, wieczna prowizorka – szepnęła do siebie Monique.

– A ty myślałaś o własnym kocie?

Niemal po każdej rozmowie z wujem. Czuła, że powinna rozwiązać problem, a jednocześnie nie jest gotowa na zmianę. Bo tak jak Brzytwa utkwiała w tymczasie. Że też niektórzy biorą ten stan za *carpe diem*. Nie ma nic radosnego w braku perspektyw.

– Trudno coś postanowić – odparła wreszcie – kiedy człowiek nie wie, co będzie robić za pół roku.

– W sobotę wspomniałaś, że piszesz do jakiegoś brukowca.

Nigdy więcej piwa z nieznaną, przysięgła sobie Monique, nerwowo skubiąc skórę przy serdecznym palcu. Brukowiec! Gazeta jak setki innych. Zresztą żadna praca nie hańbi. „Podobno – mrucał August, owijając manekin lycrą w odcieniu majtkowego różu. – A co nas nie zabije, to wzmocni lepiej niż żółtka z koniakiem. No jasne!”

– Powinna poszukać lepszego pisma – ciągnęła, unikając wzroku Brzytwy. – Ale jest taki kryzys w mediach, że ludzie walczą o byle okienko. Byle gdzie, byle wyjść na swoje.

Dlatego Monique trzyma się „Światowida”, póki ten płaci.

– Robiłam gorsze rzeczy, i to za darmo – odezwała się Brzytwa. – Zresztą zawsze możesz coś przemycić między wierszami. Wspomnieć o warunkach, w jakich tyrają chińskie szwaczki.

Monique zaśmiała się cicho.

– Wiesz, czemu kobiety kupują „Światowida”? Żeby choć na chwilę zapomnieć o tym gorszym ze światów. Dobrze go znają, tkwią w nim od urodzenia.

Kara bez winy, jak napisała jedna z czytelniczek, dziękując redakcji za szczyptę magii oraz porady, które nie opróżnią do reszty kieszeni. „Dzięki wam uwierzyłam, że można zbliżyć się do gwiazd bez zadłużania się w Providencie” – przeczytał zastępca naczelnej, zanosząc się gromkim rechotem.

– Zastanawiam się...

– Który świat zamieszkuje? – dokończyła Monique. – Też chciałabym wiedzieć.

Ostatnio ma wrażenie, że jest francuską łączniczką, która przywozi blokersom newsy z planety zamieszkaanej przez kastę ponowoczesnych braminów. Czasem wpadnie do willi jednego z uprzywilejowanych, by pocieszyć jego zdradzaną żonę i odświeżyć jej garderobę. Podaruje kilka złudzeń, wartych tyle samo co złudzenia sprzedawane biedakom.

– Chodziło mi o to, jak się dogadujesz z klientkami.

– Ach, klientki! – Monique odkaszlnęła, by ukryć zakłopotanie. – Na ogół same robią zakupy. Ja im tylko towarzyszę, służąc za namiastkę kochanka. Dźwigam torby i oceniam, w której kombinacji wypadły najseksowniej. Tego właśnie pragnę.

– Nie myślałaś o zmianie?

– A co mogłabym robić? Karmić cudze koty? Nie umiałam się zająć nawet własnym! – wybuchła Monique i zaraz wycofała się do kuchni.

Nikt nie będzie jej oglądać w tym stanie. Gdyby tylko dało się teleportować, najlepiej od razu do Warszawy. Pora wracać, tu nie ma już nic do roboty, orzekła, nerwowo otwierając kolejne szuflady. Wszędzie porządek. Wszystko równiutko ułożone, łyżeczki, widelce, noże. Zaraz, te same sztucce widziała już u wuja!

1994

– *Do sera? – Monique aż się wzdrygnęła.*

Od czasu zatrucia oscypkiem przeznaczonym dla turystów nie mogła patrzeć na żadne sery. Pleśniowe, twarde, nawet zwykły twarożek. Już sam zapach napawał ją wstrętem. Tłumaczyła to wujowi, niby przyjął do wiadomości, a teraz wyskakuje z nożykiem do sera.

– *Nie musisz używać – zaznaczył – ale warto wiedzieć, jak wygląda, żebyś nie pomyliła go z nożem do warzyw.*

Może jeszcze z widelczykiem do ciasta, obruszyła się Monique. W końcu niewielka różnica. To srebrne i tamto srebrne.

– *Oczywiście nic by się nie stało, gdybyś umiała z nich korzystać – podjął wuj. – Wojownicy tai-chi ćwiczą latami; nie po to przecież, by obcinać komuś głowy.*

– Sztuka dla sztuki.

– Najważniejsza ze sztuk.

– Na czym będziemy ją trenować? – spytała zrezygnowanym tonem.

Królewskim gestem wskazał łubiankę pełną ziemniaków. Bez słowa wybrała dwa największe.

– Podpowiesz mi, czym go obrać? Bo nie chcę znowu strzelić gafy.

Posłał jej spojrzenie Meduzy. Kiedyś by zadziałało, ale Monique już się przyzwyczaiła. W końcu ileż razy można kamienieć?

– Zupełnie cię nie rozumiem. – Westchnął z przesadą. – Chcę ci przekazać cenne...

– Porady na temat sztucców? – dokończyła zirytowana. – No tak, przydadzą się komuś, kto przybył z głębokiej prowincji, gdzie jada się brudnymi paluchami.

– W twoich rodzinnych stronach nadużywa się sztucców, szczególnie noża.

Monique też miałaby ochotę go nadużyć, wbijając go w krtań wuja aż po rękojęść. Ale jest zbyt dobrze wychowana, by chlapać krwią na jego dywan. Zwłaszcza że stąpały po nim nie lada nazwiska, jak jej wyjawiał ostatnio, cmokając z zachwytu. Cholerny snob!

– Ten snob – odezwał się nagle – może podzielić się wiedzą, która ci się przyda w najmniej spodziewanym momencie.

– Już widzę – sarknęła – jak za dziesięć lat na weselu brata żongluję widelcami, by odwrócić uwagę od pijanej orkiestry. Goście szaleją z zachwytu! Monika Fortuna show!

– Ciągle nie rozumiesz – pokręcił głową.

– To mi wyjaśnij! Proszę!

– Mamy fantastyczny czas przemian – zaczął, wypinając pierś niczym włoski premier.

Monique stłumiła ziewnięcie. Wuj nieraz cytował za „Gitem”, że dorobić może się każdy. Pieniądze leżą na ulicy, wystarczy się pochylić, zamiast ciągle zadzierać nosa.

– Śpiewać każdy może – podsumował, złośliwie uśmiechnięty. – Ale nie każdemu

się uda. Na scenę dopchają się nieliczni: cwaniacy bez słuchu, bez zasad i bez książek. Oczywiście z czasem wypracują własny kodeks; natura nie znosi próżni. Zamkną się w ciasnym kręgu podobnych „śpiewaków”, nazywając go elitarnym. Będą jadać w najdroższych restauracjach, często za nie swoje pieniądze, nauczą się rozróżniać wina po etykietach, wypełnią biblioteczki klasyką, której nigdy nie czytali, więc zatrudnią specjalistów, by im porobili streszczenia. Wymienią garderobę na lepszą, buty na markowe, ale nie pozbędą się słomy. Pewne braki trudno nadrobić. – Umilkł, szukając właściwego porównania. – To jak z łyżwami. Im później uczysz się jazdy, tym gorzej ci wychodzi.

Łyżwy? Słoma? Śpiewacy? Chyba się pogubiłam. Monique zerknęła na wuja. Odpowiedział zatroskanym spojrzeniem.

– Jeszcze możesz opanować jazdę figurową. Możesz sunąć po lodzie z wdziękiem motyla. – Zanim zdążyła zapytać, po co, August dodał: – Być może tyle ci kiedyś zostanie.

Czwartek

Co takiego mogłaby robić? Układać ubrania w sklepie? Nawet gdyby ktoś się zlitował i zatrudnił Monique na umowę śmieciową, zwariowałyby po tygodniu słuchania łomotu zwanego dubstepem. Zresztą, powiedzmy sobie szczerze, porządki w sieciówce są niczym pieczenie bułek na akord w Lidlu, a ona wolałaby komponować autorskie ciasta. „Co powiesz na własny blog modowy? – podsunął jej niedawno Konrad. – Potrafisz się ubierać i świetnie wypadasz na zdjęciach”. Tylko kto miałby je pstrykać? Monique nie stać nawet na obiektyw do portretów, a co dopiero na zatrudnienie profesjonalnego fotografa. Jest inne wyjście z impasu, przypomniała sobie nagle. Trafiła na ten kanał przypadkiem, pewnego zimowego wieczoru. W poszukiwaniu czasoumilacza odpalała filmik za filmikiem, każdy kolejny głupszy od poprzedniego. Wreszcie jedno z nagrań przykuło jej uwagę na tyle, że obejrzała je do końca. Bohaterka, Azjatka w nieokreślonym wieku, objadała się przed kamerą. Pochłaniała kolejne dania, stękając z rozkoszy. Nie padło ani jedno słowo. Food porn w najczystszej postaci, tyle dziś wystarczy, by przyciągnąć miliony widzów. Może nakręcić coś takiego we własnej kuchni?, rozmyślała gorączkowo Monique, wierząc się na ogromnym łożu Aleksa. Oczywiście na rynek azjatycki, gdzie sprzedają się nie takie gwiazdy. Zachwalają przereklamowane alkohole lub zegarki, więc dlaczego Monique miałaby się wstydzić swoich występów. Przecież nawet nie zdejmie bluzki. Będzie tylko żreć i wzdychać do kamery. A jeżeli ktoś ją rozpozna? Baba z kiosku lub klientki Konrada... w takim razie pozostaje czekać na telefon ze stacji.

Z ciężkim westchnięciem przekręciła się na drugi bok. Podobno w luksusowych warunkach łatwiej znieść ból istnienia, a tu proszę, uwiera nawet zbyt miękki jasiek.

Zirytowana usiadła, dopiero wtedy kątem oka dostrzegła czarno ubraną postać w fotelu pod dracena. Cholerna Brzytwa! Ktoś kiedyś dostanie przez nią zawału!

– Długo tak siedzisz? – wykrztusiła wreszcie.

– Nie sprawdzałam.

– Mogłaś się odezwać, że jesteś.

– Niby mogłam – zgodziła się Brzytwa. – Ale czasem ciężko się wbijać w cudze wspomnienia.

Monique próbuje od swoich uciekać. Wystarczy, że budzi się rano z bolesną świadomością, że już po wszystkim. Niczego nie naprawi.

– Kogo dziś dokarmiałaś? – zmieniła temat. – Żółwie? Gołębie? Renifery?

– Myślałam, że dla odmiany zajmę się człowiekiem. Owsianka czeka.

Koszmar jej dzieciństwa, obok nieświeżych oscypków i tłustej kwaśnicy. Ale w gościach nie wypada kręcić nosem, przypomniała sobie zasady, grzecznie siadając przy kuchennym stole. Ostrożnie zanurzyła łyżkę w stygnącej brei i nabrała odrobinę.

– To były sztuce Augusta – oznajmiła nagle Brzytwa. – Dzwoniłam wczoraj do Klimeckiej, tej babki od Maurycego. Przyznała, że August sprzedał jej kilka rzeczy. Za półdarmo. Podobno zależało mu na czasie, dlatego obniżył cenę.

Monique poczuła w gardle ogromną kluchę. A może to grudki z owsianki?

– Co z książkami? – bąknęła, gmerając łyżką w talerzu.

– August proponował jakieś albumy, ale Klimecka nie znosi kurzu, więc ograniczyła się do sreber. „Taka okazja – zaświergotała Brzytwa, naśladując afektowany głosik tamtej – Grzech nie skorzystać!”

– Wspaniale, że oparła się pokusie zgrzeszenia – mruknęła Monique.

– To nie koniec! Klimecka odwiedziła Augusta parę dni przed jego śmiercią. Chciała sprawdzić, co ma jeszcze do sprzedania. Więc wpadła po drodze z roboty. Bez uprzedzenia.

– Otworzył?

– Nawet zaprosił ją do środka i poczęstował zieloną herbatą. Klimecka od razu zwróciła uwagę na kota. „Prawdziwy oryginał, zupełnie jak pan Nocny. A jacy ze

sobą związani! Wyglądali niczym *Dama z łasiczką*". Tu westchnęła, by zaraz ponarzekać na oziębłość Maurycego.

Monique stłumiła ziewnięcie. Wysłuchiwanie opowieści o problemach nieznajomej baby, z którą łączy ją tylko sztucce wuja...

– To już wszystkie rewelacje? – Odsunęła talerz i wstała od stołu.

– Najlepsze zostawiam na deserek. – Brzytwa zatarła dłonie. – Klimecka nie dostrzegła w mieszkaniu niczego dziwnego. Ubyło książek i obrazów, ale poza tym po staremu. W salonie stały te same meble, które widziała jesienią, ten sam dywan, nawet telewizor, a na nim figurki Kuzniecowa. Chciała je odkupić, ale August odparł, że to już nieaktualne. Bo nastąpiły zmiany.

Zmiany. Jej też wspominał o prawdziwej rewolucji, która go czeka, po czym zaraz nabrał wody w usta.

– Co się dzieje, kiedy człowiek napotyka mur? Nabiera większej ochoty – odpowiedziała samej sobie Brzytwa, nie zważając na brak uwagi ze strony Monique. – Więc Klimecka oświadczyła, że da więcej. Przebija aktualną ofertę. Wtedy August wyjawiał, że nie ma żadnych kupców. „Nie ma i nie będzie” – dodał takim tonem, jakby wygrał na loterii trzy miliony. Na otarcie łez podarował Klimeckiej figurkę persa. Potem już się nie widzieli. Nie słyszała o jego śmierci. Kiedy jej powiedziała, spytała, czy wiem, komu zapisał majątek. Bo chciałaby pogadać o kupnie tych figurek. Ciągłe nie może o nich zapomnieć.

Testament? August raczej go nie sporządził. Ludzie zawsze z tym zwlekają, nawet tak przezorni jak jej babcia. Odsuwała spisanie ostatniej woli nie z lęku przed śmiercią; tę uważała za jedną z nielicznych rozrywek na starość. Seriale przestały cieszyć, czekolada zalegała na wątrobie, maciejka nie pachniała jak kiedyś, pogody nie dało się już przewidzieć, za to śmierć jak zawsze niezawodna. Dzięki śmierci Aniela Fortunowa znowu miała plany. Budowa rodzinnego grobowca (zwanego za jej plecami bunkrem), szykowanie ubrań i tak zwanej galanterii cmentarnej. „Lepiej w porę obstać samemu – powtarzała zdziwionej wnuczce – niż łobrocać się w trumnie, co niby miała być dymbowa, a jest z najtońszej sosny. Za to z testamentem nie ma co pondzić. Niech się dzieckci pokręcą. Te, które se zasłużą, weźmi cały dobytek”. Rok później umarła we śnie, nie zostawiając żadnego zapisu,

co najbardziej rozgoryczyło jej córkę Halinę.

– No i gdzie ten deserek? – odezwała się Monique, rozglądając się za e-papierosem.

– Mieszkanie. Nie było puste. Nie rozumiesz? Wuj wcale nie pozbył się rzeczy, jak nam wmawiano.

– Więc kto je zabrał?

– Musimy wrócić do Versalu i dopytać.

– Administracja? Znowu? – Monique aż się wzdrygnęła.

„Warto wracać do miejsc, które źle ci się kojarzą, po to, by je odczarować” – tłumaczył Konrad w programie *Kobiety przodem*: „Pytasz, jak to zrobić? Umów się z kimś fascynującym... – Lekko się uśmiechnął. – Wybierz kawiarnię, w której rozstałaś się z poprzednim gamoniem. Dobrze słyszysz. Tylko gamoń mógłby porzucić tak fantastyczną osobę” – przekonywał, patrząc prosto do kamery. Istny Kaszpirowski, pomyślała wtedy. Jakby zaglądał do wnętrza duszy. Dziś chętnie by go zapytała o miejsca takie jak cmentarze czy obskurne biura. Z kim powinna się umówić, by je odczarować?

– Ja będę mówić – uprzedziła Brzytwa. – wszystko już przygotowałam, nawet ciuchy.

– To znaczy?

– Skoro mam wyglądać jak pełnomocniczka spadkobierców... – Zadowolona poklepała się po kieszeniach zdobiących jej dresowe spodnie.

Pełnomocniczka? Raczej roztrzepana malarka, której zdarza się wycierać pędzle we własne ciuchy. Za to makijaż rzeczywiście jakby stonowany. Zamiast motylich cieni całkiem równo machnięte kreski, a na ustach bezbarwny błyszczek. Kok ukryto pod czapką Smerfetki, by nie budził zazdrości pudła. Ujdzie, oceniła wreszcie, choć z nich dwóch to Monique zdaje się bardziej wiarygodna. Pozory, prychnęła, sznurując modne trzewiki.

Na schodach natknęły się na panią Gienię. Na dzień dobry odpowiedziała spojrzeniem głodnego bazyliuszka. W takich chwilach Monique robi to, co zawsze: usiłuje rozbroić gada.

– Jak tam na polu? – zagaiła sztucznie radosnym tonem. – Bardzo zimno? Smog nie doskwiera?

– Jak komu. Paprocie podlane? Czy zapomniała?

Niech to szlag! Człowiek usiłuje być miły, choć nie ma ku temu powodów, a w zamian dostaje słownego kuksańca! Nie tak się konwersuje w starym Krakowie. Najpierw wypadałoby ponarzekać na powietrze lub wspomnieć o premierze w teatrze Słowackiego, nawet jeśli ostatnią sztukę zaliczyło się przed upadkiem komuny. Dopiero potem delikatnie podpytać o stan flory. Ale pani Gienia ma wylane na zasady.

– Można sprawdzić wilgotność – odparła chłodno Monique. – Klucze...

– Ja się po pokojach nie plątam, kiedy są goście! – obruszyła się tamta. – Ale zapytać muszę, bo żem odpowiedzialna za rośliny. Pani stąd wyjedzie.

Zawiesiła głos, czekając na konkrety.

– Pani pierwsza się dowie kiedy. – Monique skłoniła głowę i wyprostowana wyszła z kamienicy.

– Sąsiadka z naprzeciwka. – Znacząco wzniosła oczy ku niebu.

– Dobrze się znamy – zaśmiała się Brzytwa.

– Patrzyłyście na siebie jak obce.

– Zaliczyłyśmy parę pyskówek, wynik jeden do jednego, więc przeszłyśmy na tryb „ignoruj”.

– O co te pyskówki?

– Wkurzało mnie, że Alek daje się beczelnie opijać, a teraz nawet jestem wdzięczna. Co dwie wątroby to nie jedna.

Pomyśleć, że rolę zapasowego organu wzięła na siebie Monique. Już niedługo, powtórzyła. Brzytwa zdawała się myśleć o tym samym.

– Naprawdę chcesz jutro jechać?

– Właściwie powinnam dzisiaj. – Z niechęcią pomyślała o Darku.

Mogła odwołać ich spotkanie, ale od wtorku nie miała do tego głowy, a teraz... nie będzie przecież wydzwaniać przy Brzytwie. Może później, łudziła samą siebie. Jak już zaliczą wizytę w Versalu.

– Powinam – westchnęła – ale pojedę jutro.

– Dzwonili z telewizji? – zainteresowała się Brzytwa.

– Zawsze zwlekają do ostatniej chwili. Dzięki temu bardziej doceniasz ofertę.

Brzytwa posłała jej porozumiewawczy uśmiech. Jakby dobrze znała podobne gierki.

– Co zrobisz, jeśli program wypali? – rzuciła. Mijały właśnie zastawiony wycieczkowymi autokarami plac Napoleona.

– Wreszcie wybiję się z tego bagna.

W jakim kierunku – Monique wolałaby raczej nie drążyć tematu. Bo jeśli ma zaliczyć powtórkę z rozrywki... to się już nie powtórzy, orzekła, przyśpieszając kroku. Tamte imprezy przeszły do historii, podobnie jak tamte romanse. Wtedy nie żałowano na zabawę, kierując się starą dewizą mafiosów: szalejmy, bo jutra może nie być. Więc bawili się z fantazją godną *capo di tutti capi*, nawet jeśli zajmowali jedynie stołek menedżera w fabryce chińskich ręczników.

Co to były za melanże, westchnęła Monique, próbując nadażyć za Brzytwą. Zamawiało się taksówkę do Kazimierza Dolnego. Nie jakieś byle punto; po trzeciej kresce wymagania rosna, fantazja również. Życzyli sobie mercedesa retro, z kremową tapicerką, kierowcę w smokingu, czasem klezmerskiego skrzypka. Oczywiście za wszystko płacąc ekstra. Zrobieni na maksa, turlali się na kazimierzowski rynecek, żeby szukać dwóch księżyców z powieści Marii Kuncewiczowej. Zeszła na to niejedna premia, ale wrażenia niezapomniane. W połowie trasy czar pryskał i uczestnicy wycieczki zapominali o księżycach. Wyłazili półprzytomni z dziwnego auta, zastanawiając się, jaki był plan, co, u diabła, robią poza centrum i kto tak rzępoli na skrzypcach.

Potem przyszło nowe millenium, Polska wstąpiła do Unii, zrobiło się nowocześnie i nagle obudzili się z łapami w nie swoich nocnikach. Kac lub, jak kto woli, czas spłaty długów, wraz z odsetkami. Dlatego dzisiejsze imprezy wyglądają inaczej. Nawet nie chodzi o to, że VIP-owskie loże w modnym klubie zamieniono na domówki dla wtajemniczonych. Zmienił się klimat.

Latem, po kłótni z Konradem Monique dała się wyciągnąć Idze na party dla

swingersów. Nie kręciło jej kotłowanie się z przypadkowymi facetami, chciała tylko przekonać się, jak to wygląda. „Nie musimy dołączać do działań – uspokajała ją Iga, mierząc przed sklepowym lustrem mocno wycięte bikini. – Wystarczy, kochaniutka, że będziemy na właściwym miejscu. W naszej branży warto trzymać rękę na pulsie. To wzywam taksóweczkę, co?” Przed północą podjechały na miejsce akcji. W salonie znanego dziennikarza kłębiły się już nagie ciała. Monique omiotła je wzrokiem, udając, że ma dystans. Choć tak naprawdę była wstrząśnięta ilością intymnych szczegółów i znajomych twarzy. Zaraz podano jej szklankę brandy oraz ścieżkę dostępu i już po chwili trzymała rękę na pulsie. Po dwóch kreskach sytuacja wydała się całkiem zabawna, dopóki ktoś nie szarpnął Monique za włosy, rycząc prosto do ucha: „Mocniej, suko”. Nagle wszystko zyskało inny wymiar. Ci ludzie wcale się nie bawią, uświadomiła sobie. Chcą tylko wyżyć się na kimś przypadkowym, kto właśnie znalazł się pod ręką: na koleżance, hostessie, trenerze pływania. Sponiewierać, dokopać, spuścić z baku. Zmrożona tym odkryciem wymknęła się na taras, a stamtąd na przystanek autobusowy, by zamówić taryfę. Nikt, włącznie z Igą, nie zanotował jej zniknięcia. Może nawet nie zauważył, że przyszła.

– Pobudka! Zaraz wbijamy do Versalu. – Brzytwa pstryknęła jej palcami obok ucha. Zadziwiająco sprawnie, zważywszy na deformację.

„Jak się chce, panie kierowniku, można wytrenować wszystko. Nawet wątrobę – przekonywał ich na schodach Gruda. – Bo nie wiara góry przenosi, a żmudna, codzienna orka. Taki Stefan na przykład. Ten ślepy skrzypek, Cygan, co na Rynku przygrywa turystom. Smyczek trzyma jak moja babka nieboszczka łyżkę po udarze, a zasuwa nim po strunach, aż dusza człowieka boli!” „Lata pracy mogą zdziałać cuda” – zgodził się August. – Ale do pewnych rzeczy trzeba prawdziwego talentu. Stefan go ma. Pan również, tyle że w całkiem innej dziedzinie”.

– Wchodzimy! – powiedziała Brzytwa podniesionym głosem.

– Słyszę – odburknęła Monique. Z niechęcią wygładziła płaszcz. Jakby to ona miała udawać pełnomocniczkę.

– Nic nie musisz mówić – przypomniała jej Brzytwa, krzywiąc się zaraz. – Niestety nie obejdziesz się bez użycia „pani”.

– Masz z tym problem?

– Ja? Żadnego! To raczej inni się spinają, kiedy ich tykam. Gotowa?

By milczeć? Bułka z masłem, zapewniła Monique samą siebie, starając się nie pamiętać tych wszystkich sytuacji, kiedy zamiast przygryźć język, puszczała go samopas. Na szczęście było ich tyle, że żadna konkretna nie przyszła jej do głowy.

Brzytwa zastukała energicznie do drzwi i nie czekając na zaproszenie, nacisnęła klamkę.

Wkroczyły do sutereny, straszliwie zapuszczonej, czego Monique nie zauważyła poprzednim razem, zbyt przejęta własnym entré. Ale dziś dostrzegła każdy szczegół: smętne firanki, spękane ramy okien, żyrandol opatulony grubą warstwą kurzu, wyblakłe zdjęcie prawdziwego Wersalu zawieszony na ścianie, która prosiła się o łyk świeżej farby. Monique litościwie spuściła wzrok na zagracone biurko, by wśród papierzysk namierzyć imponującego pudła, dziś w odcieniu alpejskich fiołków. Strach pomyśleć, co kobieta wyczynia z włosami na Boże Narodzenie. Ozdabia je łańcuchem kolorowych żaróweczek? A w Nowy Rok odpala z czuba małe fajerwerki?

– Panie w sprawie?

– Reprezentuję spadkobierców Augusta Nocnego. – Brzytwa wskazała Monique. – Dlatego chciałabym dopytać o jego...

– Mówione było, że lokal nie należy się rodzinie lokatora – przerwała administratorka nie tyle aroganckim, ile raczej znużonym głosem. Jakby tłumaczyła tę kwestię przynajmniej dwa razy dziennie.

– Spadkobiercy, których reprezentuję, uczestniczą w podziale dóbr osobistych pana Nocnego. Mebli, obrazów, sreber oraz unikatowych albumów.

– Czemu z tym do mnie?

– Bo pani zleciła sprzątanie.

– Nie pamiętam, kto zlecał. Jest tyle pracy. – Ostentacyjnie przewróciła strony grubasnego dokumentu, by pokazać, że jest niezwykle zajęta.

– Pan Pałka pamięta. Taką informację nam przekazał.

Administratorka cmoknęła, jakby coś utkwilo jej między zębami.

– Na obiekcie są procedury – odburknęła wreszcie. – Jak się nie zgłasza spadkobiorca, to ja, proszę panią, mam obowiązki.

Nie sprecyzowała jakie, obróciła się na krzesło, by dolać sobie kawy z ekspresu.

– Kogo ze spadkobierców pani powiadomiła? – nie wytrzymała Monique.

– To poufne. Nie mam prawa zdradzać personaliów ludziom z ulicy.

– Stoi przed to... panią pełnomocniczka trzech osób. – Brzytwa wyjęła z torby pismo opatrzone pieczętką. – Żadna z nich nie otrzymała listu z Versalu.

– To moja wina, że poczta nie donosi? – obruszyła się tamta. – Wysłane było.

– Proszę o dowód nadania, żeby złożyć reklamację na poczcie – odezwała się Brzytwa takim głosem, że Monique zmiękły kolana. Kobiecie z pudłem nie drgnął nawet jeden mięsień. Spokojnie siorbała kawę, przeglądając papiery.

– Pisemne podanie nadać, poleconym – odparła wreszcie, wbijając pusty wzrok w twarz Brzytwy. – Z kopią pełnomocnictw.

– Proszę napisać, że pani odmawia udostępnienia – nie wytrzymała Monique.

– To wszystko? – usłyszały. – Bo zarobiona jestem.

– Kto jest kuratorem kamienicy? – zainteresowała się Brzytwa.

Zapanowała cisza.

– Obowiązki kuratora pełnię ja we własnej osobie – odparła wreszcie tamta, wygładziwszy angorowy sweter.

– Więc to pani zdecydowała o przekazaniu kluczy – zauważyła Brzytwa spokojnie.

– Zostało zadecydowane przy mojej obecności – odparła pani Versalu, wstając z krzesła, by pokazać, że audyencja dobiegła końca.

W sytuacji bez wyjścia można tylko jedno: wyjść z godnością. „Z koniem kopał się nie będę” – mawiał wuj August, odrywając ucho od ściany dzielącej go z Tolusiem.

– Będziemy rozmawiać przez adwokata! – postraszyła już w progu Monique. Zabrzmiało bledziutko. Niczym pogróżki przedszkolaka, że poskarży się mamie.

– A proszę panią bardzo! I do widzenia!

Szły w milczeniu, pokonując kładkę Bernatka. Sypnęło mokrym śniegiem.

Brakuje tylko, żeby rzucało żabami. Kwiecień, plecień, rozsierdziła się Monique. Jeszcze chwila i zaczną kopać w zawieszone na moście kłódki zakochanych albo przegryzie na wylot własny kciuk... „Wyluzuj, szarpaniem niczego nie zmienisz” – niemal usłyszała w głowie kojący głos Konrada. Wyluzuj, odzyskaj dystans, głęboko odetchnij... Niby czym? Benzopirenem i dioksynami?

– Że też nic nie da się zrobić! – wybuchła znowu. – Pieprzona franca!

Drżącą ręką włączyła e-papierosa. Zaciągnęła się raz i drugi, nie pomogło. Jeszcze chwila i coś jej się stanie!

– Cholerna bezsilność! Idzie zwariować!

– Dzwon do Kevina – poleciała nagle Brzytwa. – Gra dopiero się zaczęła.

*

Otworzył im od razu. Albo warował przy domofonie, albo ma refleks Mike’a Tysona. Raczej to pierwsze, uznała Monique, patrząc, jak mozolnie otwiera kolejne zamki.

– Wskakujcie i żadnego zdejmowania butów! – zastrzegł. – To nie panel, co go można zarysować byle paznokciem, tylko porządne dębowe parkiety. Starsi nie zdążyli ich spalić w piecu – mrugnął, by pokazać, że przeszłość już go nie boli. Przepracował ją na tyle, by z niej żartować nawet przed obcymi ludźmi.

Weszły do ciemnego pokoju urządzonego, jak na gabinet wziętego prawnika przystało. Może bez szалу, ale też bez obciachowych poduch, zauważyła Monique, obiecując sobie, że po powrocie do domu zrobi porządek. Żyrandol wymieni na coś prostego ze sklejki i żarówek, a jaśki wraz z flamingiem przekaże... no właśnie, komu? Do domu dziecka nie wypada, a burdele mają bardziej wysmakowany wystrój. Wie to od Darka, który robił usta wielu dziewczynom z klubów. Ach, Darek, przypomniała sobie, miała odwołać spotkanie. Teraz już za późno, dochodzi siódma, koleś pewnie stoi przed jej drzwiami, ze złością wciska dzwonek, może nawet kopie wycieraczkę swoim białym mokasynkiem. Zrobiony w konia... Poczowała mieszaninę irytacji i dziwnej radości. *Schadenfreude*, z której nie powinna być dumna. Należy mu się za sam krój butów, upierała się Monique, próbując nie

myśleć, jak to jest, kiedy człowiek całuje klamkę, choć liczył na zarobek. Obuwie obuwiem, powinna była zadzwonić i odwołać. Darek pracuje w usługach tak jak ona. Oboje zdani na łaskę i niełaskę klientek. Zła na siebie wyjęła telefon, by wystukać esemesa z przeprosinami. Odpowiedź nie przyszła. I dobrze!

– Jakiś problem? – zainteresował się Kevin, patrząc, jak nerwowo skubie skórkę przy paznokciu.

Pokręciła głową i zaraz zmieniła temat.

– Piękna lampa – orzekła, mając przed oczami swój różowy żyrandol z kryształkami.

– Myślałem, czy nie dodać paru modnych drobiazgów – przyznał się Kevin. – Ale nic tak szybko nie przemija jak trendy. Wybierasz hit sezonu, mijają dwa lata, zapraszasz znajomych do siebie, a ci trącają się łokciami na widok obciachowej ławy. Zresztą prawnikowi pewne materiały nie uchodzą. Mogę sobie fantazjować o hipsterskich pufach szytych z bannerów, ale w życiu wybieram art déco. Niepodrabiane.

I kto to mówi, westchnęła. Człowiek, którego rodzice spalili niemal wszystkie meble, bo nie stać ich było na kupno węgla. Którzy widywali ładne rzeczy wyłącznie w telewizji.

– Co was sprowadza? – spytał i zaraz pacnął się w czoło. – Przecież nawet się nie przedstawiłem koleżance. Adam K. Gawęda.

– Matka Polka – Brzytwa uściśnęła mu dłoń tak mocno, że aż się skrzywił.

– Adam to też taki jakby nick – wyjawiał, rozcierając zgniecione palce. – Dodałem na studiach, żeby odciąć się grubą kreską od przeszłości.

Żeby to było takie proste! Nowe imię, nowy adres, nowe zwyczaje. Tylko lęki w środku wciąż te same, pomyślała Monique.

– Ja się od niczego nie odcinam – oznajmiła Brzytwa buńczucznie. – Biorę od życia, co mi daje. Kopniaki, całusy, łakocie i witaminy. W końcu zawsze mogło być gorzej – mrugnęła. – Gdyby matka przyjęła nazwisko po mężu...

– Kutas – zdradziła Monique.

– Na szczęście to my wzięliśmy nazwisko od matki. Ja, siostra, stary...

- Kutas? – upewnił się Kevin. – Miałybyś przechlapane w szkole.
- Miałam. Totalna katastrofa.
- To tak jak ja! – nie krył radości. – Zaczęło się już w zerówce. U ciebie też?
- Nosiałam obciachowe okulary – pochwaliła się Brzytwa. – Szkła jak denka od butelek.

Monique poczuła się wykluczona; ją w szkole polubiono od razu. Czasem wystarczy tak niewiele, by zyskać sympatię innych dzieciaków: sprawnie grać w *Prince of Persia* albo puszczać bąki pachami. Monique miała najdłuższe rzęsy w klasie i zaraźliwy śmiech. Dziewczyny zapraszały ją do siebie, chłopcy prosili do tańca, nie bojąc się odmowy, a belfrzy powtarzali z przekonaniem, że się zapowiada. Ma potencjał, a przy tym, choć o rok młodsza, dotrzymuje kroku najlepszym. Jeśli bardziej się postara, może wskoczy na sam szczyt. Świat wreszcie stanął otworem przed odważnymi – głosili dobrą nowinę eksperci z „Gita”. Więc się starała, z całych sił, a jednak nie osiągnęła nawet poziomu swoich rodziców.

A gdyby została w Paryżu? Pieprzony francuski dywan, to przez niego... nieprawda, uświadomiła sobie zaraz. Jean-Luc był małą kropelką, która przelała czarę. Monique już wcześniej czuła, że Paryż ją uwiera. Jakby życie, to prawdziwe, toczyło się zupełnie gdzie indziej, za zamkniętymi drzwiami, do których nie ma kluczy. Zrozumiała wtedy, że utknęła w szufladce. Szufladce przeznaczonej dla wszystkich Innych, jak nazywano na przejściach granicznych przybyszów spoza Unii. Nawet gdyby stanęła na swoich długaśnych rzęsach, nie zdoła przebić szklanego sufitu. Zawsze będzie techniczną, wiecznie poszturchiwaną asystentką, która haruje na cudze portfolio. Może pora wrócić na własne podwórko?, pojawiła się nieśmiała myśl. Burzliwe rozstanie z dywanem pomogło jej podjąć decyzję o wyjeździe. Monique wybrała stolicę, nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego. Może bała się powrotu do Krakowa, rozczarowanego wzroku wuja Augusta, a może wierzyła, że w Warszawie odniesie większy sukces. Tyle podobno się tam działo, otwierano nowe redakcje i nowe domy mody, gdzie jej umiejętności zostałyby właściwie wykorzystane. Na początek została asystentką modnego wizażysty „Ikony”. Nosiała jego kuferek, dbała o grafik, pamiętała, by w porę podać kawę albo przełożyć masaż shiatsu. Straciła pracę, kiedy oznajmiła, że w weekendy będzie

studiować antropologię. Nie żałowała, zwłaszcza że studia okazały się strzałem w dziesiątkę. Monique znowu poczuła się niemal jak w liceum. Znowu jej powtarzano, że ma potencjał i świetnie się zapowiada, nawet jeśli jest nieco starsza od reszty grupy. Zyskała nie tylko dyplom, ale także nowe spojrzenie na modę. Jej stylizacje nabrały głębi, której... nie doceniła żadna z klientek. Nowobogaccy wolą robić za słup ogłoszeniowy by Versace, niż kombinować z ubiorem, tłumaczył jej wuj August. Kreatywność? Jest dla tych szczęściarzy, którzy już niczego nie muszą udawać. Dla pokolenia, które nie pamięta czasów biedy, nie potrafi jej sobie nawet wyobrazić, dlatego jeździ na wakacje do azjatyckich slumsów. W Polsce nadal króluje Teneryfa, wersja *all inclusive* z darmowymi drinkami do północy, westchnęła, przysłuchując się opowieści Kevina.

– Pamiętam, urodziła się Samanta – ciągnął – więc starsi uznali, że trzeba nas wszystkich ochrzcić. Hurtem wyjdzie taniej. Poszliśmy razem: ja, środkowy Brandon i Samanta. Stoję, spocony z nerwów, i słyszę za plecami chichoty. Nigdy się tak nie wstydziłem. No dobra, koniec zwierzeń. – Przykucnął, by otworzyć barek ukryty w okrągłym stoliku nocnym.

Ciekawe rozwiązanie, przyznała Monique. Nie trzeba wstawać z tapczanu, żeby wziąć kolejną butelkę. Musi sobie sprawić takie cudo, kiedy już wyrzuci z mieszkania wszystko, co obciachowe. Więc czeka ją totalne przemeblowanie, a wcześniej remont. Tylko za co?

– W porządku? – zapytał Kevin, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Machnęła dłonią niczym kelner zapytany, czy sałatka jest świeża. Zatruc się człowiek nie zatruje, ale kubki smakowe będą raczej zawiedzione.

– Na fraszunek dobry trunek. Rodzinne motto – mrugnął i zaraz dodał: – to znaczy ja nie muszę się zalewać, żeby osiągnąć stan relaksu. Piję, bo lubię. Łyskacza? Ups. Chyba wyskoczyłem przed orkiestrę. Został mi tylko courvoisier.

– Niech będzie. – Starła się zabrzmieć równie nonszalancko jak Kevin. Jakby pijała do kolacji stuletnią whisky.

Powoli rozlał alkohol do trzech szklanek, opowiadając dowcip, który słyszała od wuja, i to wiele razy.

– Do dawnego Forum wchodzi nuworysz z lokalną seksbombą. Siadają w restauracji, podchodzi kelner, kłania się i pyta: „Kurwazje?”. „Nie – odpowiada facet. – Pani już zjadła”.

Wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

– Za Augusta. – Kevin wznosił toast. – Żeby tam, na górze, zrobił porządek. Może spłynie i do nas na ziemię. Bo na razie mamy tu małe piekiełko.

Stuknęli się i upili po łyku. Równie banalny jak koniak u Brzytwy, oceniła. Czy przypomina tamten z barku wuja, nie umiałaby powiedzieć. Pamięta jedynie zdziwienie, że coś tak drogiego może być tak... zwyczajne. Podobne zaskoczenie przeżyła, próbując słynnej kawy kopi luwak oraz trufli. W gruncie rzeczy Kevin ma rację, okazując lekceważenie. Pewne rzeczy są strasznie przereklamowane. Ale znowu bez etykietek miliony ludzi wpadłyby w popłoch. Równie dobrze można by zlikwidować znaki drogowe.

– Po pogrzebie starszych nie piłem ze cztery lata – wyjawiał Kevin, napełniając drugą kolejkę. – Ale po zrobieniu aplikacji zrozumiałem, że w ten sposób wcale się nie uwolnię. Mogę żyć zupełnie inaczej niż oni, wymienić meble, których nie zdążyli porządkować, na nowe, równie zabytkowe, nosić drogie garnitury i latać na wakacje do ciepłych krajów. Mogę nie pić ani kropli, a i tak w środku pozostanę małym pijaczkiem. Na terapii dowiedziałem się, że to częsty przypadek. Dorosłe dzieci alkoholików, nawet jeśli są abstynentami, i tak mają przechlapane.

„Reinkarnacja? Nie jest potrzebna – tłumaczył jej August. – dzieci zawsze płacą, szkoda tylko, że za cudze winy. Za ich błędy odpowiedzialność następnego pokolenia. Tak to się kręci”. „Więc nikt nie płaci za siebie?” – zdziwiła się Monique. „Jak w systemie emerytalnym” – przytaknął wuj.

– Wreszcie nauczyłem się iść własną drogą – ciągnął Kevin – podejmować decyzje, nie kierując się mroczną przeszłością. Skupiłem się na swoich emocjach, zamiast obserwować, jaki kto ma dziś nastrój. Czy jest zły, czy zaraz mi przywali z liścia. Wtedy ruszyłem do przodu i do góry.

Déjà vu, skrzywiła się Monique. Słyszała to już kilka razy, w programie *Kobiety przodem*.

– Jestem teraz zupełnie innym człowiekiem – oznajmił Kevin, lekko dotykając piegowatego nosa. – Silnym nie dzięki lekom czy terapii, a dzięki własnej determinacji i supertrenerowi. Trafiłem na niego przypadkiem. Na kanale dla kobiet, ale ja nie mam uprzedzeń. Koleś, który tam występuje, to po prostu mistrzostwo świata!

– Konrad?

– Też go oglądasz? Jest lepszy od wróżbity Macieja.

– Czasem zerknę – bąknęła Monique. – Ale ostatnio mi nie po drodze.

– Bo musisz wiedzieć, na czym ci zależy. W którą stronę podążyć. – Upił łyk, przymknął oczy i zacytował: – „Żaden wiatr nie jest korzystny dla człowieka, który nie wie, do jakiego portu płynie”. Stary dobry Michel de Montaigne.

No proszę, a ona sądziła, że autorem tej maksymy jest Konrad. W sumie niegłupia, Monique dopiero teraz to widzi. August miał rację, mówiąc, że przysłowia nabierają głębi we właściwych ustach.

– Ja tu nadaję na swój temat, a przecież nie po to przyszłyście – ocknął się nagle Kevin. – August. To on was sprowadza?

Skinęły niemal jednocześnie. Powinna teraz zapytać, ale właściwie o co? Od czego zacząć, żeby nie wyjść na cwaniarę czyhającą na cudzy majątek? Przecież nie o rzeczy tu chodzi, a o człowieka, po którym zostało jej tak niewiele.

– Przykra sprawa – powiedział Kevin, jak wtedy na schodkach w tramwaju. – Zawdzięczam mu więcej niż własnym starym. To August podpowiedział mi, jak wyjść z biedy. Podsunął właściwy kierunek.

Mnie również, wyszeptała w duchu Monique, Mnie również.

1994

– *Wujku, słyszałeś!?* – *pisnęła, nie odrywając wzroku od gazety.* – *Znowu był alarm bombowy. A w Okocimiu szykują się do oblewania sto pięćdziesiątej rocznicy browaru. Penderecki napisze specjalny utwór.*

– *Skomponuje – poprawił ją August.* – *Ja przez ciebie dostanę zawału.*

– Już nigdy nie powiem, że coś napisał. Nawet listu – przyrzekła, zerkając na repertuar kina Pod Baranami. – Skazani na Shawshank. Idziemy?

– Człowiek sobie medytuje o wielkości wszechświata, a ty bombardujesz go dziwnymi newsami. Kto skazany? I gdzie ten alarm?

– Na uczelni. Nikt nie złamał szczęki. – Nawiązała do podobnej historii z listopada, kiedy bombę podłożono w budynku sądu i w trakcie ewakuacji jedna z urzędniczek złamała szczękę.

– Na uczelni, nie w urzędzie miasta. Jestem niepokieszony.

– A w zoo podobno żebrzą owce grzywiaste – przeczytała kolejną sensację. – Dyrekcja ogrodu prosi, by nie dawać im się oskubać.

– Co innego ludziskom. Ci mogą naciągać, kogo tylko wlezie. Ot, przedsiębiorczość! – Wuj znowu przymknął oczy.

Monique sięgnęła po jego „Przekrój”.

– Wchodzą superowe kolory na wiosnę. Mówiłam! Pamiętasz? Już zimą przepowiadałam, że wraca bakłazan.

Wuj nie odpowiedział od razu, zatopiony we własnym wszechświecie.

– Musimy coś z tobą zrobić – oznajmił nagle poważnym tonem.

– Już nie będę – obiecała. – Żadnych alarmów.

– Ja nie o tym – zirytowany zmarszczył brwi. – Chodzi o twoje studia.

– Przecież mówiłeś, że wszystko załatwione dzięki kurwuazje – przypomniała. – Czyli że co: mieszałam na marne?

– Zaraz na marne! – obruszył się August. – Wszystko czemuś służy. Nawet te z pozoru nieistotne wydarzenia wzbogacają kobierzec naszego życia, są niczym barwne niteczki, które... co za bzdety! Jeśli nie widzisz w czymś sensu, to go nie ma.

– No ale co ze mną?

Potarł szczupły podbródek.

– Ta cała architektura. – Zerknął na nią znacząco.

Monique też się zastanawia, czy to aby właściwy kierunek. Ale co innego wyobrazić sobie różne opcje, a co innego usłyszeć je z ust wuja. W jednej chwili poczuła się tak, jakby ktoś potrząsnął mocno konarem, na który z trudem udało jej

się wdrapać.

– Konar? – prychnął. – Umiesz hiperbolizować.

– Przecież sam powiedziałeś, że ta cała...

– Musisz mi włączyć w słowo jak krowa w owies?

No tak, wuj może przerywać. Kalemu wolno wszystko, naburmuszyła się Monique.

– Próbuję tylko dokończyć myśl – oznajmił z wyższością.

– Proszę – burknęła, wbijając wzrok w swoje zakopiańskie kapcie. – Dokończ.

– Architektura czeka przed tobą otworem – zaczął, dając dłonią znak, by się nie odzywała. – Jeśli się zdecydujesz, możesz nadal u mnie mieszkać. O ile nie przydzielą ci akademika – dorzucił.

– Miałeś mówić o architekturze – niecierpliwiła się Monique. – Co jest z nią nie tak?

– Nic, zupełnie. Wspaniały kierunek, ambitny, oblegany niczym syn burmistrza Bukowiny. Poślubić takiego... – sapnął. – Pal licha dobre partie. Tu chodzi o ciebie! Chcesz się nudzić niczym małpa w krakowskim zoo?

Zaraz, zaraz! Przecież już jej wyjaśnił, że na tym polegają studia: na ciągłej walce z nudą, którą zwykle przegrywają najzdolniejsi. „A te wszystkie imprezy, juwenalia, szalone życie w akademikach?” – dopytywała Monique. „Wisienka na torcie. – Lekceważąco machnął dłonią. – Codziennosc żaka wygląda inaczej. Senne przedpołudnia w chłodnych czytelniach, wertowanie przeterminowanych podręczników, wkuwanie na pamięć niepotrzebnych pierdół, smętne rozważania docentów oraz wykłady o wyższości trójkąta równobocznego nad piernikiem toruńskim. Nuuda!” Monique mogłaby mu przypomnieć, ale wiedziała, że wuj i tak wykręci kota ogonem. W tej sytuacji mogła jedno: zrobić to wcześniej.

– Podobno jestem małpą. Bonobo – przypomniała mu głosikiem pensjonarki. – W zoo będzie mi w sam raz.

Lekko skłonił głowę, a potem czaplim krokiem podszedł do swojej biblioteczki. Przejechał palcem po grzbietach grubaśnych książek poświęconych architekturze.

– Le Corbusier, Gaudi, Lloyd Wright, Gropius – wyliczył. – Same perełki. Nie zauważyłem, żebyś zdjęła z półki choć jeden tom, a przecież namiętnie przeglądasz

inne albumy.

– Wolę malarzy – przyznała. – Jaki z tego wniosek?

Nie odpowiedział od razu. Rozsiadł się wygodnie w swoim zielonym fotelu, który Monique nazywała kazalnicą.

– Można się nudzić bardzo albo bardziej – oznajmił poważnym tonem. – Co wolisz?

– Same wisienki, bez tortu – wypaliła zaraz.

– Wino, gitara i pląsy aż po białe światło. – August udał, że ziewa.

– No dobra. Jaki kierunek mam wybrać? – poddała się Monique.

– Najpierw odpowiedz sobie na piekielnie trudne pytanie: co chcesz robić w życiu? Poza imprezowaniem, rzecz jasna.

Co chce robić? Zależy! Jesienią po obejrzeniu Terminatora 2 Monique fantazjowała, że jest drugą Sarah Connor, która walczy z androidami. Kiedy skończyła biografię Henriego de Toulouse-Lautreca, zaczęła marzyć o własnej pracowni, gdzieś na Montmartre. Malowałaby na poddaszu wspaniałe obrazy, a wieczorami piła zieloną wróżkę, uwodząc śniadych chłopaków z Maghrebu. Byłaby zblazowana i niezwykle sławna, już za życia.

– Strach pomyśleć, co będzie po lekturze My, dzieci z dworca zoo – zgasił ją wuj. – W takim razie przeformułujmy pytanie. Co ci naprawdę sprawia przyjemność? Oprócz bujania w obłokach, bo na nim zarabiają tylko przereklamowani poeci. Ci najzdolniejsi ledwo mają na suchy chleb. Stąd błędny wniosek, że najlepszą sztukę tworzą głodni artyści. Nieprawda, są głodni, bo mają talent.

Ach, te wujowe dywagacje, westchnęła Monique. Powinien wykładać na uczelni. Co tydzień ten sam temat, i tak nikt by się nie połapał.

– Przyjemność? – wykorzystała moment, kiedy zamilkł, by nabrać powietrza. – No to ja dużo rzeczy uwielbiam. Na przykład chodzić do kina. Albo przeglądać twoje albumy o malarstwie. Ale za to chyba nikomu nie płacę.

– Już lepiej przyglądać się ludziom – potwierdził wuj. – Wielu to lubi.

– Ja też! To znaczy wolę patrzeć na innych – wyjaśniła. – No bo... wyobrażam sobie wtedy, co w nich zmienić, żeby wydali się ładniejsi. Czasem wystarczą

drobiazgi, krótsza grzywka albo szalik, a czasem trzeba prawdziwej rewolucji. W tobie na przykład...

Nie trzeba niczego zmieniać, uświadomiła sobie nagle. Wszystkie detale świetnie do siebie pasują, nawet jeśli tworzą przedziwną kompozycję. Wuj jest skończoną całością, utrzymaną w odcieniach zieleni.

Uklonił się niczym lokaj.

– Lubię też porządkować. Równo układać, żeby w szafie było jak na sklepowych półkach – zakończyła.

– Jeszcze lepiej! – ucieszył się wuj. – W takim razie co powiesz na lekcje francuskiego stylu?

– W Krakowie jest taka szkoła?

– Myślałem o Paryżu – zdradził i zaraz sięgnął po słuchawkę starego ebonitowego telefonu. Pogwizdując nerwowo, wykręcił numer, odczekał na połączenie, wreszcie huknął niemal tak głośno jak jej matka: – Pierre, musimy poważnie porozmawiać!

Piątek

Po obiedzie spotkali się na Tureckiej, by złożyć do kupy strzępy informacji na temat ostatnich dni Augusta. Jakby to mogło zwrócić mu życie, prychnęła Monique, wiercąc się na siedzisku z palet. Dziś drażniło ją wszystko: szorstkość jutowej narzuty, zbyt głośne tupanie Brzytwy, dziwaczne żarciki Kevina i to ich zaangażowanie. Dempsey i Makepeace na tropie! Nie żeby czuła się odrzucona. Przecież w każdej chwili może dołączyć, zamiast dreptać trzy kroczyki z tyłu. Może dołączyć, tyle że nie wie, w jakim celu. Wuj umarł, a ona niczego już nie odkręci. Może tylko wyszeptać w pustkę słowa przeprosin, łudząc się, że trafią do wuja. Przecież jego układ słuchowy, wraz z resztą narządów... lepiej nie myśleć, jak teraz wyglądają! Nie myśleć, choć kusi niczym wkładanie języka do bolesnej wyrwy po świeżo usuniętej ósemce.

– Kto zadzwonił? – przerwała Kevinowi, byle nie wizualizować sobie szczątków Augusta.

– Pierre. Zaraz po walentynkach. Nie mógł złożyć zdania, taki był roztrzęsiony. Nic dziwnego, rozmawiał z Augustem dwa dni wcześniej i wszystko wydawało się w porządku. August pochwalił się, że jedzie uzgodnić warunki umowy. Czeką go prawdziwe wyzwania. Ekskluzywny projekt. Wiecie, jakich on słów lubił używać. Na wyrost, a jednocześnie zero konkretów. Pierre nawet dopytywał, ale August zamknął buzię na kłódkę. Pewnie bał się zapeszyć. „Zadzwoń pojutrze. Kończę, bo Zuzia domaga się głasków”. Byli nierozłączni. Mówię o kotce.

– Wiemy – odparła Brzytwa, częstując ich dziwnymi herbatnikami o bardzo brzydkim kształcie.

Jakby ktoś porwał palcami kawałki ciasta, rzucił na blachę i przypalił. Możliwe, że tak właśnie powstały, stwierdziła Monique i ostrożnie nadgryzła wystający cypelek.

– Skąd Pierre dostał cynk, że August nie żyje?

– No już mówiłem. – Kevin zrobił zdziwioną minę i zaraz dodał cierpliwym tonem guwernantki, która chce nauczyć opornego dzieciaka literek: – Zadzwonili ze szpitala w walentynki. Poinformowali, że pacjent Nocny miał rozległy zawał. Zgodnie z dyspozycjami, które zostawił jesienią u swojego kardiologa, Pierre ma prawo do informacji oraz do odebrania ciała. Jest jedynym, jakby to ująć – Kevin odchrząknął – spadkobiercą.

Zaczął się przechadzać po pokoju, lustrując każdy drobiazg. Zupełnie jak ojciec, pomyślała z pewnym rozczuleniem Monique. Fortuna senior odwiedził ją w czasie delegacji. Nie usiadł, dopóki nie obszedł każdego kąta. Dotykał tynków, skrobał paznokciem, stukał butem w futryny, wreszcie zmartwiony orzekł, że przepłaciła z kretesem. „Za takim cenę miałybyś w Bukowinie swój dom. Działeczkę bym ci skołował za półdarmo od Sikory, co mieszka pod lasem. Płot sam bym postawił, wyszłoby taniej. Meble by się przywiozło z Kalwarii i byś se mieszkała po pańsku, a nie jak ta rybka akwariowa”. „Co z robotą? Mam latać do Warszawy helikopterem?” – skrzywiła się wtedy. Ojciec zwiesił nos na kwintę, więc zaczęła mu tłumaczyć, że nastąpiła era mobilności. Ludzie podążają za pracą, dlatego nie przywiązują się do mieszkań. „Dziś akwarium, a jutro kto wie jaka willa”. Nowoczesność, mobilność, przedsiębiorczość, tylko stara bieda wciąż ta sama.

– Supermebelki – dobiegł ją głos Kevina. – Człowiek czuje się jak we własnej piwnicy... Chętnie bym wymienił te moje starocie, ale prawnikowi chyba nie uchodzi otaczać się paździerzem. Zaraz by się rozeszło po dzielni, że Gawędy nie stać na porządną komodę. Gdybym mieszkał w Austrii, to co innego! Tam cenią sobie piwnice, ale skoro trafiło mi się Stare Podgórze, postawiłem na klimaty retro. Jak u Augusta. Pamiętasz tę jego witrynę? Te inkrustowaną, z tomami, których nikt nie mógł tknąć palcem. Cudeńko!

– Nie ma po niej śladu – mruknęła Monique. – Mieszkanie jest gołe jak Rusek w bani.

– Byłaś w środku?

– Nie wpuścił mnie robociarz od remontu, ale wierz mi, nic nie zostało.

– Kiedy tam zaglądałem, witryna wciąż stała. Salon, owszem, wydał mi się skromniejszy niż przed laty, ale wiecie, jak jest.

Monique przytaknęła. Człowiek wraca po latach do starej szkoły i dziwi się, że wszystko zmałało. Ławeczki jak dla krasnali, tablica nie większa od rozłożonej gazety, a korytarz, który zdawał się nie mieć końca, teraz można pokonać spacerkiem w minutę. Podobnie dzieje się z czasem; lekcja geografii trwała tyle, ile dziś deszczowy weekend.

– Zajrzałeś do każdego pokoju? – dopytywała Brzytwa.

– Nawet do łazienki. Bardzo przykry widok. Szczoteczka do zębów stoi jeszcze mokra, a człowieka już nie ma.

– Teraz nie ma nawet szczoteczki. Budowlaniec, z którym rozmawiałam, mówi, że lada dzień zaczyna remont. Więc pewnie wywalono ostatni regał, bo książki, które na nim stały, już dawno butwieją na wysypisku.

– Kurde, co ja powiem Pierre'owi – zasepił się Kevin. – Miał przyjechać zaraz po lanym poniedziałku, jak zdejmą mu ortezę z nogi. Przeżyje kolejny szok, bo liczył, że zabierze choć kilka książek na pamiątkę. Gdybym wiedział, że tak będzie, wziąłbym bez pytania. Ale jako człowiek prawa chciałem, żeby wszystko było na legalu. Nic, dzwonię do kuratorki.

– Już gadałyśmy – zdradziła Monique. – Baba twierdzi, że działała zgodnie z procedurami.

– Choć jednocześnie nie pamięta, kto zlecił opróżnienie mieszkania – dodała Brzytwa. – Zadzwoń, może tobie zdradzi więcej szczegółów.

Kevin błyskawicznie wyszukał numer administracji.

– Nikt nie odpowiada, pewnie zrobili sobie wolne. Dzwonię pod komórkowy – rzucił. – Trzymajcie kciuki i cicho sza, bo dam na głośnomówiący.

Monique natychmiast ukryła je w dłoniach, ściskając niemal do bólu.

– Versal, słucham.

– Dzień dobry – zaczął, zniżając głos. – Przy telefonie Adam K. Gawęda, radca

prawny.

– Stanisława Rechotek z tej strony. Zarządca – dodała po chwili.

– Rozmawialiśmy przed pogrzebem pana Augusta Nocnego. Udostępniła mi pani klucze do jego mieszkania, żebym wziął niezbędne dokumenty.

– Nie pamiętam, ale skoro pan twierdzi.

– Chciałem zamienić parę zdań na temat mienia po zmarłym.

– Jest za dziesięć piętnasta.

– Mamy zatem dziesięć minut – zauważył. – A ja mam niewiele pytań. Tylko proszę dobrze się zastanowić, zanim pani odpowie.

– Pan pyta – ponagliła urażonym głosem.

– Dlaczego zleciła pani opróżnienie lokalu?

– Procedury są takie... – zawiesiła głos, by sobie sam dokończył.

– Przepisy wyraźnie mówią, jak postępować, kiedy oczekuje się na spadkobierców. Rzeczy po zmarłym należy złożyć w depozycie sądowym, zaś środki pozyskane z ich licytacji przechodzą...

– Proszę mię tu nie pouczać na okoliczność przepisów – przesadnie wymówiła „ę”. – Ja dobrze wiem, co się należy.

– Doprowadzając do przypadku mienia, działa pani na szkodę skarbu...

– A może to pan działał, proszę pana! – odbiła piłeczkę. – Dysponował pan kluczami od lokalu. Mnie przy wizytacji na obiekcie wogóle nie było, więc nie wiem, co pan zabrał.

– Proszę pamiętać, że rozmawia pani z prawnikiem.

– To groźba?

– Chyba się pani zagalopowała. – Kevin jeszcze bardziej zniżył głos.

– Nie, to pan się galopuje! Ja wiem, co mnie należy się zrobić. Ja, proszę pana, znam procedury. Na dzień dzisiejszy w depozycie można składować meble, kosztowności, a nie papieryska bez wartości. Śmieci należy wyrzucić.

Nazywać cudze dyplomy śmieciami? Noż, kurwa, zaraz mnie rozniesie, syknęła Monique, zaciskając pięści.

– Kiedy byłem w mieszkaniu, wszystko stało na swoim miejscu.

– Jak ja weszłam na lokal, już było pusto. Nowy właściciel może zaświadczyć, bo stał tuż obok i patrzył się. Tak że nie wiem, kto wyniósł mienie.

– To pani ostatnie słowo? Proszę się dobrze zastanowić – poradził Kevin bardzo, bardzo spokojnie.

– Ja wiem, co mówię. Ja mam świadków. Lokal został opróżniony bez naszego udziału. Pracownicy administracji wynieśli tylko papierzyska i nieaktualne dokumenty. Coś jeszcze? Bo mija piętnasta.

– Wstydę się za ciebie, kobieto – nie wytrzymała Monique. – Skoro tobie nie wstyd!

– Ja sobie wypraszam podobne... insynacje! Żegnam! – krzyknęła tamta, zaraz się rozłączając.

Monique siedziała jak porażona. To się nie dzieje naprawdę. Jestem na planie *Alternatywy*, wersja IV RP. Zaraz ktoś przyjdzie i oznajmi: „Koniec ujęcia”.

– Spryciuła – skwitował Kevin, włączając swojego laptopa. – Niby dwójka z polskiego, składnia jak u wczesnego Wałęsy, a orientuje się we wszystkich paragrafach, które chronią jej cztery litery. W sumie można się było spodziewać. Ktoś, kto wygnana stołek zarządcy i kuratora, nie znalazł się na nim przypadkiem. – Rzucił im czujne spojrzenie i zaczął się tłumaczyć. – Mogłem bardziej uważać, wiem, ale zmylił mnie wystrój. Te brudne ściany, „biedameble”, hałdy kurzu i żałośnie różowe afro. Sierotka Marysia zagubiona w gąszczu papierów! Głupi ja! – Pacnął się w piegowate czoło.

– Ja też się rąbnęłam – przyznała Monique. – Nie przyszło mi do głowy, że ktoś może celowo używać tak kiepskiej polszczyzny.

– Tego akurat nie udawała. Dacie mi parę minut? – zapytał, odpalając laptopa. – Muszę coś sprawdzić w księgach wieczystych.

Skinęły i rozsiadły się na grubo pikowanej sofie. Elegancko znaczy niewygodnie, mawiał wuj August. Byłby meblem zachwycony.

– Częstujcie się krakersami, sam upiekłem – pochwalił się Kevin, nie odrywając wzroku od monitora. – Zawsze wychodzą, taki przepis. Znajomi cmokają z zachwytem, wtedy im mówię, że to stara receptura mojej prababki Podolskiej.

Czasem nawet zaczynam w to wierzyć.

Jedni robią sobie zgrabne nosy, a inni dorabiają tradycję, której nie było im dane zaznać w dzieciństwie. Klientki Monique osiągnęły mistrzostwo w obydwu działkach. Na przykład Hanna, szwagierka Renaty. Patrząc, z jaką wprawą zarządza ukraińskimi służącymi, nikt by się nie domyślił, że kiedyś szorowała kible Skandynawom. Z czasem zaczęła wyręczać ich żony w innych uciążliwych obowiązkach i wreszcie dochrapała się awansu: ślubnej obrączki. Teraz czas wolny może poświęcić na uzupełnianie rozmaitych braków. Tylko jednego nie da się nadrobić: braku dobrych wspomnień. Może dlatego tak sobie ceni *carpe diem*? Inaczej niż wuj August. Uważał, że łapaniu ulotnych chwil towarzyszy zbyt dużo hysterii. Prawdziwy smakosz delektuje się bez pośpiechu, bo wie, że swoje już zjadł i zawsze zdąży się nakosztować. Nawet jeśli za chwilę koniec świata.

– Ten sąsiad, który przejął mieszkanie – rzucił wreszcie Kevin ożywionym tonem. – Radny Pałka... Chciałbym z nim porozmawiać. Bo coś mi nie gra.

*

– Pełnomocnik? – Toluś nie wydawał się zaskoczony. – Niewiele mogę dodać do tego, co zostało już powiedziane. Ale oczywiście proszę pytać! – Zachęcająco rozłożył dłonie, jakby zapraszał ich do środka. Nadal trzymając wszystkich na wycieraczce.

– Wspomniał pan kuzynce zmarłego – Kevin znacząco popatrzył na Brzytwę, tak jak się umówili – że administratorka zleciła opróżnienie mieszkania, a potem zaproponowała panu klucze. Czy było raczej na odwrót?

– Zleciła sprzątanie lokalu – poprawił Toluś z uśmiechem. – Pani Stasia jest doświadczoną kuratorką i orientuje się w kwestii dobrostanu budynku. Widziała, jak niszczejną inne mieszkania, nie chciała, by i to się zmarnowało. Poza tym wie, że mój udział...

– Właściwie pokrywa się z mieszkaniem, które pan już zajmuje – zauważył Kevin.

Monique zamrugła zaskoczona. Toluś tylko się uśmiechnął.

– Brakuje mi około ośmiu metrów według inwentaryzacji, którą przeprowadzono w celu podziału.

– Osiem to nie osiemdziesiąt.

– Zgadza się – odparł Toluś, nie okazując cienia zdenerwowania. – Ale jak sobie państwo wyobrażają wydzielenie tych ośmiu metrów? Mam się przebić do siedemnastki i zabrać sobie kuchnię? – Zaśmiał się, co zabrzmiało jak kaszel palacza. – Konserwator zabytków by mi raczej nie wybaczył. To zacna pożydowska kamienica.

– Więc z szacunku do starej konstrukcji zajął pan dwa mieszkania. Na jeden udział.

– Nie jest to zabronione. Nie było podziału sądowego, można więc powiedzieć, że mam swój udział w każdym mieszkaniu. Podobnie jak inni właściciele mają udział w moim. Pan jako prawnik świetnie się orientuje, jak to wygląda.

– Użytkując dodatkowy lokal, odnosi pan pożytki, które się należą...

– Na razie wkładam swoje ciężko zarobione pieniądze, więc o korzyściach nie ma mowy. Zresztą jeśli kuratorka uzna, że powinienem oddać klucze. – Toluś znowu szeroko rozłożył dłonie.

Nie uzna, będzie nadal przymykać oko, pomyślała Monique. Dlatego bierzesz się do remontu, cwaniaczku.

– Kiedy pojawią się spadkobiercy...

– Wtedy będę się martwił. – Znacząco westchnął. – Ale teraz mam zupełnie inne sprawy na głowie.

– Czy był pan obecny przy opróżnianiu siedemnastki? – zainteresował się Kevin.

– Akurat wyjrzałem, kiedy pani Stasia wchodziła do środka. Lokal był niemal pusty. Ktoś musiał się pośpieszyć – zażartował Toluś i zaraz spoważniał. – Przykre to bardzo, jak ludzie nie szanują cudzego mienia.

– Wcześniej mówił pan, że nie było żadnego włamania – wtrąciła się do rozmowy Brzytwa. – Mieszkanie opróżnili pracownicy administracji. Bo takie są procedury.

– Pani mnie źle zrozumiała. Opróżnili z tych resztek, które zostały. Wynieśli

rozpadający się tapczanik, kredens zjedzony przez korniki, pęknięte lustro i jakieś papiery. Dokładnie nie wiem, bo zaraz wróciłem do siebie.

– Wyjrzał pan tylko po to, żeby zanotować fakt, iż w środku prawie niczego nie ma.

– Jeśli to już wszystkie pytania – Toluś zbył uwagę Kevina – państwo wybaczą, ale jestem niezwykle zajęty. Jutro z rana mamy posiedzenie w magistracie w sprawie smogu i muszę się przygotować.

– To pan znalazł Augusta w drzwiach mieszkania – upewniła się Brzytwa.

– Niestety. Zaraz wezwałem pogotowie, ale kiedy przyjechało... – Smętnie pokręcił głową.

– A wcześniej był pan u siebie. Widziała pana sąsiadka.

Toluś utkwiał wzrok w suficie i przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby usiłował przypomnieć sobie tamten słotny lutowy dzień.

– Skoro sąsiadka tak twierdzi. – Lekko się uśmiechnął.

– Był pan u siebie i niczego nie słyszał. Żadnego krzyku, choć słyszeli go wszyscy w kamienicy.

– Najwyraźniej nie było mnie wtedy w budynku – odparł, patrząc Brzytwie prosto w oczy. – A teraz już muszę się pożegnać. Ważny telefon od prezydenta miasta.

*

Kiedy mijali mieszkania na parterze, Brzytwa bezwiednie wcisnęła dzwonek dwójki. Niczym dzieciak, który codziennie robi ten sam kawał sąsiadom. Usłyszeli szuranie kapci, jakby ich posiadaczka tylko czekała na okazję do przebieżki. Otworzyła drzwi na szerokość łańcucha. Jakby to mogło ją przed czymkolwiek uchronić, pomyślała Monique. Szeroko się uśmiechnęła, by okazać, że ma pokojowe zamiary. Kevin poszedł w jej ślady.

– Ja bardzo przepraszam, ale świadkom już dziękuję – zaskrzypiała staruszka z korytarza. – Może dziesięć, piętnaście lat temu, wtedy jeszcze poszukująca byłam. Ale dziś już za późno na wątpliwości. Zimą poszłam do spowiedzi i... daj Bóg,

jeszcze ze dwa lata pociągnąć. Bo choć nic mi się na tym łoż padole nie podoba, to jednak wiadomo, czego się spodziewać, a tam... – westchnęła, po czym dodała na pocieszenie: – Te wasze „Strażnice” to ja sobie przeglądam, nie powiem. Raj całkiem wam się udał, zwłaszcza mężczyźni. Postawni, opaleni, z pięknymi brodami. Ale zawsze obcy. Co to za przyjemność wiedzieć, że najbliżsi siedzą gdzie indziej, bo im się zmarło w obrządku katolickim. Już wolę ze swoimi się nudzić, nawet jeśli nie ma na kim oka zawiesić.

– Nie jesteśmy świadkami – zarzekła się Brzytwa – chcemy tylko porozmawiać o Auguście.

– O poście? Ja to, kochani, poszczę na okrągło, bo dojdziecie do baru na Piekarskiej to dla mnie teraz niczym wspinaczka na Mount Everest.

I tak nieźle w tym wieku, uznała Monique. Dla niej Everestem zdaje się czasem dotarcie do własnej łazienki.

– Więc raczej odpuszczam – ciągnęła sąsiadka. – Ale raz w tygodniu pani z opieki zakupy mi przyniesie i wtedy mam tłusty czwartek, który trwa do poniedziałku.

– Możemy coś kupić – zaoferowała się Brzytwa. – Choćby teraz.

– Nie trzeba, nie trzeba! – W głosie staruszki pojawił się źle skrywany niepokój. – Mnie wczoraj zaopatrzyli we wszystko. A w Wielkanoc może rodzina zagładnie. Dziękuję za troskę, ale ja już jestem przyzwyczajona. Jak ten, nie przymierzając, pyton tygrysi.

Zresztą co zmieni jednorazowy akt życzliwości? Uświadomi tylko obecną niedolę, przypomni, jak było kiedyś, skrzywiła się Monique. Już lepiej tkwić w tym, co jest, nie pozwalając, by ktokolwiek wybił nas ze stanu kruchej równowagi.

– Chcielibyśmy porozmawiać o pani sąsiedzie Auguście – wtrącił się do rozmowy Kevin – Auguście!

– Miał kotkę Zuzię – dodała Brzytwa. – Nadal jej szukamy.

– Ale co ja bym wam mogła powiedzieć, jak ja, kochani, nic nie wiem. Ja chcę w spokoju sobie pożyć. Żeby mi nie dokuczali. Lokator tu nie ma żadnych praw – dodała ściszym głosem. – Nie podoba się, to do widzenia albo żarówkę na klatce

wykręca. Po ciemku się poślizgnę, biodro złamane i tylko wstyd, że wnukom zostawiam kredyt za garnki od pana Kiepskiego.

– Czy ktoś panią straszył? – zainteresował się Kevin. – Bo ja mógłbym się tym zająć jako prawnik.

– Tu straszyć nie trzeba. Rzeczy dzieją się same. Ktoś był, potem znikł. Okienko zbite szybko się wymieni i jest jak przedtem. Dlatego ja, kochani, wolę z daleka się trzymać, żeby choć ze trzy sezony *M jak miłość* obejrzeć.

Drzwi ostrożnie zamknięto, szczęknęły kolejne zamki. Kapcie znowu zaszurały, coraz ciszej i ciszej. Z głębi mieszkania rozległ się jazgot telewizora.

– I po rozmowie – skwitował Kevin.

Monique sięgnęła po e-papierosa. W swojej pracy zaliczyła tyle bolesnych odmów, że powinna się już przyzwycząić, a jednak wciąż traktuje je niczym policzek. Nie pomogły nawet sesje u Konrada. Kiedy odrzucono jej projekty autorskich programów, próbował tłumaczyć Monique, co może zyskać, zgadzając się na stratę. „Bez żalu żegnaj to, co cię opuszcza, by zrobić miejsce na nowe, lepsze rzeczy” – powtarzał z przekonaniem, dodając, że przegrana bitwa nie przesądza o całej wojnie. Wszystko racja, myślała wtedy, cytaty bardzo trafne, tylko dlaczego, u licha, tak straszliwie drażnią? Już wolałaby usłyszeć, że Konrad jest wkurzony całą sytuacją, że porażka Monique też go boli. Co dwie bezsilności, to nie jedna. Ale Konrad zawsze znajduje wyjście. Ciekawe, co by jej poradził tu i teraz. Żeby raz na zawsze zamknęła za sobą bramę kamienicy? „Zostaw przeszłość tam, gdzie jej miejsce, i spójrz przed siebie”. Widoczność kiepska, pewnie z powodu smogu, zakpiła.

Przysiedli na jednej z ławek nieopodal klasztornego muru i mokli w deszczu, czekając nie wiadomo na co. „Powietrze lepkie i gęste, wilgoć osiada na twarzach, ptak smętnie siedzi na drzewie, leniwie pióra wygładza”. Kiedy Monique nuciła ten kawałek w rozprażonym Paryżu, czuła, że serce pęknie jej z tęsknoty, ale wystarczyło parę dni na miejscu i już ma dość. Cholerny grajdoł.

– Wracamy? – bąknęła.

Każde do swojego pudełka. Brzytwa na Turecką, Kevin na Stare Podgórze,

a ona?

– Wiem, co teraz myślisz – odezwał się, patrząc na Monique psim wzrokiem. – Że jestem za cienki, by wytoczyć im proces. A to nie tak. Po prostu wyznaję zasadę doświadczonych karateków: walczyć, kiedy ma to sens.

– Czytaj: kiedy można coś ugrać – dopowiedziała Brzytwa.

– Szarpanie się dla samej walki jest dobre dla żółtodziobów z błękitnym pasem – tłumaczył, miętosząc połę swojej modnej budrysówki. – Czarny pas już nie musi niczego udowadniać. Ani sobie, ani tak zwanej publiczności.

– A walka dla zasad?

Nie odpowiedział, ścisnął tylko mocniej róg kurtki.

– Bez sensu – mruknęła Brzytwa.

– No dobra – poddał się Kevin. – Jeśli tak wam zależy, jest jedno wyjście. Pałce narobimy wstydu, a Rechotek...

– Nie myślałam o procesie – sprostowała Brzytwa. – Po prostu nie umiem ułożyć spójnego obrazka. Jakby skradziono parę puzzli.

– Na przykład?

– Brakuje mi kota.

Monique stężała. Niczym uczeń wywołany do odpowiedzi. Wiecznie nieprzygotowana, a latka lecą!

– Możemy poszukać w azylu – zaoferował się Kevin.

– Już pytałam. W fundacjach również. – Brzytwa bezradnie pokręciła głową i zaczęła rozkopywać butem grudki rozmięklej ziemi.

– To raczej kiepsko, chyba że jakimś cudem... a może urządzić seans? – podsunął. – Znajomi mówią, że jestem niezłym medium. Swoich starszych nie wywoływałem, bo jednak strach. Zresztą co ciekawego mogliby powiedzieć: że ich suszy?

– Chcesz wywoływać duchy? – zdenerwowała się Monique.

– Tylko jednego: Augusta.

– Wykluczone!

– *Aż tak ci się nudzi? – zapytał urażonym tonem.*

– *Tobie nie? – odbiła piłeczkę, wiercąc się w jego fotelu.*

– *Ja to co innego. Ślęczyć dwa tygodnie nad czymś takim. – Fuknął niczym rasowy Francuz. – Równie dobrze mógłbym użyć folii spożywczej. Ten sam połysk i efekty specjalne.*

– *Tylko jeden mały seansik. Moglibyśmy wywołać Zapolską – kusiła. – Tak ją lubisz.*

– *Dlatego nie będę jej dręczyć, ściągając do tego siedliska dulszczyzny.*

– *No to kogoś, kogo nie lubisz – podsunęła Monique. – Jakiegoś prostaka...*

Wuj uniósł brew, by okazać, że propozycja jest naprawdę nie na miejscu. Trwonić czas na podobne kontakty?

– *Wystarczy mi dziadostwa w mieście, na ulicy i w mediach.*

– *Możemy wywołać postać fikcyjną – nie odpuszczała. – Na przykład Tuškę z Sezonowej miłości? Pomyśl, co by to było, gdyby się pojawiła i zaczęła opowiadać o swoich romansach!*

W odpowiedzi zacisnął usta.

– *No, wujku! Zgódź się! Nie bądź cykorem!*

– *Nie boję się żadnych duchów – zagrzmiał. – To żywi robią krzywdę, na ogół znajomi.*

– *Więc o co chodzi?*

– *Raz już brałem udział w seansie i wystarczy.*

– *Wywoływałeś duchy? – Monique zerwała się z fotela. – Nic mi nie wspomniałeś!*

– *Bo staram się nie pamiętać. To było zaraz po tym całym zamieszaniu. – Tak nazywał małżeństwo z jej ciotką. – Halny wrócił w rodzinne strony i zbierał siły przed kolejnym starciem. Wpadłem do Pierre'a odsapnąć. Mieszkał wtedy po drugiej stronie Wisły przy Zamoyskiego. Wypiliśmy pół butelki cacao-choix, zrobiło się późno, w telewizji przerwa. Co robić? Wtedy Pierre mówi, żeby urządzić seans.*

Z braku laku... Zaraz ustawiliśmy porcelanowy talerzyk. Rarytas z miśnieńskiej porcelany – zachwycony cmoknął. – Wcześniej Pierre narysował kredą na stole dwie krzyżujące się linie, wytyczne dla ducha. Pionowa miała oznaczać „tak”, pozioma – „nie”.

Ciekawe, czy u Bułgarów byłoby odwrotnie, przyszło jej nagle do głowy. Zachichotała cichutko.

– Tu nie ma z czego żartować – zganił ją zaraz. – Usiedliśmy naprzeciwko siebie i odprawiamy te czary-mary, wzywając samego Napoleona.

Jak szaleć, to szaleć, skwitowała, robiąc poważną minę.

– Nie odpowiedział. Więc zaczynamy da capo. Znowu cisza. Wzywamy go po raz trzeci, nagle dzwonek domofonu. Pierre aż podskoczył na krześle, bielszy od talerzyka. Ja się opanowałem. Nie tak łatwo mnie przestraszyć – dodał skromnie. – Zresztą Bonaparte raczej by się nie zapowiadał, tylko wszedł od razu na salony. Cesarzom wolno. Pewnie ktoś się pomylił, myślę, albo robi sobie żarty po pijaku. Dzwonek się powtórzył, więc podszedłem do domofonu i wołam: „Halo, pan do kogo?”. Zero odpowiedzi. Wyglądam przez kuchenne okno. Przed klatką nikogusieńko, chyba że schował się głębiej pod daszek. Wróciłem do pokoju, dolałem nam obu likieru i pytam, czy bawimy się dalej. Pierre wymamrotał, że chyba mu wystarczy. Starliśmy linie ze stołu, zgasiliśmy świece, a tu znowu domofon. Pierre tak się przeraził, że upuścił talerzyk na parkiet. I po rarytasie! Tak mnie to rozjuszyło, że otworzyłem okno i groźnym głosem wołam: „Pokaż mi się, łobuzie. Miej odwagę. Nieważne, czyś jest stąd, czy...”. W tej samej chwili dzwonek znowu się odezwał. To już nie zabawa, myślę. Dopilem swoje cacao-choix, zapiąłem sandały, bo na takie spotkanie nie wypada iść w kapciach – oznajmił. – Dla bezpieczeństwa wziąłem ze sobą parasol. Wychodzę przed blok, ani żywego ducha. Światła pogaszone, bo kryzys. Miasto śpi. Rozejrzałem się jeszcze. Nikogo. Cisza jak makiem zasiał. Nagle coś mnie tknęło. Zerkam na domofon, a tam... taki ślimak! – huknął, aż pisnęła, kuląc się w fotelu. – Oto jak się kończą podobne zabawy. Myślisz, że wywołasz samego Napoleona, a znajdujesz winniczka.

– To był on?

– Bez znaczenia. W każdym razie, gdyby coś mi się stało – odkaslną, wzruszony

taką wizję – w żadnym razie nie waż się mnie wzywać. Skoro odszedłem, chcę mieć święty spokój, a nie być ściągany w postaci mięczaka.

Sobota

Niektórzy nie potrafią odpuścić. Są niczym Czarny Rycerz z Monty Pythona: pozbawiony w pojedynku obu rąk, skacze na ocalałej nodze i próbuje walczyć, choć nie ma już czym.

– Żałosne – burczała Monique.

A jednak daje się wkręcać Brzytwie, zamiast twardo oznajmić, że ma dosyć szukania dziury w całym. Temat zamknięty! Więc czemu pędzi na Turecką, zamiast pakować plecak do wyjazdu? Asertywność, nigdy nie była w tym mocna. Dziwne, przecież tak łatwo uczyła się nowych sztuczek o obco brzmiących nazwach. Tuż po upadku starego systemu spragnieni zachodnich frykasów Fortunowie łykali wszystko, podobno na zdrowie. Do dziś pamięta smak slim-fastu, który miał jej zapewnić superlinię na studniówkę, a dostarczył jedynie mocnych wrażeń w szkolnym kiblu. Nadal krzywi się na wspomnienie ziół szwedzkich przyjmowanych na trądzik i melisany pitej przez matkę na dobranoc. Zawiodły na całej linii, więc Monique sięgała po nowe, nie tracąc wiary w zagraniczne wynalazki. Wątpiły wtedy jedynie marudy jak wuj August, skazane na porażkę. Ciskał się za każdym razem, gdy czytał o magicznych właściwościach liposomów albo o cudownej terapii hormonalnej. „Wszędzie te same bzdury, w «Ikonie», «Bravo», nawet w «Przekroju» – burczał, nerwowo przerzucając strony. – Zbiorowy zachwyty, za który zapłacą niewinni”. Ale Monique wolała zaufać specom z modnych czasopism. Świat widziany z ich perspektywy zdawał się oferować tyle możliwości. Wystarczy odrobinę się postarać, stanąć na palcach lub, dla odmiany, odrobinę się pochylić. Być elastycznym, reagować na potrzeby rynku. „Bajki dla młodych wilczków” – skwitowała, uświadamiając sobie, że nadal patrzy na siebie oczyma

tamtym speców. Dlatego nie śmie narzekać, bo zaraz słyszy niczym mantrę: „to wszystko twoja wina”.

Nie uskarża się również dlatego, że to niemodne. Jak przeczytała w „Gicie”, Polakom już nie uchodzi; wyczerpali swój przydział w osiemdziesiątym czwartym. Kryzys wymaga... „Kryzys to świetna wymówka, by zaciskać pasa podwładnym, a w nagrodę przyznać sobie sutą premię” – rzucił rozsierdzony wuj. Powtórzyła jego słowa Konradowi. Rzadko rozmawiali o polityce, Monique w porę udało się zmienić temat. Ale tamtego lata, po rozmowie z wujem, nie wytrzymała. Konrad nie odpowiedział od razu. Najpierw otworzył chilijskie wino. Kiedy wypili po kieliszku, oświadczył nagle: „Polacy są zbyt rozpieszczeni przez komunizm. Uważają, że należy im się darmo. Żądają komfortu, opieki, nawet stabilizacji. A przecież wiadomo, że nic tak nie motywuje do działania jak ich brak. Chcesz się rozwijać? Walcz, zamiast narzekać, że kolejka do lekarza jest zbyt długa”. Monique przypomniała mu wtedy nieśmiało, że już nie pamięta państwowych przychodni, bo nie jest ubezpieczona; w telewizji etaty należą się wybranym. „Dlatego właśnie nie chorujesz” – zauważył Konrad i wyszedł do łazienki, by nie rozwijać kwestii ubezpieczenia. Jako małżeństwo nie mieli by z tym problemu, a tak... wolny związek, wolny rynek.

I wolne decyzje, skwitowała, dzwoniąc do drzwi Brzytwy.

Naprawdę w nie wierzy? W gruncie rzeczy nikt jej nie zmuszał, żeby została stylistką. Sama wybrała sobie taki zawód. Wuj, owszem, wskazał azymut, ale niczego jej nie narzucał. Monique sama zgodziła się wyjechać do Paryża, sama zdecydowała o wyprowadzce od Pierre’a i wreszcie o powrocie do kraju. Po skończeniu antropologii mogła zmienić pracę. Ale wtedy jeszcze bawiło ją przebieranie ludzi za kogoś, kim nie byli. Cieszyły ją udane metamorfozy i porządek, jaki zrobiła w cudzej szafie. Ten ostatni cieszy i dziś, w przeciwieństwie do całej reszty. Dałoby się jeszcze wytrzymać, gdyby nie ludzie. Może to syndrom wypalenia? Podobno szybciej dopada osoby usługujące innym. Ciekawe, jak sobie radzili niewolnicy, bez prawa do wychodnego. Żyli o połowę krócej, by się nie męczyć?

– Twoje westchnięcia słychać od parteru – oznajmiła Brzytwa. – Wskakuj do

środka.

Znikła w kuchni. Rozległo się znajome trzaskanie szafkami. Praca kobiet nigdy się nie kończy. Możesz sobie mieszkać w wielkim mieście, wieść swobodne życie singielki, nosić ciuszki, jakich nie wymyśliłby naćpany Paco Rabanne, a nawet mieć odwagę kumplować się z pariasami w postaci gołębi, ale w kuchni nadal się kręcisz jak własna babcia. Nieustanna krzątanina kiedyś działała na Monique krzepiąco. Niczym mocno posłodzona herbata. Ale w zaistniałych okolicznościach... „Nie walcz z negatywnymi emocjami – radził Konrad – pozwól im swobodnie płynąć. Wtedy się uwolnisz”. Lekcje zen dla ubogich, skwitowała z irytacją.

– Wczoraj, gdy już odstawiliśmy cię do tramwaju – zaczęła Brzytwa – gadaliśmy o Auguście. Chodzi o grób.

– Wiem, powinnam go odwiedzić przed wyjazdem.

Zapali znicz, odmówi „wieczne odpoczywanie” i wyszepcze w pustkę kilka zdań bez znaczenia. Czy wtedy jej ulży? Żeby to było takie proste. Modlisz się za spokój duszy, potem wypowiadasz magiczne słowa: „przepraszam” i „dziękuję” („proszę” możesz sobie darować, póki zmarłego nie ogłoszą świętym), wreszcie się żegnasz i odchodzisz ku żywym, by odtąd patrzeć w przyszłość z nadzieją. Ale przecież nie tylko o nią tu chodzi. Zwykła ludzka przyzwoitość nakazuje, by odwiedzić grób. Nawet jeśli Augustowi już wszystko jedno.

– Kevin podał, który to cmentarz?

– Wpadniemy do niego i wszystko ci powie. Ja mam zakaz. – Brzytwa zaczęła szamotać się z oknem. Wreszcie udało się otworzyć jedno skrzydło.

Monique tylko westchnęła. Nie żeby miała coś do ptaków. Zimą dzieli się z sikorkami olejem kokosowym, a latem stawia na parapecie wodę dla wróbli. Potem przemyka na paluszkach, by nie wpaść w szpony sąsiadki z parteru. Ach, więc może tu tkwi odpowiedź, dlaczego Brzytwa woli karmić gołębie u siebie. Nikt jej nie obrzuci wyzwiskami i nie wezwie straży z powodu obsranych parapetów. Więc to wcale nie jest odwaga, a wycofanie...

– Moglibyśmy odbić fotkę na ksero. Czy ty w ogóle słuchasz?

– Mówiłaś o ksero – powtórzyła mechanicznie za Brzytwą.

– Chcemy rozwiesić ogłoszenia w okolicy. Jeśli ktoś znalazł Zuzię...

– Czemu tak ci zależy? Przecież to ja powinnam! – Zdenerwowana przełknęła ślinę. – Dlaczego tak się wkręcasz w cudze historie? Nie masz własnych?

– Zdziwiłabyś się.

– Więc czemu nie odpuszczisz? Nie pogodzisz się z faktem, że już po wszystkim?

– A ty się pogodziłaś? – odbiła piłeczkę Brzytwa.

Bez słowa usiadła naprzeciw i zaczęła głaskać najodważniejszego z gołębi. Kiedy odleciał ze swoim stadkiem, sięgnęła do szuflady i spod papierzysek wygrzebała niewielką książkę o zniszczonej okładce. Monique poznałaby ją wszędzie. Wyrwana z najgłębszego snu umiałaby opisać każdy detal, przynajmniej tak jej się zdawało do teraz. Że też wcześniej go nie dostrzegła: czarnego pieska trzymanego na smyczy przez damę w niebieskim kapeluszu. Zapamiętała szpilki, na których balansowała owa dama, jej dyndające kolczyki i zwalistą sylwetkę, umknął tylko jeden szczegół.

– *Jak oni mają się ubierać* – bąknęła. – To od niego? Od Augusta?

– Kupiłam w antykwariacie zeszłej wiosny. Twój wuj przyniósł parę ciekawostek. Za tę – Brzytwa stuknęła palcem w okładkę – zaoferowano mu piąta, bo ponoć nie ma już chętnych na dobre rady sprzed pół wieku.

Monique poczuła, jak pulsuje jej w skroniach. Cholerne centusie żerujące na cudzej niedoli. Sami niewarci złamanego grosza!

– Podbiłam cenę do dwóch dyszek – pochwaliła się Brzytwa. – Proszę, jest twoja.

Przesunęła książkę po blacie. Monique wstrzymała oddech. Z taką łatwością łyka gratisy na bankietach, a kiedy ma dostać prawdziwy prezent, cała się kuli jak przed niezasłużonym ciosem.

– Więc się poznaliście? – rzuciła, wymamrotawszy „dziękuję”. – Z Augustem i Zuzią. – Czemu nic mi nie wspomniałaś? Nie wyjawiałaś ani słowem! Zerknęła na Brzytwę z niemym wyrzutem. – Dlatego się angażujesz? Bo nie są ci obcy?

Brzytwa wzruszyła ramionami. „Niech sprawiedliwość zapanuje na ziemi” – przypomniała sobie Monique. Sprawiedliwość... można szukać jej ze świecą!

– Jaki on był? – zapytała. – Nadal podobny do żandarma?

– Jeszcze bardziej! – przytaknęła Brzytwa. – Napuszony jak sam Cruchot.

– Nie brakowało mu pewności siebie.

– Tam, w antykwariacie, wydał mi się raczej zagubiony i nieśmiały. Choć oczywiście zadzierał nosa. Niby nieufny, ale dałby się oskubać każdemu. Narzekał na upadek obyczajów, wieszcząc koniec świata, a jednocześnie wierzył.

Umilkła na chwilę, zamyślona.

– Widziałaś ten filmik z rewolucji w Pekinie w 1989?

Monique trafiła na niego przypadkiem, oglądając stare teledyski Kultu. Do dziś pamięta tamtą scenę nakręconą kilometr od placu Niebiańskiego Spokoju, na alei Wiecznego Pokoju. Szerokimi alejami powoli suną czołgi, by dokonać masakry na protestujących studentach. Naprzeciwko nich staje drobny mężczyzna z siatkami w dłoniach. Macha nimi, by zatrzymać maszyny. Wspina się na wieżyczkę strzelniczą i krzyczy coś do żołnierzy w środku. Ale czołgi jadą dalej. Nawet dziś, inne są tylko flagi, pomyślała Monique. Masakry trwają, a tamtego mężczyzny już nie ma. Pewnie zginął wraz z milionami niewinnych w chińskim obozie pracy. Może wyprodukowane przez niego zabawki zdołały któryś z dziecięcych pokoików, by po sezonie trafić na śmietnik.

– Facet w białej koszuli, Tank Man, kojarzysz? – podjęła Brzytwa. – Przypomina mi Augusta. Też nie zgadzał się na barbarzyństwo i próbował mu przeciwdziałać.

– Stając na drodze czołgom?

– Może wierzył, że w środku siedzi człowiek, nie android. Że coś da się jeszcze uratować. Tego im obojgu zazdroszczę: wiary.

– Myślałam, że skoro protestujesz pod magistratem...

Brzytwa zaśmiała się cicho.

– Znasz dowcip o żarówce? Ilu wegan trzeba, by ją wymienić? Żadnego! Nawet milion niczego nie zmieni.

– Więc po co ściągałaś majty?

– Bo lubię pokazywać – wysunęła środkowy palec – zwłaszcza władzy. Tyle mi zostało.

Puste gesty, pomyślała Monique, wpatrzona w okładkę książki. Dopiero teraz

dostrzegła cenę: piętnaście złotych. Ciekawe, ile kosztował wtedy chleb i butelka piwa. Na ile ceniono życzliwość?

Wyjęła z kieszeni e-papierosa i wymieniła zużyty kartridż. Kiedy człowiek skupi się na prostej czynności, ma szansę się nie rozkleić.

– Wuj bywał na jakichś protestach? – spytała, zaciągawszy się parą o zapachu wanilii.

– Buntował się w inny sposób. Wiesz jaki.

Codziennie starannie się ubierał, nakrywał do stołu, dbał o dobre maniery sąsiadów, walczył z zalewem chamstwa i arogancją władzy, śląc listy do radnych. No i trzymał fason, nawet przed nią. Zamrugła szybko, próbując zatrzymać napływające łzy.

– Byłaś u niego w domu, więc musiał cię polubić – wykrztusiła. – Niechętnie przyjmował gości, nawet jeśli opowiadał co innego.

Trzeba nadawać bez ustanku, byle zagłuszyć ciszę, inaczej Monique zaraz się rozpadnie na atomy. A tego się nie robi nawet bliskim znajomym. Ich wymuszone współczucie krępuje ją jeszcze bardziej niż nieświeży oddech Renaty.

– Wpadałam od święta – odparła Brzytwa. – Za to chrzestny bywał tam niemal co tydzień. Ma kręcka na punkcie starych książek, dlatego poznałam go z Augustem. Dokonali wielu transakcji, które, co rzadko się zdarza, zadowolili obie strony. Myślę, że parę albumów chrzestny chętnie ci przekaże, choćby z wdzięczności wobec Augusta.

– Niby za co?

– To długa historia, ekscytująca wyłącznie dla jej głównego bohatera. Słuchaczy na ogół usypia, więc postaram się zapodać telegraficzny skrót. Mój chrzestny – zaczęła – jest utkany z lęków. Do spotkania z Augustem drżał z byle powodu jak osika. Dopiero twój wujek przekonał go, że jeśli już się bać, to wielkich rzeczy: zamachów, wojen, kataklizmów. Podziałało. Teraz chrzestny wybiera zagrożenia z najwyższej, jak by to ująć, półki, byle gównu w postaci sąsiadki donosicielki już go nie rusza.

Monique przypomina to zamianę siekierki na kijek, ale nie będzie odbierać

komuś kruchej radości.

– Zawsze coś – bąknęła, zmieniając temat. – Dobrze wiedzieć, że nie wszystkie książki zgniły na śmietniku.

– Tych najcenniejszych August się nie pozbywał. Chciał je przekazać... To nie twój telefon? – ożywiła się nagle Brzytwa. – Coś dzwoni na korytarzu. Może Kevin?

Monique z ulgą wybiegła z kuchni. Wyszperała komórkę z kieszeni płaszcza, sprawdziła numer. Nieznany, co znaczy tylko jedno. Trzeba oddzwonić, zdecydowała, ocierając łzy. W tej branży nikt nie lubi czekać.

– No heja! – zaświergotała Iga. – Przynoszę news roku. Nowy zarząd łyknął twój projekcik.

– Minimalizm – potwierdziła Monique. – Wiem od Konrada.

– Bardzo ci kibicuje. W naszym światku to raczej rzadkość. Pozazdrościć.

Iga nieraz gratulowała jej faceta. „Nie zdradza, nie wciąga, a zamiast ryby kupuje ci wędkę”. „Czasem karmi mnie sushi” – dodawała Monique z poważną miną. Tłumaczenie nie miało sensu, bo i co mogłaby powiedzieć, skoro sama straciła rozeznanie. Kiedyś jej się wydawało, że biegną z Konradem w tym samym kierunku i w jednakowym tempie, ale odkąd jej sytuacja uległa pogorszeniu, Monique czuje, że to tylko przypadkowa zbieżność trajektorii. Konrad w niczym nie zawinił. Próbuje nawet ciągnąć ją za sobą. Niczym ołowianą kulę, uświadomiła sobie z przykrością.

– Wiesz, co zdecydowało? – dobiegł ją radosny głos Igi. – Próbne nagrania z marca.

– Przecież wypadły słabo.

Jak pomidorowa przerobiona z wczorajszego rosółu. Ale na przednówku nawet „biedazupa” nabiera szczególnego smaku.

– Nowy boss twierdzi – Iga zrobiła dramatyczną pauzę – że masz potencjał komediowy. Przypominasz mu, nie uwierzysz kogo...

Jasia Fasolę? Bo chyba nie Kate Moss, nie ma w niej nic zabawnego. Nawet upija się na smutno.

– Babeczkę z *Misia* – zdradziła wreszcie Iga. – Boss twierdzi, że macie podobny

akcent, sposób mówienia, nawet miny. Musisz tylko dopracować fryzurkę – dodała.

– Super – mruknęła Monique, próbując sobie przypomnieć, jak się nosiła dziewczyna *Misia*. Ale wciąż miała przed oczyma jedynie jej rozchełstany szlafroczek i sztywno wypowiedziane: „Ach, taka jestem dziś nieubrana”.

– Chcemy powtórzyć zdjęcia. W poniedziałek.

– Mam się stawić w podomce? – pozwoliła sobie na błady żarcik.

– Wystarczy, jeśli podetniesz włosy – odparła Iga całkiem serio. – Zarzuć kolorek, za to odpuść sobie korektory i... po prostu bądź sobą.

Sobą, udającą kogoś innego, by jak zwykle zadowolić cudze gusta.

– A z programem pokombinować czy zostawić, jak jest?

– Program, srogram! Liczy się, że przypasowałaś bossowi. Masz fart. Tyle lasek marzy, by choć raz zabłysnąć na wizji. Niektórzy udusiliby własną ciotkę, by móc o tym opowiedzieć u Drzyzgi. Lans rządzi!

Według danych Monique raczej nie chodzi o lans, a o tych parę groszy, za które można uzupełnić zapasy siarkowego wina. Ale Iga ma prawo do swoich złudzeń. Po latach spędzonych w telewizji człowiek traci kontakt z realiem.

– Parcie na szkło to jeden z najsilniejszych popędów – przypomniała. – Czyli jak? Jesteśmy umówione?

– Na pewno w poniedziałek? Wypada lany...

– Kochaniutka, tu są media! Tu się tyra tłenti for sewen. To o której będziesz? W samo południe, z nową fryzurką na *Misia*?

Monique nie zdążyła przytaknąć; w słuchawce rozległo się kliknięcie. Nieśpiesznie wróciła do kuchni, ciężko klapnęła na krzesło i znowu wbiła wzrok w okładkę.

– Kiedy jedziesz?

Czy powinna wyjaśnić Brzytwie, jaka to szansa? Jedyna, by wyjść na prostą bez robienia rewolucji w życiu. Odzyskać wreszcie to, co straciła. Poza czasem...

– Chyba jutro.

Z niechęcią pomyślała o swojej kawalerce. Rozmrożona lodówka, ciemno w łazience, wszędzie ciemno. Powinna zadzwonić do Elektrona i umówić się na

ponowne podłączenie prądu. Ale czy komuś zechce się jechać w święto? A gdyby została w mieszkaniu Aleksa aż do poniedziałku, wsiadła w poranny pociąg i prosto z dworca podskoczyła do stacji? Przecież nie musi się szykować, wystarczy, że będzie sobą: wymiętą, nieco sztywną czterdziestką z podkrążonymi oczyma i zabawnym akcentem.

– W lany poniedziałek – zdecydowała.

– Świetnie! Kevin się ucieszy. Chciał nas zaprosić do siebie na świąteczne śniadanie.

– No i zdążylibyśmy odwiedzić grób Augusta.

– Jeden na pewno! – odparła Brzytwa, zerkając na swój elektroniczny zegarek. – Zbieraj się, jesteśmy umówione.

*

– Bez jaj? – zdziwiła się Monique.

– No chyba że własne – Brzytwa poklepała się po zapadniętym brzuchu. – Te chętnie poświęcę.

– A co do koszyka?

– Czasem lepiej nieść pusty, niż wypełniać cudzymi komórkami. To jak z bielizną. – Posłała jej łobuzerski uśmiech. – Lepiej chodzić nago niż w spranych gaciach ukrytych pod świąteczną koronką.

Pije do artykułu ze „Światowida”? A więc musiała go przeczytać... Monique poczuła, jak purpurowieją jej uszy. Niby ma dystans do swojej pracy i cudzych ocen, ale najwyraźniej jej uszy o tym nie wiedzą. Chyba że to pierwsze uderzenia gorąca. Na samą myśl oblała się szkarłatem aż po dekolt. Jakby zbliżająca się menopauza była strasliwym przewinieniem, którego należy się wstydzić przed resztą świata.

– Całkiem zabawny tekścik – rzuciła Brzytwa pocieszająco.

Monique tylko machnęła dłonią.

– Pusty koszyk to pusty rytuał – wróciła do tematu święconki.

– Myślisz, że ludzie traktują go serio jak pradawni Słowianie? To tylko kolejny flash mob, który pozwala jakoś spędzić deszczową sobotę. Wczesna wiosna nie

oferuje gawiedzi wielu rozrywek.

– Okej, gawieź bawi się, jak umie, a ty czemu nie odpuścisz?

– Może brak mi odwagi, żeby odstawać od tłumu? A może lubię zbiorowe zabawy? – zerknęła na Monique, dodając: – To pomysł Kevina. Chciał pogadać przy grobie.

– Chyba Augusta, a nie przy jakiejś dekoracji z gniecionej tektury!

– Czasem nie ma różnicy. – Brzytwa pociągnęła ją za pasek. – Musimy przyspieszyć, bo Kevin już czeka. Umówiliśmy się przed spożywczaikiem. Od razu kupię coś do święcenia. Może uda się pożyczyć sklepowy koszyk, będzie jak znalazł.

Bylejakość, wuj August by tego nie pochwalał. Jeśli już robić, to porządnie, mawiał. Jego kosz wielkanocny był tak bogato przystrojony, że ściągał uwagę wszystkich w kościele. Monique czuła się przy nim... jak meksykańska pomywaczka, która zaplątała się przypadkiem na czerwony dywan w Hollywood. Brakuje tylko fleszy, mruzczała skulona w ławce. Po powrocie z ulgą odstawiła kosz na komodę. Nabrała dystansu dopiero w Paryżu, tam też doceniła wujowy rozmach. Ale nadal nie lubi zwracać uwagi przypadkowych gapiów. Małomiasteczkowe kompleksy. Można je ukryć, ale nie da się ich wyplenić.

– Jesteście! – usłyszała głos Kevina. – Czułem, że nie wyjedziesz!

– Dopiero w poniedziałek – przytaknęła. Był tak uradowany, że posłała mu życzliwy uśmiech.

– Poczekacie? Zabrakło mi drożdży.

– Wejdziemy razem – oświadczyła Brzytwa. – Wrzucę coś do koszyka.

– Super!

Ciesz się, jakby było z czego. Przecież to tylko zakupy, które od biedy można nazwać świątecznymi. Prowizorka, skwitowała, starając się nie pamiętać ostatniej Wigilii z Konradem. Na godzinę przed wieczerzą odkryła, że nie ma opłatka. Tak się skupiła, by zamówić właściwe pierogi, że opłatek wyleciał jej z głowy. Do kościoła nie udało się dostać; był zamknięty jak zawsze, więc Monique pobiegła do marketu i zaczęła przeszukiwać kartki świąteczne. Wreszcie znalazła ostatnią, kicz nad kicze, ale z dołączonym opłatkiem.

– Zrobiłbym pizzę – podjął Kevin. – Ale wuj wspominał, że nie znosisz sera. Więc focaccia z wypasionym wierzchem. Reflektujesz?

Zapamiętał, a ona? Przez pół roku wspólnego mieszkania z wujem nie zadała sobie wysiłku, by zapytać, czego nie jada. Wiedziała, że August gardzi dziadostwem, ale co to właściwie znaczyło? Czy unikał pustych kalorii opatrzonych modną etykietą, a może z braku środków zgadzał się na kompromisy jak wszyscy dookoła... szkoda, że Monique już nigdy nie pozna prawdy. Pieprzone grzechy zaniechania! Poczula, że dłużej nie wytrzyma, musi wyjść, inaczej zacznie krzyczeć na całe gardło. Zdenerwowana wepchnęła się do sklepu przed wychudzonym żulikiem i pomaszerowała do działu z mrożonkami. Przesunęła szybę i stała nachylona nad paczkami lodów, wdychając suche mroźne powietrze. Zimno, tego jej trzeba.

– Szefowa powinna morsować. Takie warunki.

Już słyszała ten głos, schrypnięty od setek wypalonych papierosów i nocnych libacji ciągnących się aż do podwieczorku.

– Pan Gruda – bąknęła.

– Dzień dobry! – huknął, stając na baczność.

Nauka nie poszła w las. August byłby usatysfakcjonowany.

– Święta idą, a pogoda nie rozpieszcza? – zagaił.

Skinęła, odgarniając kosmyk z czoła. Byle coś zrobić z dłońmi.

– Bida, panie dzieju – ciągnął, niezrażony jej milczeniem. – Właśnie sobie pomyślałem, czyby mnie szefowa nie wspomogła. Wielka Sobota, a tu nie ma co wrzucić do koszyka.

– Chodzi pan święcić?

Ups, nie powinna zadawać takich pytań człowiekowi, którzy przegrał wszystko, nawet to, co do niego nie należało.

– Może i nie wypada takiemu pijakowi – przyznał, potarłszy sinawy nos. – Ale z drugiej strony, co innego robić w sobotę?

No właśnie. Żadnych opcji.

– Piątka wystarczy? – Zaczęła powoli grzebać w pustawym portfelu.

Ci, którzy najbardziej potrzebują wsparcia, nigdy nie poproszą, bo im wstyd

żebrać, przypomniała sobie słowa Augusta.

– Jakby się znalazło ciut więcej, ja się tam nie obrażę. Wypiję za pana kierownika, co go już nie ma z nami drugi miesiąc.

August na pewno to doceni, skrzywiła się lekko i nagle dostrzegła skupioną twarz Brzytwy. Podążyła za jej wzrokiem. U stóp Grudy stał plastikowy kosz na zakupy, a w nim sześciopak najtańszego piwa, badziewny serek popularnej marki, wczorajsza weka, gazeta z programem telewizyjnym. I puszka kocięj karmy.

*

– Wróciła trzy dni potem, to co miałem zrobić, panie dzieju? – tłumaczył się Gruda, wpuszczając ich do swojej meliny. – Nastroszona, brudna jak moje buty, płakała przed drzwiami siedemnastki. Więc zabrałem do siebie. Nakarmiłem, dałem wody, no i została bida jedna. Co na nią popatrzę, to mnie coś za gardło ściska, że pana kierownika z nami nie ma.

Zdenerwowany otworzył piwo i opróżnił do połowy. Odpiął się wreszcie od puszki, beknął, przepraszając zaraz „szanowne panie oraz pana kierownika”, i wreszcie wymamrotał:

– Gdybym wiedział, że tak to się wszystko potoczy. Ech, szkoda gadać. – Nagle dotarło do niego, że stoją wciąż na korytarzu.

– Wejdźcie dalej – bąknął, drapiąc się po resztkach skołtunionych włosów. – W pokoju mam nienapalone. To może kuchnia, tam cieplej i ogarnięte przed świętami.

Powiedzmy, wzdrygnęła się Monique. Przysiadła na brzeжку stołka i omiotła litościwym wzrokiem wnętrze. Jeszcze brudniej niż w siedzibie Versalu. Cerata pokryta lepкими plamami po czerwonym winie, zmatowiałe linoleum na podłodze, w zlewie góra naczyń: wyszczerbione talerze, aluminiowe łyżki i kubki bez ucha. Pęknięte okno zalepione taśmą, firany w odcieniu betonu, na ścianie potężny liszaj grzyba. I ten wszechobecny smród meliny... powinni go sprzedawać w sprayu dla nałogowych obżartuchów. Jedno psiknięcie do nosa i po apetycie.

– Poczęstowałbym czymś. – Gruda otworzył lodówkę, by zaraz ją zamknąć.

– Nie ma potrzeby! – zapewnili zgodnym tonem.

– Tak to jest, jak się mieszka samemu, bez baby. Nikt nie ściga, to i starać się nie chce... Dziw, że pan kierownik tak se radził w pojedynkę. Lodówka pełna, książki równo na półkach.

– Pan był u niego? Kiedy? – zainteresowała się Monique.

Gruda zaczął się nerwowo kiwać na stołku.

– To miał być kawał – wyduśił wreszcie, obracając w dłoniach puszkę. – Mały psikus, a ja strasznie potrzebowałem się napić. Do renty daleko, znikąd ratunku i nagle słyszę, że jest sprawa do załatwienia. Na zachętę kupili mi wina. Nie wiecie nawet, jak to jest, kiedy człowieka suszy i nie ma skąd wyprosić grosza, bo już wszyscy na ulicy odganiają.

– Wiemy – odezwał się Kevin. – Człowiek dziecko by własne sprzedał. Bez targowania.

– Jak ma, a taki strzęp samotny co może sprzedać? Nic, tylko płakać do księżycy. Nagle spada mi na podolek oferta: zatankujesz, panie, do pełna, w zamian chcemy tylko jeden mały figiel. Nie dałem się prosić.

Dopił piwo, westchnął głęboko i podjął opowieść.

– Mówią, że w piątek trzynastego trza uważać, ale o sobocie to już nikt nie wspomni, wręcz przeciwnie. Walentynki, do tego ostatki, nic, ino się cieszyć. Więc i ja sobie wypilem, żeby nie skopać roboty. Jak tylko pan kierownik trzasnęła drzwiami, wspiełem się na drzwi przeciwpożarowe od oficyny. Wdrapałem się na stary stołek, co po nieboszcze spod szesnastki został, polanem zbiłem szybę od łazienki. Tu mnie trochę nerwy wzięły, że za szkodę kuratorka policzy, ale przecież sama namawia... – Umilkł stropiony. – Więc łyknąłem se wina dla kurażu i wlałem do środka. Zuzia siedziała pod drzwiami, jak ten pies. Kierownik nie lubiał jej zostawiać, ale wtedy wywabili go samego, żeby kawał się udał. Ja, nie czekając, cap kotkę do koszyka i z powrotem. Potem od razu ją wywozłem na ogródki. Podali mi adres działki, żebym tam zostawił Zuzię. Na dobrę, mówili, a jutro się ją zwróci. August tak wszystkich wkurzał, że chcą utrzyć mu nosa. No i ta wódka na zachętę, do tego wino, a tu koniec karnawału. Siedzieć o suchym pysku nie uchodzi.

– Nie uchodzi – przytaknęli niemal jednocześnie.

– Zostawiłem kota obok altanki, wsiadłem do dwieście sześćdziesiąt dziewięć, bo akurat jechało. Potem od pętli już na nogach. Wchodzę do kamienicy i nagle słyszę straszliwy krzyk. – Gruda chwycił się za skronie. – Będzie mnie prześladował w piekle. Całą wieczność.

– Nie pobiegł pan sprawdzić?

– Zabrakło odwagi – przyznał zafrasowany. – Zamiast tego pogałem do sklepu po jabcoka. Wypiłem pod murem Augustianów, a jak żem wrócił, pogotowie już zabrało pana kierownika. Choć nie było po co, umarł w ambulansie. Nie spałem dwie noce, tylko piłem na umór. W śledzika wróciła Zuzia, no a w Środę Popielcową chlapanąłem setkę i zastukałem do tego... – przeklął cicho. – Spojrzał się na mnie, panie dzieju, jak na kosmitę. Jakbyśmy nigdy nie gadali. „Panie Gruda, coś się panu zmyliło. Za dużo pan pije i stąd te omamy. Przecież mnie w Krakowie nie było od tygodnia, a pan tu o szybie, że niby ja kazałem”. Tak mnie zatkało, że nie dałem rady ani słowa wykrztusić. A ten nagle się uśmiecha i mówi, że po starej znajomości nikomu nie wypapla. „W administracji wymienią szybę i o wszystkim się zapomni. Bo sąsiedzi muszą sobie pomagać. Tylko niech już pan nie rozpowiada, jak to Nocny pana sztorcował. Ktoś zacznie węszyć i będą kłopoty”. Tak się przestraszyłem, że skinąłem głową i wyszłem. To znaczy wyszedłem – poprawił się zaraz.

– Więc kto podał adres na działkach? Pałka czy Rechotek? – dopytywał Kevin.

– Czasem mi się zdaje, że może to wszystko sam uknułem, bez osób trzecich. Coś mi strzeliło do łba w złej godzinie. Kierownik mi dojadł, bo tylko sztorcował i sztorcował, nawet papierosem się nie podzielił jak dawniej. Więc może ja sam, przecież Tolusia nie było w mieście. Na narty pojechał... Tylko skąd ten alkohol, skoro nie miałem wtedy ani grosza?

Gruda znowu chwycił się za skronie i zaczął je pocierać.

– Przed sądem pan nie zezna? – wypaliła Monique.

– Na sucho? – przeraził się Gruda. – I co im powiem, szefowo? Żem się włamał do cudzego mieszkania? Jeszcze by mnie na stare lata zamkli!

Rozkleił się na dobre, a oni siedzieli w milczeniu, starając się nie patrzeć na jego

mokrą od łez i smarków twarz. Bo i co mogli zrobić? Poklepać biedaka po chudym ramieniu? Zapewnić, że wybaczą mu nie swoje krzywdy? Nagle usłyszeli ciche skrzypienie drzwi. Monique odwróciła głowę w stronę korytarza i dostrzegła filigranową kotkę o trójkątnym pyszczku. Powinna odczuć ulgę na jej widok, ale poczuła tylko niepokój.

– Co teraz? – wyszeptała do siebie.

– Może zostać u mnie – skwapliwie zaoferował się Gruda. – Byle się znowu nie wymkła, bo zaraz pod siedemnastkę leci i zawodzi pod drzwiami pana kierownika. Płacze tak, że dusza się rozpada. Dobrze, że tego... – wzrokiem wskazał sufit – w domu nie było. Bo ze zwierzętami to on się, panie dzieju, nie obcyndala. Na parapecie takie ma szpikulce na ptaki! A psa swojego w klatce trzymał, żeby mebli mu nie gryzł wydartych za półdarmo od sąsiadów.

Czy to znaczy, że część rzeczy po Auguście zdobi teraz sąsiednie mieszkanie? Czy jest tam cenna witryna? A jeśli, to czy przypomina Tolusiowi o tym, do kogo należała? Czy burzy wewnętrzny spokój? Na pewno, zaśmiała się Monique. Zawstydzona Tolusia niczym okazjnie zdobyte trofeum.

– Ten pies chlipał i chlipał – ciągnął Gruda – aż kierownik nie wytrzymał i wezwał Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Nawet nie chciało im się przyjeżdżać, kazali złożyć podanie. – Machnął drżącą ręką na znak, że nie warto rozwijać tematu. – Potem Pałce szczeniak się znudził, więc go wywiózł, strach myśleć dokąd. Ale ja bym Zuzi upilnował – zapewnił szybko. – Zawsze to raźniej we dwójkę. Jakby tak jeszcze dyszka się znalazła.

– Mogę ją wziąć do siebie – odparła Brzytwa, zwracając się do Grudy. – Bez obaw, dyszka i tak się znajdzie.

– Ja nie dlatego – bąknął speszony. – Święta idą, chciałem kupić biduli coś ekstra zamiast tych puszek.

– W zasadzie to ja powinnam – bąknęła Monique.

Miałyby szansę skończyć z cholernym tymczasem. Wyzerować system i żyć od nowa, jakby nic się nie stało. Naprawdę w to wierzysz?, spytała samą siebie, wpatrzona w żywy posążek. Ich czworo i kotka naprzeciwno. Miniprzyczyna

maksizamieszania. Zuzia ziewnęła, wstała, lekko się przeciągając, i powoli podeszła do Kevina. Odczekała, aż ten zrobi jej miejsce, wskoczyła mu z gracją na kolana, a stamtąd na bark.

– Poznałaś! – ucieszył się Kevin.

Monique aż coś ścisnęło za gardło. Jest dla Zuzi całkiem obcą osobą, na własne życzenie.

– Chyba wybrała następcę – oznajmił Kevin, nie kryjąc zadowolenia.

Gruda znowu się rozszłochał.

– Żeby tak cofnąć czas do walentynek, to ja bym za żadne skarby nie włożył przez tamto okienko. Już bym wolał, żeby mnie kierownik męczył aż do śmierci.

Pewnie będzie, pomyślała Monique z litością. Gruda nie budził w niej gniewu. Był przypadkowym narzędziem w rękach sprytniejszych od siebie. Nawet nie człowiekiem, tylko środkiem do celu.

– Na nas chyba pora – oznajmił Kevin, wręczając żulikowi wizytówkę i banknot. – Jeśli uzna pan, że może zeznawać przed sądem, proszę dzwonić. August bardzo by to docenił, ja również. A znam się na winach...

Gruda oblizał się łapczywie, zamrugał i nagle jakby uszła z niego cała para.

– Nawet bym teraz nie trafił do tamtych ogródków i nie wiem, kto mi dał na alkohol. Ale jakby coś... to się odezwę – obiecał bez przekonania i zaraz wstał, by dać do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca.

Pożegnali się przed kamienicą. Gruda z banknotem w kieszeni ruszył żwawo w stronę monopolowego, nawet się za siebie nie oglądając.

– To sporo zmienia – odezwała się wreszcie Brzytwa, wpatrzona w jego malejącą sylwetkę.

– Nie dla sądu. Trzeba mocnego świadka. A Gruda jest odważny tylko po winie. Jak oni wszyscy – Kevin mruknął z tłumioną złością. – Wtedy każdy chojrakuje! Babę w kiosku zwyzywa, policji wygraża, żonę kopnie, dzieciaka sklepie na granatowo.

– A bez Grudy?

Kevin uśmiechnął się przeproszająco.

Jeśli w tym pięknym kraju wzięty prawnik okazuje bezsilność, to co może stylistka, która zna wyłącznie kodeks *savoir-vivre*'u? Odpuścić – łatwo powiedzieć komuś, kto jest cholernym kwiatem lotosu unoszącym się na środku bezkresnego jeziora. Kto nie czuje się winny, bo nie ma powodu. Zrobił wszystko na czas, a teraz może sobie lewitować z głupawym uśmiechem na twarzy.

– Zawsze możemy się odwołać do *vox populi* – podsunął bez przekonania.

Vox populi. Tak August tłumaczył sukces brukowców i plotkarskich portali. „Udają głos ludu, odwołując się do jego niskich gustów, gminnej moralności i lubowania się w podglądactwie. Punktują błędy tych, którym rzekomo się powiodło, ku uciesze tłuszczy” – rozprawiał. Kiedy przyznała się, że pisuje do „Światowida”, zacytował przysłowie o krawcu. „Kraje, jak mu staje. Oczywiście materiału – dorzucił poważnym tonem. – Bo co innego raczej opada. Trudno o podniecie cytrynową satyną”.

– Jak sobie wyobrażasz – zwróciła się do Konrada – podburzanie ludu, by dał głos?

– Dotarcie do mediów?

No jasne! Ludzie myślą, że skoro Monique mignęła w telewizji, ma wydeptane dojścia. Nawet gdyby, dla reporterów z *Uwaga, skandal* to żaden temat. Bo i czym tu zszokować publiczność? Niepotwierdzoną plotką, że samotnemu emerytowi skradziono kota, by zszedł na zawał? Że zajęto jego udział, wcześniej czyszcząc mieszkanie z wszystkich pamiątek? Przecież to normalna kolej rzeczy. Ktoś umiera, ktoś zagarnia jego poletko. Tańczymy na cudzych grobach, niewiele sobie z tego robiąc.

– Możemy podsunąć temat scenarzystom *Ukrytej prawdy* – sarknęła. – Na pewno się ucieszą.

Choć pewnie wytną fragment o skradzionej witrynie pełnej książek. Wielbicieli takich programów starymi książkami hajcują w piecach.

– Może wdepniemy do mnie? – zaproponował Kevin. – Mokniemy jak te gawrony, a u mnie sucho, ciepło, pełna lodówka. No i Zuzi mi szkoda, że tak siedzi skulona pod kurtką. Tak, to o tobie, skarbie – dodał wpatrzony w chudy pyszczek

wynurzający się spomiędzy rozpiętych pól. – O tobie. Idziemy do domu!

*

Może tak się podejmuje najważniejsze decyzje. Zamiast odwlekać je w nieskończoność, pstryk i gotowe! Że też Monique tego nie potrafi. Musi się bardzo wkurzyć, by zrobić coś od strzała, na gorąco. Zwykle jednak odkłada na później... Cholerna prokrastynacja, rozwala grafik bardziej niż nieleczone wrzody, westchnęła, wlokąc się za Brzytwą i Kevinem.

– O czym tak głośno myślisz? – Brzytwa odwróciła głowę.

– O niczym ważnym. Po prostu... zastanawiałam się, jak można zająć cudze mieszkanie – zmyśliła na poczekaniu. – W bloku to nie do pomyślenia. Nawet jeśli lokal stoi pusty, nikt go nie tknie.

– W bloku masz wydzielone mieszkania. W kamienicy Augusta nie było podziału.

No i wracamy do punktu wyjścia, skrzywiła się Monique. Ale czyja to wina? Kto podsunął taki temat?

Brzytwa zwolniła kroku.

– Wyobraź sobie taką sytuację – zaczęła. – Twój dziadkowie mają dom, a w nim sześć pokoi.

– Jakbym go widziała. Dwupiętrowy, z bali, dach kryty gontem. Dziadek Fortuna budował go z drewna załatwionego nielegalnie.

– Mniejsza o surowce – ofuknęła ją Brzytwa. – Dziadkowie umierają, dom dziedziczy trójka dzieci. Dopóki nie przeprowadzą podziału w sądzie, każde figuruje jako właściciel jednej trzeciej domu. Tyle wynosi udział, czasem przelicza się go na metry, ale nie wyszczególnia, która to część domu. Strych? Piwnica? Piętro z tarasem?

– Już kumam.

– Sytuacja się komplikuje, kiedy jedno z dzieci wyjedzie za granicę, a rodzeństwo zajmuje jego pokoje, bez pytania.

– Tamten z zagranicy może domagać się zwrotu.

– Nawet odszkodowania za czerpanie pożytków – wtrącił się do rozmowy Kevin. – Musi tylko wiedzieć, że ktoś zajął mu pokoje. I mieć świętą cierpliwość, bo takie sprawy ciągną się latami. W polskich sądach pracują szczęśliwi ludzie: nikt nie liczy czasu.

Dlatego w rodzinnych stronach Monique ludzie załatwiają to po swojemu. Kiedy stryjek jej pierwszego chłopaka podstępem zajął całe piętro willi po dziadkach (choć według wyliczeń należała mu się dziupla wielkości kuchni), krewni nie tracili czasu na ciągnięcie się po sądach. Ubezpieczyli budynek i wyjechali na wakacje do Tunezji. Pod ich nieobecność w domu wybuchł straszliwy pożar. Odszkodowanie starczyło na budowę nowego domu, a nawet na gustowny nagrobek dla nieszczęsnego stryjka. No i oszczędzono na kremacji.

– Załóżmy, że ten za granicą umiera – ciągnęła Brzytwa. – Zostawił spadkobiercę, ale dopóki się nie zgłosi, rodzeństwo rządzi cudzym majątkiem. Może wynająć pokoje, oczyścić z rzeczy. Nie może tylko ich sprzedać.

– Zupełnie jak Toluś.

– Bingo!

– Kuratorka, nie wiedzieć czemu, przymyka na wszystko oko, a nawet sama wręcza klucze. Więc gostek jest bezkarny. – Monique aż przygryzła rękawiczkę.

Niby powinna się już przyzwyczaić, że świat jest pełen takich cwaniaków. Obchodzą przepisy, kpiąc z wymiaru sprawiedliwości, a uczciwy człowiek nie ma za co spłacać kredytu. Powinna się przyzwyczaić, ale za każdym razem gdy o nich słyszy, krew ją zalewa.

– Dopóki nie zmieni się kuratorka, Pałka jest nie do ruszenia. Chyba że spadkobiercy przejmą wreszcie majątek. Na razie sprawa spadkowa jest w toku – wyjawiał Kevin. – Będę ją śledził aż do orzeczenia.

Więc tyle można zrobić Tolusiowi? Śledzić sprawę, licząc na aktywność spadkobierców?

– Kuratorki nikt nie rozlicza? – spytała Monique wzburzonym głosem.

– Powinien sąd, ale komu chce się czytać sprawozdania. Dlatego klepie wszystko, chyba że właściciele zawetują. Ci mogliby sporo zmienić. Na przykład

kuratora. Jesteśmy w domu. – Otworzył szeroko drzwi.

Dopiero teraz zauważyła, że są pięknie odrestaurowane, całkiem inne niż u reszty sąsiadów. Jakby ściągnięto je z bogatszej kamienicy. Czy w ten sposób można się odgrodzić od bolesnych wspomnień? Uwolnić... „Uwolnić się? – zauważyła niedawno Brzytwa. – Można tylko próbować. Bez końca”.

– Żadnego ściągania butów – zastrzegł od razu Kevin, zapraszając je do swojej kuchni. – Tego nauczył mnie August: nie zabierać gościom obuwia. Łażenie na bosaka pozbawia człowieka godności.

Powiedz to Cejrowskiemu, zaśmiała się pod nosem Monique.

– Długo nie mogłem w to uwierzyć – podjął Kevin. – Aż kiedyś zobaczyłem na lotnisku w Balicach Ukraińców przechodzących boso przez bramki. Tylko im kazano zdejmować buty. Od śmierci starszych rzadko wstydzę się za kogoś innego, ale wtedy...

Pokręcił głową i zajął się Zuzią. Wyjął niewielki spodek, napełnił wodą, postawił na stole, a potem sprawdził w lodówce, czym mógłby ją poczęstować.

– Niby pełno jedzenia, a jednak... mizeria. Chyba że zjadłaby twarożek. Co ty na to, Zuzia?

Monique poczuła łaskotanie na karku. Dotąd sądziła, że niekwestionowanym mistrzem od wzbudzania podobnych doznań jest Aleks. Wystarczy, że szepnął jej coś do ucha, i od razu ciarki. A może brakuje jej zwykłej czułości. Nie tańca godowego, zbyt nachalnie okazywanego pożądania, nietrafionej matczynej troski, taniej kokieterii, a odrobiny ciepła. Tylko jak je wykrzesać, nie będąc uroczą kotką o trójkątnym pyszczku?

– Czekaj, czekaj! – ożywiła się Brzytwa. – Przecież u mnie w kuchni stoją trzy puszki przedniej karmy. Kupiłam dla Maurycego, bo biedak leci na samych granulkach. Zaraz przyniosę.

Zanim Kevin zdążył przytaknąć, już jej nie było. Trzasnęły drzwi. Zostali tylko we dwoje, nie licząc Zuzi. Właściwie dlaczego ma ją wykluczać? Bo nie należy do *homo sapiens*?

– Skoro nie ma Brzytwy... – zaczął Kevin nieswoim głosem.

– Mówiłeś o współwłaścicielach – przerwała mu Monique. Nagle przestraszyła się tego, co mógłby jej powiedzieć. – Że sporo mogą zmienić, na przykład kuratorkę.

– Zgadza się, ale chciałem o czym innym...

– Ktoś z zewnątrz nie może? – natychmiast weszła mu w słowo. – Jakiś prawnik, który dostrzega nieprawidłowości?

– Nie mam udziału, nie jestem stroną w tej sprawie, podobnie jak lokatorzy kamienicy. Mogą pisać skargi do sądu, ale ich głos w zasadzie się nie liczy.

Obywatele drugiej kategorii, powtórzyła w myślach za wujem.

– Najśmieszniejsze, że lokatorzy mają obowiązek dbać o dobro kamienicy. August parę razy zgłosił zaniedbania w budynku i co? – Kevin wypuścił powietrze ustami, wydając odgłos pierdnięcia.

– Jaki był? – wyrwało się Monique. – Ciągłe go odwiedzałeś.

Zabrzmiało, jakby była zazdrosna, że Kevin zajął jej miejsce, a przecież tamtego lata cieszyła się, że wujek nie siedzi sam... guzik prawda, była zazdrosna. Wreszcie umie się do tego przyznać.

– Odwiedzałem, na początku – przyznał Kevin speszony. – Liczyłem, że cię zastanę. Że wrócisz i będzie jak tamtej wiosny, kiedy się poznaliśmy. Byłaś pierwszą osobą, która się za mną ujęła. Bo wcześniej wystawiano mnie na linię strzału. Jak butelkę po winie.

Gdyby mogła, zasłoniłaby dłońmi uszy. Dziś naprawdę nie ma ochoty wysłuchiwać komplementów, na które sobie nie zasłużyła. Zwłaszcza teraz, gdy siedzą sami w ciemnej kuchni.

– Czekaliśmy. Obaj – podkreślił – choć August by się do tego nie przyznał, nawet na torturach. Ciągłe nas ze sobą porównywał. Że Monika to, że tamto. Że nigdy by tak łapczywie nie jadła zupy. Ja robiłem skruszoną minę i dalej zamiatałem wiosłem, jak na akord. Bo w domu raczej kiepsko było z prowiantem. Chleb, ziemniaki, cebula, no i dużo wina. Podkradałem z marketu zupki chińskie, do dziś pamiętam smak pieczarkowej z grzankami. Gorący kubek dla dziecka z rodziny patoli.

– Co wtedy gotował? – spytała z głupia frant. Jakby to miało znaczenie.

Wszystko ma, uświadomiła sobie nagle. Każdy detal, którego wtedy nie zauważała, jak bogacz, który nie sprawdza, ile klepców brzęczy mu po kieszeniach.

– Nic wymyślnego, choć mnie smakowało niczym trufle. To znaczy, staram się zachwycać truflami przy kolegach z kancelarii. Bez ostentacji – zapewnił. – Najbardziej tęsknię za jego szczawiówką z ryżem i za pierogami. Obiady mojego życia! Owszem, było też sztorcowanie, ale przy tym, ile oberwałem od rodziny... małe piwo. No i nauczyłem się używać sztuczków. Taki bonus.

– O czym gadaliście?

– Zwykle nadawał August, na przykład że talent się obroni, by zaraz narzekać, że w tym świecie wygrywa opcja dużo, tanio i słodko. Z wierzchu można popieprzyć, dla nadania smaku, ale w środku to nadal różowy budyń.

– Budyń rządzi, na talerzu i w garderobie – pokiwała głową Monique.

– Albo złościł się, że ludziom mieszają w głowach. Że obok zdjęcia ofiar zamachu wrzuca się przepis na duszony szpinak i plotkę o majtkach księżnej Anny, a poniżej kilka złotych rad na temat grzybicy. Już nie ma wyraźnych podziałów.

– Co jeszcze? – dopytywała Monique z łapczywością głodnego psiaka, którzy rzuca się na każdy okruch.

– Wściekał się z byle powodu, zwłaszcza w upały. Dym z papierosów, przekleństwa na ulicy, zegar za ścianą. – Tu uśmiechnęli się oboje. – A czasem wpadał w melancholię i brało go na wspominki. Słuchałem jednym uchem, jak to dzieciak. Chyba że o tobie.

Powinno ją to ucieszyć, ale poczuła się jeszcze gorzej.

– Czasem nie chciało mu się gadać, więc zostawiał mi książkę na stoliku, a sam udawał, że medytuje. Z nudów zajrzałem do *Mitów* Aleksandra Krawczuka i od razu mnie wkręciło. Nagle świat podobny do mojego, gdzie można dostać wpierdol na dzień dobry albo wcisną ci kamień i zasuwasz z nim pod górę, frajerze. Tak się wciągnąłem w te wszystkie mity, że z rozpędu zaliczyłem resztę Krawczuka. Przeczytałem wszystko, co stało u Augusta. Jedną o cesarzach to nawet zabrałem cichcem do domu, ale potem zwróciłem.

Niepotrzebnie, bo może by ocalała, przyszło do głowy Monique. A może

służyłaby za podpałkę?

– Cała ta wiedza przydała się w szkole – nie omieszkał się pochwalić. – Babka od historii wyczała, że mam dryg, i pchnęła mnie na konkurs wiedzy o starożytności. Wygrałem z palcem w dupie, więc podniosła poprzeczkę i wystawiła mnie na olimpiadę. Jak czarnego konia, w budzie wszyscy stukali się w czoło. Ale Histeria, tak ją nazywaliśmy z chłopakami, nie odpuściła. Dawała mi do domu jakieś cegły. Nawet nie otworzyłem, wołałem książki od Augusta. Przerobiliśmy razem *Jesień średniowiecza* Johana Huizingi.

Wydanie piw-owskie, z obrazem Petrusa Christusa na twardej błyszczącej okładce. Monique nawet dziś umiałaby powiedzieć, gdzie stało: w zamykanej na kluczyk witrynce z perełkami. Górna półka, tuż za nią cenne słowniki francuskiego, za które wuj zapłacił projektem kostiumu, a dalej jej ulubione albumy malarstwa. Thomas Gainsborough, Nikołaj Romadin, Caspar David Friedrich. Ciekawe, kto je dzisiaj przegląda? Raczej nie Toluś, faceci jego pokroju ograniczają się do świerszczyków, prychnęła z wyższością, ale wcale jej od tego nie ulżyło.

– Na wojewódzkiej trafiłem pytania – ciągnął Kevin. – Ogłaszają wyniki, a ja, słuchaj, jestem w pierwszej trójce. Więc mogę sobie wybrać szkołę średnią. Od razu pomyślałem o serwisówce, bo człowiek ma pewną robotę przy autach ściąganych z Niemiec. Wpadłem wtedy do Augusta, żeby pochwalić się wynikami, a ten od razu, niemal w progu oświadcza, że mam iść do liceum. „Piątka jest przereklamowana” – stwierdził, nalewając mi szczawiowej po same brzegi. No to poszedłem do Wyspiańskiego. Maturę zdałem koncertowo, wybrałem prawo, żeby raz na zawsze zerwać rodzinny łańcuszek. No i, jak widzisz, udało się. Jestem, gdzie jestem.

A miał opowiadać o wuju, zaśmiała się pod nosem Monique. W gruncie rzeczy nie różnią się od siebie. Tyle że Kevin papła, a ona tylko myśli, wszystko sprowadzając do własnego pępka.

– Głupi ja! – oznajmił nagle. – Lodówka pęka od frykasów, a ty pewnie siedzisz głodna.

Od ostatniego wtorku Monique niewiele myśli o jedzeniu. Po prostu nie ma na nic apetytu. Nawet e-papieros przestał smakować. Pali, bo pali, ale żeby się tym cieszyć...

– Może chociaż coś do picia? – nie odpuszczał Kevin.

– Herbatę – poprosiła.

Bez słowa włączył czajnik bezprzewodowy. Przysiadł na stołku, zerkając na nią z niepokojem. Wstał i wyjrzał przez okienko wychodzące na podwórze.

– Kiedyś była tu służbówka. Najzimniejszy pokój, bo na winklu, zimny i mokry jak fiut wampira.

Monique mieszkała w dużo lepszym, opiekując się dziećmi zamożnej francuskiej rodziny. Jej pierwsza dorosła praca. Wytrzymała pół roku, potem znalazła posadę barmanki w pubie dla lokalsów. Poziom decybeli podobny, za to klienci znacznie przyjemniejsi. Dzięki napiwkom mogła wynająć pokój tylko dla siebie w oficynie. Równie ciemny jak kuchnia Kevina, mały, paskudnie urządzone, ale z dala od rozwrzeszczanych dzieciaków.

Kevin znowu usiadł i zaczął bębnić palcami o blat.

– Właściwie, skoro nie ma Brzytwy – powtórzył – to może...

Rzuci się na nią? Zacznie zdzierać z Monique oldskulowy sweterek? Fantazjujesz jak własna babcia, zbeształa samą siebie. Aniela Fortunowa wszędzie wypatrywała gwałcicieli. A jednak dzielnie szła na roraty, drogę krzyżową i gorzkie żale, by po powrocie oznajmić, że „Anioł Stróż czuwał jak się patrzy”. Czy brzmiała w tym stwierdzeniu ulga, czy raczej rozczarowanie, Monique nie umiałaby dziś określić.

– Wolałbym pogadać w innych, jakby to ująć, okolicznościach przyrody – plątał się Kevin. – No ale skoro wyszło, jak wyszło, bo i Gruda, i Zuzia, i... aura za oknem...

Powinna poprosić, by przeszedł do sedna? A jeśli to, co usłyszy, okaże się krępującą propozycją, na którą wcale nie jest gotowa? Czemu miałby ci składać takie oferty?, zadała sobie trzeźwe pytanie. Choć powinna raczej zapytać, dlaczego ich oczekuje. Co się stało, że patrzy na mężczyzn jak na potencjalnych zastępców Konrada? Czy w jej związku zrobiło się aż tak fatalnie? Nawet jeśli, to czy musi wypełniać puste miejsce nowym facetem? A może to lęk przed przemianami? Redaktorki „Vanity Fair” mogą głosić dobrą nowinę, ale fakty są takie, że już za

chwile Monique straci datę ważności i będzie mogła tylko powspominać oferty, z których nigdy nie skorzystała.

– Miejmy to już za sobą – zdecydował się Kevin, nerwowo przeczesując palcami rude loki.

Wziął głęboki oddech, głośno wypuścił powietrze, wreszcie sięgnął do szafki z przetworami i ostrożnie wyjął kamienne naczynie w kształcie walca. Szmaragdowy, pomyślała, ulubiony kolor Augusta. Choć nie stronił też od innych odcieni zielonego. Oliwkowy, jaszczurkowy, jaspisowy, młody groszek, zieleń trawiasta, butelkowa, wreszcie zgniła. Drażnił go jedynie seledyn, zwłaszcza w połączeniu z satyną albo kreszem.

– August – oznajmił Kevin, stając na baczność. – To jego prochy.

Więc tyle zostało po człowieku, którego ego nie zmieściłoby się w hali sportowej? Nędzna garstka popiołu? I po co były te szopki z umawianiem się przy grobie?, zirytowała się Monique. Czy Kevin nie mógł powiedzieć jej wprost? Z taką łatwością opowiada o zmarłych rodzicach, ukazując ich od najgorszej strony. Pieprzony legalista!

– Wiem, co sobie myślisz – rzucił Kevin skruszonym tonem.

Monique pokręciła głową. Wolałaby nie myśleć teraz o niczym. Nie roztrząsać, nie analizować i nie zadręczać się pytaniami choćby o to, dlaczego Brzytwa dowiedziała się pierwsza o urnie. Bo obcym łatwiej się zwierzyć?

– Skoro zajmuję prochy Augusta – podjął, zerkając na Monique – uważasz pewnie, że nie różnię się od reszty swojej rodzinki. Że nie ma dla mnie żadnych świętości! A ja po prostu... – przełknął ślinę – nie mogłem tego zrobić Augustowi. Ciągłe powtarzał, że nie chce spocząć w Krakowie. Kocha ten grajdoł i równocześnie nienawidzi go, spędził tu całe życie, ale żeby leżeć na wieki... w żadnym razie.

Gdyby zaproponowano mu miejsce na pobliskiej Skałce lub na Wawelu, może zmieniłby zdanie, ale walka o standardy to za mało, by trafić na cmentarny olimp.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała, choć w gruncie rzeczy wcale jej to nie obchodziło.

– Podmieniłem urny w kaplicy, tuż przed pogrzebem. Tamta wypełniona solą spoczęła w grobowcu rodzinnym Pierre'a na Salwatorze. Wszystko odbyło się jak

należy.

Już się chwalił. Grajek, wieńce, mowa pożegnalna. Przedstawienie odegrane nad wielką solniczką.

– Chcesz trzymać... to – nie potrafiła nazwać popiołów Augustem – u siebie w domu?

– Tylko do środy. Potem Pierre zabierze prochy do Paryża i tam je pochowa. Lata temu wykupił sobie kwaterę na Père-Lachaise. Tam gdzie Jim Morrison.

– Elegancko – cmoknęła z przekąsem.

– Pierre chciał mieć coś ekstra, na własność, z braku mieszkania. Teraz przyda się jak znalazł.

Powinno jej ulżyć, że nie musi odwiedzać żadnego cmentarza w Krakowie, moknąć w deszczu, krążyć między alejkami, a jednak świadomość, że wuj spocznie tak daleko...

– Więc dlatego Pierre przyjeżdża do kraju – rzuciła ostro.

W innych okolicznościach wiadomość by ją ucieszyła. Spotkać po latach człowieka, które tyle jej pomógł, gdy sam miał tak niewiele. Ale tu i teraz czuła wyłącznie złość. Przyjeżdża, mruknęła, rychło w porę. Musztarda po obiedzie, miała ochotę skwitować na głos, ale zaraz jej się przypomniało, ile ona zwlekała z wizytą. Gdyby nie brak światła, nadal żyłaby w nieświadomości. Brak światła, wzdrygnęła się Monique. Znowu nie zadzwoniła do Elektrona! Zapomniała też kupić farbę do włosów, a jutro święto. *Merde!* Jeśli straci ostatnią szansę... przez fryzurę? W mediach liczą się drobiazgi. Niekorzystny biomet, dowcip opowiedziany nie w porę, niewłaściwy odcień tęczówek albo zbyt cicho rzucone „dzień dobry” i już można pożegnać się ze zleceniem. Praca w show-biznesie nie ma w sobie nic zabawnego, zwłaszcza kiedy zajmuje się ten sam szczebelek co klaun z cyrku lub przebrzmiała autorka romansów. Zawsze można go porzucić. Takie prawo wolnego najmity: odejść w każdej chwili, bo nic go nie trzyma. Tylko dokąd się udać?

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi, do kuchni napłynęło chłodne powietrze.

– Tęskniliście?

Nareszcie, odetchnęła z ulgą Monique.

– Trochę zeszło, bo musiałam przekopać pół kuchni, zanim znalazłam co trzeba. – Brzytwa z dumą postawiła na stole dwie spore puszki, dorodne mango, paczkę fistaszków i kulkę ulepioną ze sreberka po czekoladzie. – Widzę, że wszystko wyjaśnione. – Wskazała urnę. – Więc możemy teraz zapalić świeczkę Augustowi i nie tylko.

– Stypa? Wielkie dzięki!

Monique zaliczyła już dwie, i wystarczy. Obserwowanie, jak rodzina zamienia bliską jej osobę w spiżowy pomnik bez skazy... żenujące. Z drugiej strony może dzięki takim zabiegom łatwiej udźwignąć stratę. Za pomnikiem człowiek nie tęskni, zwłaszcza kiedy kac po stypie urywa mu głowę.

– Żadnych styp. Wolę pamiętać wuja takiego, jaki był.

Cholerny snob, męczybuła i żandarm bez emerytury, wyszeptła, mrugając oczyma, by powstrzymać łzy.

– Żadnych styp! – zgodził się Kevin.

– Po prostu posiedźmy i zapalmy – odezwała się Brzytwa, rozwijając srebrną kulkę. Zapachniało pierwszorzędną maryską. – Indica, zakwitła chrzestnemu w sypialni. Żal było nie zerwać.

– Nie bał się sadzić? Przecież to grozi kryminałem!

– No właśnie tego akurat się nie obawia. To jak? – Zatarła dłonie. – Są chętni?

– Jako legalista – odparł Kevin – mam duże opory, ale jako człowiek otwarty na doznania chętnie bym spróbował domowej uprawy.

– Pamiętaj, że w tym mieście palenie jest zdrowsze niż oddychanie.

– No to mnie przekonałaś.

Znowu zajrzał do szafki z przetworami i wyjął spore bongo.

– Pamiątka po Samancie, mojej siostrze, tańczy teraz na rurze gdzieś w Saksonii. Lepsze to niż picie siary na Starym Podgórzu.

Albo usługiwanie żonom prezesów państwowych spółek. Gdyby Monique miała jeszcze raz wybierać, też wybrałaby taniec na rurze. Przynajmniej dorobiłaby się porządnych przywódcy ud.

– My tu gadu-gadu, a ja nadal niczym was nie poczęstowałem – zmartwił się

Kevin. – A w lodówce czekają wypasione sałatki. Mam nawet jedną bez jajek. – Zerknął na Brzytwę.

– Przydadzą się na gastrofazę. Ale najpierw zapalmy...

– Za Augusta. Bez niego nigdy byśmy się tu nie spotkali.

*

Siedziała zobojętniała, wsłuchana w chichot tamtych dwojga.

– Jak to robisz – zapytał Kevin, podając Brzytwie bongo – że masz tak niewiele rzeczy?

Brzytwa wzięła potężnego macha. Przez chwilę wydawało się, że znowu wybuchnie niekontrolowanym rechotem.

– Najpierw odchodzisz od męża – rzuciła, stłumiwszy śmiech. – Zostawiasz mu wszystkie klamoty i lecisz jak na skrzydłach przed siebie, szczęśliwa, że zrzuciłaś balast. Po rozwodzie oddajesz nawet to, co się facetowi nie należało, byle pozbyć się wyrzutów sumienia. Bo przecież ty rozwaliłaś związek. Potem wybywasz z kraju, żeby pospłacać długi. Kiedy wreszcie wyzerujesz debet, lądujesz na stacji, znów na chwilę, ale tymczas się przedłuża, więc zaczynasz obrastać w przedmioty. Nowa kołdra, zapasowy materac, jakieś krzesła. Zaczynasz myśleć o własnej dracenie i właśnie wtedy kamienicę przejmuje spadkobierca z Tel Awiwu. Ma tak świetnie zrobione papiery, że prawnicy skarbu państwa odkrywają oszustwo dopiero po roku, kiedy budynek już sprzedano.

– Pewnie ze trzy razy – podchwycił Kevin – więc zachodzi dobra wiara ksiąg wieczystych.

Brzytwa skinęła.

– Szukasz nowej miejscówki. Pojawia się okazja, by pomieszkać na Ludwinowie w zamian za opiekę nad bonsai. Właściciel mieszkania może wrócić w każdej chwili, więc starasz się ograniczać przedmioty, żeby nie mieć problemu z kolejną przeprowadzką. Trzymasz tyle, ile zmieści się w bagażniku.

– Jakie masz auto? – ożywił się Kevin.

– Żadnego.

Jednocześnie parsknęli śmiechem. Monique przestała słuchać. Utkwiła wzrok w samotnej urnie spoczywającej na kredensie. Gdyby August mógł ją teraz usłyszeć, gdyby dał znak, że wszystko jest w porządku. I gdyby wybaczył, że odstawiła go niczym niemodny flakon. „To nie tak, wujku – próbowała się tłumaczyć. – Po prostu wszystko wymknęło mi się z rąk. Człowiek myśli wtedy o jednym: żeby nie pójść na dno”.

– Tak strasznie cię przepraszam! – szepnęła.

Co teraz, co mam zrobić, żeby wyjść z tego gówna? Błagam, daj jakiś znak, że nie jest ci źle i że to wszystko ma sens! Jakikolwiek!

Rozległo się piknięcie w jej komórce. Zerknęła do kieszeni. Esemes od Aleksa. „Dzięki za Brzytwę”. Przemknęła do łazienki i oddzwoniła.

– Znowu zgasło ci światło? – Aleks zaśmiał się tak, że aż załaskotało ją w uchu.

– Za co mi dziękujesz? – zmieniła temat. – Przecież to Brzytwa mi pomaga, nie odwrotnie.

– Wreszcie wybiłaś ją z dołka, w którym tkwiła trzy długie lata.

– Co się stało, że tam wpadła? Rozstanie?

– Mówisz o Berecie? Tym koleś, który robił za jej Anioła Stróża?

Do tej pory Monique sądziła że rolę Stróża wziął na siebie Aleks. A może niektórzy fuksiarze mają kilku fantastycznych opiekunów, podczas gdy ona nie ma żadnego, bo ten, który się o nią troskał, odszedł na zawsze. Niech to szlag!

– Wyjazd Bereta był tylko wisienką na torcie – wyjawiał Aleks. – Wcześniej wydarzyły się gorsze rzeczy, nie wiem tylko, czy mogę je zdradzać. Nawet Polka o nich nie wspomina.

– To skąd mam wiedzieć, co się stało?

Tyle wystarczyło, by pociągnąć Aleksa za język.

– Była taka sytuacja. Jak wiesz, Polka lubi się angażować w różne akcje.

– Widziałam. Pokazywali gołe dupy radnym. Puste gesty.

– Czasem od nich się zaczyna. – Pstryknął zapalniczką. – Ale wcześniej działała całkiem konkretnie. Wiesz, że ja nie stronię od ryzyka.

Monique tylko się uśmiechnęła.

– Ale to co wyczyniała Polka: jazda po bandzie!

– Nie wierzę! – wykrzyknęła z przesadą, by zachęcić Aleksa do zdradzenia szczegółów.

– Na przykład filmowała hardkor na fermach przemysłowych. Wbijasz do hali pełnej kurczaków i kręcisz, wiedząc, że im nie pomożesz. W ostatniej akcji zgarnęła parę małych lisów z fermy należącej do znanego posła. O mało nie wylądowała w pierdlu. Dwa lisy – powtórzył, mocno się zaciągawszy. – A reszta?

Zapełnia szafy jej klientek. Nadal wierzą, że elegancja oznacza kupowanie cudzego cierpienia. Czy Monique próbuje wyprowadzić je z błędu? Najwyraźniej mówi zbyt stonowanym głosem.

– Nagle wyszło na jaw, że to całe stowarzyszenie, dla którego tak się stara, jest jedną wielką ściemą. Nie chodzi o prawa zwierząt, a o lans w mediach i jeszcze bardziej o kasę.

– Jak zwykle – szepnęła Monique do siebie.

– Kiedy się okazało, że koleisie z zarządu dogadują się z koncernem, który łamie prawa ludzi i zwierząt, Polka wymiękła.

Monique czytała o podobnej akcji. Aktywiści próbowali pertraktować z McDonald's, by wprowadził wegańskie przysmaki. Parówkowy weganizm, pomyślała wtedy, wart tyle co feminizm cappuccino albo kawiorowa lewica.

– Załamało ją, że jakaś grupka ludzi gra nie fair? – prychnęła. – Myślałam, że ma większy dystans do świata.

– Ona również. – Aleks znowu się zaciągnął. – Czasem wydaje nam się, że dajemy radę, że mamy pełną kontrolę, ale wystarczy wyjąć jeden właściwy kłocuszek i leci, jak w dominie.

Monique odłożyła telefon i ukryła twarz w dłoniach.

– Jesteś tam? – zapytał. – Coś nie tak?

– Absolutna awaria systemu – wykrztusiła przez łyzy. – Skopałam, co tylko się dało!

– No jasne – zaśmiał się Aleks. – Masz wpływ na wszystko!

I kto to mówi? Człowiek, który wierzy, że trzyma w garści cudze karty. Cholerne

centrum dowodzenia!

– Na karierę chyba mam, prawda? – rzuciła drżącym głosem.

– Po upadku komuny – przerwał jej Aleks – byliśmy tak wygłodniali Zachodu, że daliśmy sobie wcisnąć masę kitu. Co gorsza, pozwoliliśmy, by wyprano nam mózgi. Uwierzeliśmy specom od propagandy, że jesteśmy odpowiedzialni za wszystko, co tylko nam się przydarzy. Nie są odpowiedzialne korporacje, politycy, decydenci, media, tylko szary obywatel. Jeśli mu się nie wiedzie, to jego wina. Bo źle wybrał, bo zabrakło mu ambicji, wytrwałości albo talentu. Skoro pracuje za grosze, to dlatego, że się na to zgodził. Wolna wola! Neoliberalne pierdolety. Jesteś tak samo wolna jak rynek.

– Poza Europą... – bąknęła Monique.

– Czyli gdzie? W Chinach, gdzie firmami rządzi zbrodnicze państwo? Łamanie wszelkich zasad nazywasz wolnością? A może masz na myśli Amerykę, gdzie aktywistów walczących z barbarzyńskim wyzyskiem zwierząt traktuje się na równi z terrorystami? Wsadza się ich do więzień, by nie zagrażali zyskom rzeźników? Helo! Witamy na planecie Ziemia. Tu nie ma wolności.

– Więc co mi pozostało?

– Nie zgadzać się na okruchy!

– Mam się zbuntować? – parsknęła. – Moje miejsce w mig zajmą inne stylistki. Tu nie ma solidarności, każdy grabi do siebie.

– Rzuć tę pracę! Zostań u mnie – zaproponował. – Wynajmij swoją dziuplę i zacznij od nowa.

Raczej od zera. Monique wersja 4.0.

– Myślisz że w Krakowie znajdę jakieś zlecenia?

„Tu damy stroją się same, naśladowując styl żony kompozytora z Lusławic lub aktorek z Piwnicy pod Baranami – szydził wuj August. – Ja tylko szyję, co mi każą”.

– Naprawdę kręci cię ubieranie innych? – zaśmiał się Aleks.

– Co mogę robić w zamian?

– Francuski, byłaś niezła w te klocki.

– Już bez takich! – obruszyła się Monique.

– Mówiłem o języku. Spędziłaś w Paryżu parę latek, mogłabyś udzielać lekcji. Jak doliczysz hajs z wynajmu kawalerki i z brukowca, masz szansę wyjść na prostą.

– Dostałam zaproszenie od stacji – przypomniała sobie nagle. – Próbne nagranie własnego programu, w ten poniedziałek.

– Chcesz wracać na stare tory? Nie wystarczy ci, że twój facet już tam robi za małpę?

– Pomógł wielu zagubionym – przypomniała urażonym tonem.

– Nie przeczę. Jest świetny – nie kpił, a jednak zabrzmiało jak obelga.

– Co chcesz w zamian? – Monique zmieniła temat. – Bo ja nie bardzo...

– Chciałbym, ale tak się składa, że wszedłem w zupełnie nową fazę. Ascetyzm, aseksualizm, astygmatyzm.

Aleks aseksualny? Niezły oksymoron.

– Mieszkaj, ile ci pasuje – dodał poważnym tonem. – I tak nie spłacę długów, ale ty możesz.

Może wyzerować kredyt zaciągnięty w banku, bo ten, który ma u Augusta...

– No nie płacz – poprosił cicho. – Nawet jak wpadnę, jakoś się pomieścimy. Mam sporą wannę, widziałaś.

– To nie dlatego – wyszeptała bardziej do siebie. – Mogłam żyć całkiem inaczej.

– Mogliśmy. Razem. Ale czasem człowiek daje dupy nie temu, co powinien. To jak? Przemyślisz propozycję?

Niedziela

Obudziło ją lekkie szturchnięcie w policzek. Zuzia, pewnie co rano łąsiła się do Augusta, a teraz szuka namiastki... Monique poczuła narastającą falę bólu i niepokój. Jeszcze kilka godzin temu, po rozmowie z Alekssem wszystko wydawało się proste. A teraz na samą myśl o konfrontacji z panią Gienią coś chwyciło ją za gardło. „Oddasz babie zawartość barku i dorzucisz coś od siebie na pocieszenie”. Niby dlaczego ma się podlizywać, tłumaczyć. Zostaje, i tyle! W najgorszym razie będą unikać jakichkolwiek kontaktów. Uniki, jest w tym naprawdę dobra. Przez ostatnie lata spotkała nieulubianych sąsiadów z parteru tylko raz. Ale kiedy sobie wyobrazi, że zostając w Krakowie, nie zobaczy ich wcale... nagle ogarnęła ją niewytłumaczalna tęsknota. Prawie jak za znienawidzonym oscypkiem. Przecież zawsze możesz wrócić na stare śmieci, próbowała się uspokoić. Za miesiąc, za tydzień, choćby jutro. Właśnie! Co z jutrzejszym nagraniem? Jechać, nie jechać? Gdyby dostała ten program, mogłaby wprowadzić do oferty nową usługę: minimalizm dla zdezorientowanych. Ludzie łakną klaru, zmęczeni hałdami rzeczy kupionych na wyprzedazach. Pragną odzyskać przestrzeń. Ale jak do nich dotrzeć? Naprawdę potrzebujesz do tego telewizji?, szepnęła do siebie, delikatnie gładząc Zuzię pod szyją. Kotka zaczęła mrużyć i lekko ugniatać łapkami materac. Może to jest ten znak, o który prosiła Augusta.

– Ja go nigdy nie zastąpię – uśmiechnęła się do Zuzi. – Ale mogłybyśmy spróbować. O ile Kevin się zgodzi.

A może jednak skorzystać z danej jej szansy i pojawić się jutro na rozmowie? Ryzyk-fizyk, nuż się uda bez farbowania włosów. Jeśli dostanie tę pracę, zatoczy krąg i... Już to przerabiałaś. Masz czas na replay?

Ostrożnie podniosła się z tapczanu i na paluszkach, by nie budzić tamtych, pobiegnęła do łazienki. Kiedy kończyła czesać włosy, rozległo się stukanie.

– Śniadanie za pół godziny – oznajmił Kevin.

– Myślałam, że jeszcze śpicie.

– No skąd! Brzytwa zdążyła już polecieć po czystą bluzę, żebyś miała się w co przebrać. Aha, na umywalce leży szczoteczka. Kupiłem na wszelki wypadek.

– Znalazłam, domyśliłam się, że to dla gościa.

– No popatrz, a ja myślałem, że będzie jak ten talerz dla zbłąkanego wędrowca, który nigdy nie dociera na wigilię. Wędrowiec, nie talerz – sprecyzował.

– Nie masz przypadkiem mascary? – zażartowała, wyłaząc z łazienki.

– Następnym razem lepiej się przygotuję. Ale wiesz co? Bez tuszu wyglądasz nawet lepiej. Kto by pomyślał, że kac może dodać urody.

To nie kac, tylko brak korektorów. Naga twarz, z którą Monique czuje się nieswojo. Dopiero gdy zamaskuje niedoskonałości, jest wreszcie sobą. Zupełnie jak August, przyszło jej do głowy. Naturalizm cenił wyłącznie w malarstwie.

– Zostało coś do jedzenia po wczorajszym popasie? – spytała.

– Nie uwierzysz ile. Próbujemy to zmieścić na stole w jadalni. Ja cię! – Kevin z radością uderzył dłońmi o uda. – Wreszcie spędzę święta z kimś, kto nie podbije mi oka!

– Nie spędzałeś ich z Augustem?

– Wolał być sam. Ach, właśnie! Rozmawiałem dziś z Pierre'em i... – zrobił efektowną pauzę – chyba jest wyjście z impasu. Testament z datą wsteczną. Podpis Augusta machnęłaby Brzytwa, ponoć ma wprawę. Wolę nie wiedzieć, gdzie zdobyła doświadczenie.

Tracąc przy okazji resztki złudzeń co do świata, przypomniała sobie nocne zwierzenia Aleksa.

– Pierre jako spadkobierca mógłby wnieść pozew o odszkodowanie za utracone mienie.

– Kiedyś nie był zbyt waleczny – zauważyła.

Nieśmiały okularnik przemykający cienistą stroną ulicy. Na samą myśl poczuła

rozczenie i chęć spotkania.

– Przekaze mi pełnomocnictwa i w maju ruszamy z procesem. Kuratorka nie dopełniła paru kwestii. Na przykład powinna wezwać policję przy opróżnianiu mieszkania. Kokosów z tego nie będzie, ale zawsze utrzymamy babie nosa. Może nawet dostanie się Pałce rykoszetem, choć jako radny pewnie się wywinie.

Prztyczek w nos jako ekwiwalent za cudze życie? Już lepiej przywalić Rechotek plaskacza. Pierdyknąć prosto w trzecie oko. Żeby zobaczyła gwiazdy!

– Muszę wyjść – oświadczyła nagle. – Załatwić jedną sprawę.

– Ale wrócisz? Nie uciekniesz do Warszawy?

Ucieknie? Owszem wyjedzie, ale nie dzisiaj i nie jutro. Klamka zapadła.

– Będę za pół godziny – obiecała. – Akurat na śniadanie.

Zasnurowała trzewiki, zapięła płaszczyk i pobiegła w stronę bulwarów. Mijała odświętnie wystrojonych ludzi z zaciętymi minami. Smog? Niedzielny wkurw? Zły biomet? A może tylko udają, by nie ściągać złego losu. Żeby ci, którzy grają ich kartami, dali im święty spokój. W gruncie rzeczy radzimy sobie lepiej, niż nam się zdaje, pomyślała. Nawet ona, choć w impasie, ma jakieś wyjście. Wolałyby wprawdzie wpaść na nie sama, ale... Już nie marudź, zganiła samą siebie.

Zdyszana dobiegła do kamienicy, wspięła się na trzecie piętro i zaczęła walić w drzwi osiemnastki. Z całych sił, aż zabolowały ją stawy palców. W zamku zachrobotło, więc zacisnęła pięści, gotowa do walki. Ale drzwi pozostały zamknięte.

– To ja! Monika Fortuna – krzyknęła na całą klatkę. – Wiem o śmierci wuja Augusta i odnalazłam Zuzię!

Czuła, że Toluś czai się po drugiej stronie, słyszy każde jej słowo.

– Wiem wszystko. Chcę tylko, żebyś spojrział mi prosto w oczy. Miej odwagę po tym, co zrobiłeś, żaloszny fiucie!

Odsłonił klapkę. Wpatrywali się w siebie, oddzieleni zniszczonymi drzwiami. Monique wstrzymała oddech. Powinna wykrzyknąć mu coś jeszcze? Nazwać draniem, mordercą, złodziejem? Nie ma sensu, uznała wreszcie, wysuwając środkowy palec do judasza.

Puste gesty – czasem od nich się zaczyna.

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Czwartek](#)

[Piątek](#)

[Sobota](#)

[Niedziela](#)

[Poniedziałek](#)

[Wtorek](#)

[Środa](#)

[Czwartek](#)

[Piątek](#)

[Sobota](#)

[Niedziela](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Izabela Sowa

Projekt okładki

Elżbieta Chojna

Fotografia na okładce

Copyright © Urbancow/iStock

Opieka redakcyjna

Artur Wiśniewski

Opracowanie tekstu

DreamTeam

ISBN 978-83-240-3780-3



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

